BLIZZARD LEGENDS

WORLD OF WARCRAFT

OSTATNI STRAŻNIK

JEFF GRUBB

WORLD OF WARCRAFT®

Ostatni Strażnik

Jeff Grubb

przełożyła

Dominika Repeczko

insignis

Tytuł oryginału

World of Warcraft. The Last Guardian

Copyright © 2019 Blizzard Entertainment, Inc.

Warcraft, World of Warcraft i Blizzard Entertainment są znakami handlowymi i/lub zarejestrowanymi znakami handlowymi Blizzard Entertainment, Inc. w Stanach Zjednoczonych i/lub w innych krajach. Wszystkie pozostałe znaki handlowe w niniejszym dziele należą do ich poszczególnych właścicieli.

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Imiona, nazwiska, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora i jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami, instytucjami, przedsiębiorstwami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu bez zgody posiadacza praw. Niniejsza publikacja nie może być rozpowszechniana w jakiejkolwiek oprawie lub okładce innej niż ta, w której została opublikowana, oraz bez podobnego zastrzeżenia nałożonego na kolejnego nabywcę.

Przekład

Dominika Repeczko | ragana.com.pl

Redakcja i korekta

Marcin Piątek, Piotr Budak, Justyna Charęza

Skład

Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2019. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-66360-09-9

Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)
instagram.com/insignis_media (@insignis_media)
Snapchat: insignis_media

Chrisowi Metzenowi,
Strażnikowi Wizji

Prolog

Samotna Wieża

Tego wieczora większy z dwóch księżyców wzeszedł pierwszy i zawisł brzemienny i srebrnobiały na usianym gwiazdami niebie. Pod jasnym księżycem Góry Rudych Grani wyciągały szczyty do nieba. W ciągu dnia słońce malowało je odcieniami różu, czerwieni i rdzy, ale w księżycowym świetle stały się jedynie wysokimi i dumnymi cieniami. Na zachodzie rozciągała się Knieja Elwynn, rozpościerając ciężkie korony dębów i żółtodrzewi od pogórza po morski brzeg. Na wschodzie ciągnęły się ponure Czarne Mokradła, kraina moczarów, niskich wzgórz, piaszczystych łach i stojącej wody, gdzie pełno było opuszczonych osad, a na wędrowców czyhało niebezpieczeństwo. Po tarczy księżyca prześlizgnął się cień wielkości kruka, kierując się w stronę wyłomu w samym sercu masywu. Tutaj z niepokonanej twierdzy gór zniknęła bryła skał, zostawiając okrągłą wyrwę. Było to miejsce, gdzie przed wiekami uderzyło ciało niebieskie albo gdzie doszło do wybuchu, który wstrząsnął górami, zaś kolejne wieki wygładziły krawędzie olbrzymiego krateru o kształcie misy, zmieniły brzegi w obłe pagórki o stromych zboczach, ułożonych w objęciach strzelistych gór. Żadne ze starożytnych drzew Kniei Elwynn nie mogło sięgnąć takiej wysokości i wnętrze krateru pozostawało nagie, jeśli nie liczyć chwastów i splątanych bluszczy. Pośrodku kręgu wzgórz wznosiła się pojedyncza skała, łysa niczym czaszka szlachetnego kupca z Kul Tiras. I po prawdzie to, jak jej ściany wznosiły się stromo, bez mała pionowo, by skończyć się niemal płaskim szczytem, istotnie przywodziło na myśl ludzką czaszkę. Wielu widziało to podobieństwo, aczkolwiek niewielu było wystarczająco odważnych lub potężnych, by wspomnieć ów fakt właścicielowi tego miejsca. Na płaskim

szczycie skały wznosiła się wiekowa wieża – imponująca budowla z białego kamienia i ciemnej zaprawy, o grubych, solidnych murach. Strzelista i smukła pięła się ku niebu bez najmniejszego wysiłku, przewyższała okoliczne wzgórza, rozświetlona niczym latarnia blaskiem księżycowego światła. Podstawę wieży otaczał niski mur, za którym znajdował się wewnętrzny dziedziniec z ruinami stajni i kuźni, wieża dominowała jednak nad wszystkim wokół.

Niegdyś miejsce to nazywano Karazhanem. Niegdyś był to dom ostatniego z tajemniczych i skrytych Strażników Tirisfal. Niegdyś miejsce to tętniło życiem. Teraz opuszczone, zostało wydane na pastwę czasu.

Wieżę spowijała cisza, ale nie bezruch. Pod osłoną nocy bezszelestne kształty przeskakiwały z okna do okna, a zjawy tańczyły na balkonach i parapetach. Mniej niźli duchy, więcej niż tylko wspomnienia, były okruchami przeszłości, które oderwały się ze strumienia czasu. Szaleństwo właściciela wieży wyrwało te cienie i skazało je na odgrywanie raz po raz dawnych historii w opuszczonej wieży. Zostały skazane na odgrywanie, pozbawione jednak wszelkiej publiczności, która mogłaby docenić przedstawienie.

Naraz w ciszy rozległo się ciche szurnięcie obutej stopy po kamieniu, a potem kolejne. Nagły błysk ruchu pod świetlistym księżycem. Cień na białym kamieniu. Łopot poszarpanego, karmazynowego płaszcza w chłodnym nocnym powietrzu. Postać szła chodnikiem u szczytu zwieńczonego blankami muru najwyższej z iglic, w której wcześniej mieściło się obserwatorium. Drzwi prowadzące do obserwatorium zaskrzypiały na wiekowych zawiasach, lecz zamarły nagle, unieruchomione rdzą i upływem czasu. Postać w płaszczu też znieruchomiała na moment, po czym przyłożyła palec do zawiasu i wymruczała kilka słów. Drzwi otworzyły się bezszelestnie na całą szerokość, zawiasy były bowiem jak nowe.

Intruz pozwolił sobie na uśmiech.

Obserwatorium świeciło pustkami, nieliczne przyrządy, jakie tu porzucono, zostały zniszczone. Intruz, niemal tak cichy jak duch, podniósł rozbite astrolabium, koła ekliptyki zostały powyginane w gniewie, teraz dawno już przebrzmiałym. Instrument był już tylko ciężkim kawałkiem złota,

bezużytecznym i zastygłym nieruchomo w dłoniach intruza.

Ruch w obserwatorium skłonił intruza do podniesienia głowy. Teraz podobna do ducha postać pojawiła się nieopodal jednego z wielu okien. Duch/nie-duch był wysokim i postawnym mężczyzną o szerokich barkach, z włosami i brodą niegdyś niewątpliwie ciemnymi, ale teraz poznaczonymi przedwczesną siwizną. Był jednym z odprysków przeszłości, oderwanym i skazanym na powtarzanie swego zadania bez względu na to, czy ktoś to widział czy nie. Przez moment ciemnowłosy mężczyzna trzymał w dłoniach astrolabium, identyczne jak to, które miał w dłoniach intruz, jeszcze jednak niezniszczone, i kręcił niewielką gałeczką z boku instrumentu. Ciemne brwi zbiegły się nad widmowymi zielonymi oczyma. Minęła chwila, ciemnowłosy sprawdził ustawienia instrumentu i ponownie przekręcił gałeczkę. Wreszcie westchnął głęboko i odłożył astrolabium na stół, którego już w obserwatorium nie było, po czym zniknął bez śladu.

Intruz skinął potakująco głową.

Duchy nawiedzały Karazhan często, nawet wtedy, gdy wieża była zamieszkana, choć teraz pozbawione kontroli (i szaleństwa) swego pana stały się bardziej śmiałe. Niemniej te okruchy przeszłości należały do tego miejsca. W przeciwieństwie do intruza. To on był tu nieproszonym gościem, nie one.

Intruz przeszedł przez obserwatorium, kierując się do schodów, podczas gdy za jego plecami starszy mężczyzna pojawił się, by ponownie odtworzyć swe czynności, nastawić astrolabium na planetę, która od tamtej chwili dawno już znalazła się w innym obszarze nieba.

Intruz ruszył w dół wieży, mijał następne piętra, schodził kolejnymi schodami i przemierzał coraz to nowe korytarze. Wszystkie drzwi stały przed nim otworem, nawet te zamknięte na klucz, zabite na głucho czy zapieczętowane przez rdzę. Kilka słów, dotyk albo gest – i wszystkie zamknięcia puszczały, rdza osypywała się rudym pyłem, a zawiasy znów były nowe. Jedno czy dwa zaklęcia ochronne wciąż jeszcze lśniły mocą, potężne mimo upływu lat. Intruz zatrzymał się przed nimi i zastanawiał się chwilę, szukając w pamięci odpowiedniego przeciwzaklęcia. Wypowiadał właściwe

słowo, robił stosowny ruch dłońmi i unicestwiał pozostałości dawnej magii, usuwając przeszkodę ze swej drogi. Im dalej szedł, tym mocniej niepokoiły się zjawy i tym bardziej stawały się aktywne. Wydawało się, że zyskawszy publiczność, te odpryski z przeszłości pragną odegrać wszystko do samego końca, jeśli tylko je to stąd uwolni. Jeśli nawet kiedyś posiadały głos, to czas im go odebrał i teraz na korytarzach wieży pojawiały się jedynie milczące wizerunki.

Nieproszony gość minął wspomnienie kamerdynera w ciemnej liberii – kruchego staruszka, który szurając, dreptał powoli pustym korytarzem ze srebrną tacą w dłoniach, nosił przy tym klapki na oczy niczym koń. Intruz przeszedł przez pustą bibliotekę, gdzie zobaczył stojącą doń tyłem zielonoskórą kobietę, zajętą wertowaniem starożytnego tomu. W sali bankietowej natknął się na muzyków przygrywających bezdźwięcznie tancerzom wirującym w gawocie.

Po przeciwnej stronie płonęło miasto. Bezgłośny pożar bezskutecznie próbował pochłonąć kamienne ściany i zbutwiałe gobeliny. Intruz przeszedł przez bezdźwięczne płomienie, ale rysy jego twarzy ściągnęły się w wyrazie napięcia, gdy po raz kolejny zobaczył, jak potężny Wichrogród płonie wokół niego. W jednym z pomieszczeń trzech młodych mężczyzn siedziało przy okrągłym stole, opowiadając kłamstwa, których już nikt nie pozna. Na blacie i pod nim rozrzucone były metalowe kufle. Intruz stał i przyglądał się temu wspomnieniu, zanim widmowi biesiadnicy nie zamówili następnej kolejki. Wtedy potrząsnął głową i podjął swą wędrówkę. Niemalże dotarł do najniższego z pięter i wyszedł na niski balkon, który wisiał niepewnie, czepiając się ściany niczym gniazdo os nad głównym wejściem. I wtedy na rozległym dziedzińcu między głównym wejściem a ruiną stajni pojawiła się jedna zjawa, samotna i oddzielona od pozostałych. Nie poruszała się jak tamte, tylko trwała niepewnie, czekając. Zniewolony skrawek przeszłości. Skrawek czekający tu na intruza.

Nieruchoma zjawa była duchem młodego człowieka o włosach nieuczesanych i naznaczonych białym pasmem jak u skunksa. Szczękę młodzieńca porastały świeże kępki włosów starające się ze wszystkich sił udawać brodę. Chłopak miał u stóp worek podróżny, a w dłoni zapieczętowany

czerwoną pieczęcią list, który trzymał, jakby jego życie od tego zależało.

To tak naprawdę nie był duch, intruz to wiedział, aczkolwiek ten, którego zjawa przedstawiała, mógł już zginąć, polec w walce pod obcym słońcem. Niemniej wizerunek był wspomnieniem, okruchem przeszłości uwięzionym niczym owad w bursztynie. Czekał na przybycie intruza.

Ten zaś przysiadł na kamiennej balustradzie i spojrzał w dal, poza granice dziedzińca, poza zewnętrzny mur, poza pierścień wzgórz. Wokół panowała cisza i wydawało się, że nawet góry wstrzymują swój oddech, czekając na niego.

Intruz uniósł dłoń i zaintonował inkantację. Początkowo rymy były powolne i ciche, potem stały się głośniejsze i jeszcze głośniejsze, aż w końcu strzaskały ciszę. W oddali wilki posłyszały ten głos i uniosły pyski, by mu zawtórować.

A młodzieniec ze wspomnień – stojący na dziedzińcu, jakby mu stopy utknęły w błocie – odetchnął głęboko, zarzucił na ramię swój worek pełen tajemnic i powlókł się do głównego wejścia Wieży Medivha.

Rozdział 1

Karazhan

Khadgar ściskał zapieczętowany szkarłatem list polecający i desperacko próbował przypomnieć sobie własne imię. Jechał tu przez całe dnie, najpierw towarzysząc rozmaitym karawanom, a potem w pojedynkę przeprawiając się przez rozległą gęstwinę Kniei Elwynn. Wreszcie po długiej wspinaczce na górskie stoki dotarł tutaj, do tego spokojnego, pustego i osamotnionego miejsca. Nawet powietrze wydawało się tu zimne i odległe. Teraz obolały i zmęczony młodzieniec o rzadkiej brodzie stał na dziedzińcu, wśród wieczornych cieni, sparaliżowany na myśl o tym, co miał uczynić.

Miał bowiem przedstawić się najpotężniejszemu z magów na Azeroth.

To wielki zaszczyt – powtarzali mu mędrcy z Kirin Toru. Okazja, naciskali, której nie należy przepuścić. Mędrcy będący mentorami Khadgara, konklawe wpływowych uczonych i magów, wyjawili mu, że od lat próbowali pozyskać przychylność wieży Karazhanu. Członkowie Kirin Toru pragnęli wiedzy, jaką najpotężniejszy czarodziej na świecie ukrywał w swej bibliotece. Chcieli dowiedzieć się, jakie badania prowadził, i poznać ich wyniki. A nade wszystko życzyli sobie, by mag samotnik i indywidualista zaczął myśleć o przekazaniu swego dziedzictwa. Chcieli dowiedzieć się, czy wielki i potężny Medivh zamierza wyszkolić następcę.

Wielki Medivh i Kirin Tor najwyraźniej od lat wadzili się odnośnie do rozmaitych kwestii i dopiero ostatnimi czasy Medivh uległ błaganiom rady, przynajmniej częściowo. Zgodził się przyjąć ucznia. Czy zgoda ta była po prostu dyplomatycznym ustępstwem, czy magowi zmiękło osławione twarde serce, czy też może nagle uświadomił sobie własną śmiertelność – absolutnie

nie interesowało mistrzów Khadgara. Prawda była taka, że potężny i niezależny (a w oczach Khadgara również tajemniczy) mag poprosił o asystenta, a rada Kirin Toru, rządząca magiczną krainą Dalaranu, nie posiadała się z radości, mogąc to życzenie spełnić.

Tym sposobem młody Khadgar został wybrany spomiędzy grona kandydatów, obarczony listą wskazówek, rozkazów, kolejnych rozkazów sprzecznych z wcześniejszymi, próśb, sugestii, rad i żądań swych mistrzów. „Spytaj Medivha o bitwę jego matki z demonami", prosił Guzbah, pierwszy instruktor młodzieńca. „Znajdź w jego bibliotece wszystko, co tylko możliwe, na temat historii elfów", poleciła Lady Delth. „Poszukaj wszelkich bestiariuszy", rozkazała Alonda, przekonana głęboko, że istnieje gatunek trolli, którego nie ujęła jeszcze we własnych księgach. „Bądź bezpośredni, otwarty i uczciwy", radził Norlan główny artefaktor. „Wielki mag Medivh zdaje się cenić te cechy". „Bądź sumienny i rób, co ci się mówi". „Nie garb się". „Zawsze okazuj zainteresowanie". „Stój prosto. A przede wszystkim miej oczy i uszy otwarte".

Ambicje Kirin Toru nie zaprzątały zanadto Khadgara. Dorastał w Dalaranie i bardzo szybko rozpoczął naukę pod kierunkiem rady, wiedział zatem, że ciekawość jego mentorów odnośnie do wszelkich form magii pozostaje wiecznie nienasycona. Nie przestawali gromadzić, katalogować i opisywać magii w każdej postaci i ów głód wiedzy przekazywali już najmłodszym swym uczniom. Khadgar nie różnił się pod tym względem od innych.

Prawdę powiedziawszy, nic innego, lecz ciekawość Khadgara była zasadniczo przyczyną jego obecnej sytuacji, co właśnie sobie uświadomił. Nocne wycieczki po korytarzach Purpurowej Cytadeli sprawiły, że odkrył więcej sekretów, niż życzyliby sobie magowie z rady. Na przykład upodobanie głównego artefaktora do ognistego wina albo skłonność Lady Delth do młodych kawalerów, których wiek był nieznacznym ułamkiem jej lat. Czy też sekretną kolekcję broszurek Korrigana Bibliotekarza, opisujących (w sposób nader drastyczny i upiornie szczegółowy) praktyki, jakim oddawali się historyczni czciciele demonów.

No i była też sprawa jednego z wielkich mędrców Dalaranu,

czcigodnego Arrexisa, należącego do szarych eminencji, szanowanego nawet przez pozostałych magów. Arrexis zniknął, albo umarł, albo stało się coś okropnego i pozostali magowie postanowili nigdy o tym nie wspominać do tego stopnia, że wymazali imię Arrexisa ze wszystkich ksiąg i nigdy nie rozmawiali na jego temat. Jednak Khadgar i tak zdołał się o tym dowiedzieć. Miał talent do znajdowania stosownego odniesienia, dostrzegania potrzebnych połączeń czy też odzywania się do właściwych osób we właściwym momencie. Był to dar, który mógł okazać się też przekleństwem młodego maga.

Każde z jego odkryć mogło tak naprawdę być przyczyną tego, że otrzymał tak prestiżowy (i mimo całego planowania i ostrzeżeń potencjalnie śmiercionośny) przydział. Prawdopodobnie magowie uznali, że młody Khadgar jest nieco zbyt dobry w odgrzebywaniu sekretów i lepiej będzie dla rady, jeśli zostanie wysłany tam, gdzie jego ciekawość może przynieść jakieś korzyści. Albo przynajmniej znajdzie się na tyle daleko od Purpurowej Cytadeli, że nie będzie odkrywał tajemnic dotyczących innych jej mieszkańców.

A ponieważ Khadgar podsłuchiwał niestrudzenie – i ta teoria do niego dotarła.

I tak z torbą pełną notatek, sercem pełnym tajemnic i głową pełną żądań i zupełnie bezużytecznych rad wyruszył w podróż. W tygodniu poprzedzającym jego wyjazd z Dalaranu miał okazję rozmawiać niemal z każdym członkiem rady, bowiem wszyscy oni byli zainteresowani czymś, co miało związek z Medivhem. Jak na maga żyjącego na skończonym zadupiu, pośrodku niczego, otoczonego drzewami i złowieszczymi górami, budził niezmierną ciekawość członków Kirin Toru. Natarczywą wręcz.

Khadgar odetchnął głęboko (i tym samym przypomniał sobie, że wciąż stoi zbyt blisko stajni) i ruszył do samej wieży. Z każdym krokiem miał wrażenie, że ciągnie za sobą jucznego konia.

Wejście do wieży otwierało się niczym jaskinia, nie zamykała go brama czy krata. Nie było w tym nic dziwnego, jaka bowiem armia przedostałaby się przez Knieję Elwynn, by sforsować góry i wygładzone krawędzie krateru, a wszystko

po to, by stanąć do walki z samym wielkim Magiem Medivhem? Nie istniały żadne zapisy czy dowody na to, że ktokolwiek, kiedykolwiek próbował oblegać Karazhan.

Spowite cieniem wejście było na tyle wysokie, by zmieścił się w nim słoń w pełnej uprzęży. Nad wejściem wisiał balkon o białej kamiennej balustradzie, z którego można było spojrzeć ponad szczytami okolicznych wzgórz na masyw górski znajdujący się za nimi. Za balustradą coś się poruszyło, Khadgar bardziej to wyczuł, niż zobaczył. Postać w długiej szacie chyba cofała się do wnętrza wieży albo spacerowała po balkonie. Czy nawet teraz ktoś go obserwował? Nikt go tu nie zamierzał powitać, miał przekroczyć próg bez zaproszenia?

– Ty jesteś Nowym Młodym Człowiekiem? – ozwał się cichy, niemalże grobowy głos i niewiele brakowało, by Khadgar, który cały czas zadzierał głowę, wyskoczył ze skóry. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył przygarbioną, chudą sylwetkę wśród cieni spowijających wejście.

Przygarbiony stwór przypominał nieco człowieka i przez chwilę Khadgar podejrzewał, że Medivh poddaje przemianom zwierzęta leśne, by mu służyły. Stworzenie w progu przypominało bezwłosą łasicę, noszącą po bokach pociągłej twarzy coś jak czarne kwadraty. Khadgar nie przypominał sobie, by udzielił jakiejś odpowiedzi, ale łasicolud postąpił naprzód, wyłaniając się nieco z cienia.

– Ty jesteś Nowym Młodym Człowiekiem? – powtórzył.

Każde słowo poprzedzał niewielki wdech, każde oddzielone było od pozostałych i rozpoczęte wielką literą. Stwór zostawił już cienie za plecami i okazał się ni mniej, ni więcej tylko chorobliwie wręcz chudym starcem w ciemnej wełnianej liberii. Sługa – człowiek, niemniej sługa. Czarne kwadraty przy obu skroniach nie były jednak przywidzeniem, przypominały nauszniki, które sięgały niemalże do wydatnego nosa.

Młody mag uświadomił sobie, że gapi się na starca niegrzecznie.

– Khadgar – oznajmił i po chwili zaprezentował ściskany w dłoni list polecający. – Z Dalaranu. Khadgar z Dalaranu leżącego w królestwie Lordaeronu. Zostałem przysłany przez Kirin Tor. Z Purpurowej Cytadeli. Jestem Khadgar z Kirin Toru. Z Purpurowej Cytadeli. Dalaranu. W Lordaeronie. – Miał

wrażenie, że ciska głazy słów w głębię wielkiej, pustej studni w nadziei, że starzec zareaguje na któreś.

– Oczywiście, że tak, Khadgarze – odparł stary sługa. – Z Kirin Toru. Z Purpurowej Cytadeli. Dalaranu. W Lordaeronie.

Starzec ujął list polecający, jakby miał do czynienia z żywym gadem, i wygładziwszy zmaltretowane brzegi, ukrył na piersi bez otwierania. Po tym, jak niósł i chronił ową wiadomość podczas długiej podróży, Khadgar uczuł bolesną stratę. List polecający reprezentował całą jego przyszłość i młodzieniec nie mógł pogodzić się z myślą, że straci pismo z oczu, nawet na chwilę.

– Magowie Kirin Toru wysłali mnie, bym asystował Medivhowi. Lordowi Medivhowi. Magowi Medivhowi. Medivhowi z Karazhanu. – Khadgar uświadomił sobie, że niewiele brakuje, by jego wypowiedź zmieniła się w bełkot, i z wysiłkiem zamknął usta.

– Oczywiście, że tak – odparł sługa. – Wysłali ciebie, tak właśnie.

Ocenił pieczęć na liście, po czym wychudzona dłoń ponownie zanurkowała do kieszeni, i sługa zaprezentował Khadgarowi dwa skórzane kwadraty połączone cienkim metalowym paskiem.

– Klapki na oczy? – zaproponował uprzejmie.

Khadgar zamrugał zaskoczony.

– Nie. To znaczy nie, dziękuję.

– Morios – powiedział sługa.

Khadrgar bezradnie pokręcił głową.

– Ja jestem Morios – uściślił sługa. – Zarządca wieży. Kasztelan Medivha. Klapki? – Ponownie uniósł czarne kwadraty identyczne z tymi, jakie sam nosił.

– Nie, dziękuję… Moriosie? – odparł Khadgar. Na jego twarzy odmalowała się paląca młodzieńcza ciekawość. Sługa odwrócił się i słabym machnięciem ręki nakazał Khadgarowi podążyć za sobą. Młody mag podniósł swój worek i ruszył śladem starca, który choć wydawał się wątły i kruchy, to poruszał się całkiem szybko.

– Czy jesteś sam w wieży? – zagadnął go Khadgar, gdy zaczęli wspinać się po szerokich, kręconych schodach. Kamienne stopnie miały pośrodku

zagłębienia, wydeptane niezliczonymi stopami gości i służących.

– E? – odpowiedział Morios.

– Czy jesteś tu sam? – powtórzył młodzieniec, zastanawiając się, czy będzie musiał mówić w taki sam sposób, jak Morios, żeby stary sługa go zrozumiał. – Mieszkasz tu sam?

– Mag tu jest – odparł Morios świszczącym głosem, bladym i śmiercionośnym jak cmentarna ziemia.

– No tak, oczywiście – zgodził się Khadgar.

– Nie miałoby sensu, żebyś ty był, gdyby jego nie było – stwierdził zarządca wieży. – Tutaj, znaczy.

– Oczywiście – powtórzył Khadgar. – A jest ktoś jeszcze?

– Ty, teraz. Więcej pracy, gdy usługuje się dwóm, a nie jednemu. Nie, żeby mnie ktoś pytał o zdanie.

– Zatem zazwyczaj jesteście tu tylko we dwóch, z magiem? – indagował Khadgar, zastanawiając się, czy zarządcy nie zatrudniono (czy może stworzono) z uwagi na jego małomówność.

– I Kucharka – uściślił Morios. – Ale Kucharka wiele nie mówi. Dziękuję, że zapytałeś, jednak.

Khadgar chciał się powstrzymać od przewracania oczami, ale nie zdołał. Miał tylko nadzieję, że klapki po obu stronach twarzy majordomusa nie pozwoliły mu dostrzec tej reakcji.

Dotarli do płaskiego miejsca – skrzyżowania dwóch korytarzy oświetlonego pochodniami. Morios błyskawicznie przeszedł do kolejnych wydeptanych stopni tworzących schody naprzeciwko. Khadgar zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się pochodniom.

Przysunął dłoń na cal do płomienia, ale nie poczuł żaru. Był ciekaw, czy chłodne ognie są rozmieszczone w całej wieży. W Dalaranie używano fluorescencyjnych kryształów, dających stały blask na tym samym poziomie, aczkolwiek w swych badaniach natknął się na wzmianki o lustrach, żywiołakach zniewolonych wewnątrz lamp, a nawet, w jednym przypadku, na gigantyczne świetliki. Jednak te płomienie wydawały się zmrożone.

Morios dotarł już do połowy kolejnych schodów, odwrócił się powoli i kaszlnął świszcząco. Khadgar natychmiast pospieszył za nim. Najwyraźniej klapki na oczy wcale nie ograniczały pola widzenia starego sługi.

– Po co klapki? – zapytał Khadgar.

– E? – odpowiedział Morios.

– Klapki na oczy. Po co?

Khadgar domyślił się, że grymas na twarzy starego sługi miał być uśmiechem.

– Magia tu silna. Silna i niedobra, czasami. Można… zobaczyć rzeczy… Różne. Jak się nie jest ostrożnym. Ja jestem ostrożny. Inni goście, ci, co byli przed tobą, byli mniej ostrożni. Już ich nie ma.

Khadgar przypomniał sobie zjawę, którą widział – a może i nie widział – na balkonie i skinął głową.

– Kucharka ma parę różowych kwarcowych okularów – dodał Morios. – Się na nie zaklina. – Zamilkł na moment, po czym dodał: – Pod tym względem jest trochę niemądra.

Khadgar zaczął mieć nadzieję, że Morios stanie się bardzo rozmowny, skoro już się trochę rozkręcił.

– Długo jesteś z magiem?

– E? – odpowiedział Morios po raz kolejny.

– Pytałem, czy długo jesteś z Medivhem? – Khadgar miał nadzieję, że udało mu się ukryć zniecierpliwienie.

– Taa. Dość długo – odrzekł majordomus. – Za długo. Wydaje się, że lata minęły. Czas już tu tak płynie. – Świszczący głos sługi ucichł i dalej wspinali się już w milczeniu.

– Co o nim wiesz? – spróbował Khadgar po jakimś czasie. – O magu, znaczy.

– Pytanie – Morios otworzył kolejne drzwi, za którymi znajdowała się następna klatka schodowa – co ty wiesz?

Własne badania Khadgara okazały się zaskakująco bezowocne i przyniosły frustrująco mało informacji. Pomimo dostępu do Wielkiej Biblioteki Purpurowej Cytadeli (i potajemnego dostępu do kilku prywatnych bibliotek i tajnych kolekcji) o wielkim i potężnym Medivhie Khadgar dowiedział się bardzo niewiele. Było to dziwne i zaskakujące, tym bardziej że każdy ze starszyzny Dalaranu najwyraźniej podziwiał Medivha i czegoś od niego chciał. A to przysługi, a to jakiegoś daru, a to informacji.

Medivh jak na maga był wciąż jeszcze młody. Dobiegał czterdziestki i przez większość swojego życia najwyraźniej nie wpłynął w żaden sposób na swoje otoczenie. Było to dla Khadgara prawdziwym zaskoczeniem. Większość opowieści, jakie słyszał czy czytał, przedstawiała niezależnych magów jako nadmiernie skłonnych do popisywania się umiejętnościami, nieustraszonych, gdy przychodziło do igrania z tajemnicami, których nawet nie powinni znać, a przy tym martwych, okaleczonych albo przeklętych wskutek zabawiania się z mocami lub energiami, których nie byli w stanie okiełznać. Z lekcji, które Khadgar przyswoił sobie w dzieciństwie na temat magów niezwiązanych z Dalaranem, wynikało, że ich los zawsze był podobny – jako pozbawionych hamulców, kontroli i rozsądku. Ci dzicy, niewyszkoleni magowie samoucy zawsze kończyli źle (czasami, niezbyt często, niszcząc sporą część krajobrazu wokół).

To, że Medivh nie zdołał jakoś zwalić sobie na głowę całego zamku, rozproszyć swych atomów po Wypaczonej Otchłani czy wezwać smoka, którego nie umiałby kontrolować, sugerowało ogromną samokontrolę lub moc. A mając na uwadze zamieszanie, jakie uczeni czynili wokół osoby Medivha, oraz listę próśb i instrukcji, jakie Khadgar otrzymał, młody mag doszedł do wniosku, że w tym przypadku chodziło jednak o ogromną moc.

Mimo wszystkich swych badań Khadgar nie zdołał wykoncypować dlaczego. Nigdzie nie znalazł wzmianki o jakichś istotnych badaniach albo o wstrząsających odkryciach, które wyjaśniałyby ewidentny podziw, jaki członkowie Kirin Toru żywili wobec tego niezależnego maga. Żadnych wielkich podbojów ani znaczących bitew. Bardowie zauważalnie unikali wszelakich szczegółów, gdy opowieści w jakiś sposób wiązały się z Medivhem, a sumienni

zazwyczaj heroldowie tylko kiwali głowami, gdy przychodziło do omawiania jego osiągnieć.

Khadgar szybko uświadomił sobie jednak, że kryło się w tym wszystkim coś istotnego, co przyprawiało jego nauczycieli o obawy zmieszane z szacunkiem i zazdrością. Członkowie rady żadnego innego niezależnego maga nie uważali za równego sobie; prawdę powiedziawszy, często nawet próbowali stanąć na drodze czarodziejom, którzy nie byli związani z Purpurową Cytadelą, a jednak kłaniali się przed Medivhem. Dlaczego?

Khadgar zdobył jedynie okruchy informacji – wzmiankę o urodzeniu Medivha (Guzbah był szczególnie zainteresowany matką maga) i kilka poczynionych na marginesie w grimuarze notatek wspominających imię Medivha i jego rzadkie wizyty w Dalaranie. Wszystkie miały miejsce w ciągu minionych pięciu lat i najwyraźniej Medivh spotykał się tylko ze starszymi magami, jak zaginiony obecnie Arrexis.

Podsumowując, Khadgar wiedział bardzo niewiele o tym podobno wielkim magu, dla którego miał teraz pracować. Postrzegał wiedzę jako swój miecz i zbroję, dlatego też czuł się przygnębiająco bezbronny i nieprzygotowany do rychłego spotkania.

– Niewiele – powiedział głośno.

– E? – odpowiedział Morios, odwracając się lekko.

– Powiedziałem, że wiem niewiele – powtórzył Khadgar, głośniej niż zamierzał. Jego głos odbił się echem od nagich ścian klatki schodowej, która teraz zakręcała lekko. Khadgar zastanawiał się, czy wieża w istocie jest tak wysoka, jak się mu wydawało. Już teraz uda bolały go od wspinaczki.

– Oczywiście, że nie – zgodził się z nim Morios. – Że nie wiesz, znaczy. Młodzi nigdy nie wiedzą zbyt wiele. Jak mniemam, to właśnie czyni ich młodymi.

– Chodziło mi o to. – Khadgar był już zirytowany. Zamilkł na moment i odetchnął głęboko. – Chodziło mi o to, że nie wiem wiele o Medivhie. Pytałeś.

Morios zatrzymał się ze stopą uniesioną nad kolejnym stopniem.

– No chyba pytałem – rzekł wreszcie.

– Jaki jest? – spytał Khadgar niemal błagalnie.

– Jak wszyscy, jak mniemam – odpowiedział Morios. – Ma swoje upodobania. Ma swoje nastroje. Dobre dni i złe. Jak wszyscy.

– I jak zakłada spodnie, to najpierw jedną nogawkę, potem drugą – westchnął Khadgar.

– Nie. Lewituje do środka spodni. – Morios spojrzał na Khadgara i młodemu magowi wydało się, że na twarzy majordomusa dostrzegł cień uśmiechu. – Jeszcze jeden bieg schodów.

Ostatni bieg zakręcał ostro i Khadgar odgadł, że dotarli do najwyższej iglicy. Stary sługa prowadził.

Klatka schodowa otworzyła się na niewielką okrągłą komnatę otoczoną szerokim zewnętrznym chodnikiem. Khadgar podejrzewał, że znalazł się na samym szczycie wieży w obszernym obserwatorium. W ściany i sufit wprawiono kryształowe okna, czyste i niezamazane. W czasie gdy Khadgar wspinał się po schodach, zapadła noc i niebo usiane było gwiazdami. Samo obserwatorium pozostawało pogrążone w półmroku, oświetlone kilkoma zaledwie pochodniami o tym samym nieruchomym płomieniu, na jakie młody mag natknął się już wcześniej. Te w komnacie jednak zostały osłonięte, by nie przeszkadzać w obserwacji nieba. Pośrodku pomieszczenia znajdowało się przenośne metalowe palenisko wypełnione węglami, zapewne przygotowane na później, gdy nad ranem spadnie temperatura.

Pod ścianami obserwatorium ustawionych zostało kilka dużych półokrągłych stołów, a na blatach piętrzyły się całe stosy rozmaitych instrumentów. Srebrne poziomice, złote astrolabia pełniły rolę przycisków do niezliczonych arkuszy papieru albo zakładek, dzięki którym starożytne tomy pozostawały otwarte na właściwych stronach. Na jednym z blatów stał na wpół rozłożony model przedstawiający ruch planet na sklepieniu niebieskim, cienkie druty i dodatkowe koraliki leżały obok między innymi delikatnymi narzędziami. Część notatników tworzyła stos pod ścianą, inne upchnięto w skrzyniach i wsunięto pod stoły. Rozciągnięta na ramie mapa pokazywała południowe ziemie Azeroth, w tym królestwo Lordaeron, skąd pochodził Khadgar, ale też

odizolowane królestwa krasnoludów i elfów jak Khaz Modan i Quel'Thalas. Mapa usiana była niewielkimi szpilkami tworzącymi konstelacje, które tylko Medivh mógł zrozumieć.

I Medivh też był w obserwatorium, Khadgar natychmiast doszedł do wniosku, że to nie może być nikt inny. Mężczyzna w średnim wieku miał długie włosy, związane na karku w ogon, zapewne kiedyś były hebanowoczarne, teraz jednak pojawiły się w nich pasma siwizny. Nie tylko skronie, ale i broda maga pobielała. Khadgar wiedział, że wielu czarodziejów siwiało przedwcześnie, był to uboczny skutek napięcia i stresu wywołanych władaniem magiczną energią. Strój Medivha był prosty, szczególnie jak na maga, ale dobrze skrojony i dopasowany do szerokich ramion właściciela. Krótki kaftan pozbawiony jakichkolwiek ozdób kończył się tuż nad spodniami, których nogawki wepchnięte zostały w cholewki wielkich butów. Z ramion Medivha spływał brązowy płaszcz z kapturem, teraz odrzuconym na ramiona maga. Kiedy oczy Khadgara przyzwyczaiły się już do półmroku, młody czarodziej zrozumiał, że pomylił się, uznając, że strój maga nie miał żadnych ozdób, był bowiem przystrojony srebrnym filigranem, tak delikatnym, że niewidocznym na pierwszy rzut oka. Spoglądając na plecy maga, Khadgar uświadomił sobie, że widzi wystylizowaną twarz jakiegoś starożytnego demona; gdy mrugnął, koronkowe zdobienie przekształciło się w wizerunek zwiniętego smoka, a potem w widok nocnego nieba.

Medivh był zwrócony tyłem do starego sługi i młodego przybysza, całkowicie ignorując ich obu. Stał przy jednym ze stołów ze złotym astrolabium w jednej dłoni i notatnikiem w drugiej. Wydawał się głęboko zamyślony i Khadgarowi przyszło do głowy, że to może być jeden z tych „nastrojów", przed którymi ostrzegał Morios. Młodzieniec odchrząknął i zrobił krok do przodu, ale Medivh uniósł dłoń i Khadgar zamarł w pół kroku, równie nagle, jakby został unieruchomiony zaklęciem.

Tymczasem stary sługa podszedł cicho do swego pana i stanął z boku,

czekając, aż mag zwróci na niego uwagę.

Minęła minuta. I kolejna. I wreszcie – Khadgar gotów byłby przysiąc, że całą wieczność później – mag odłożył astrolabium, zrobił trzy kreski w notatniku, zamknął go z trzaskiem i odwrócił się do Moriosa.

Zobaczywszy oblicze Medivha po raz pierwszy, Khadgar pomyślał, że Medivh musi mieć o wiele więcej niż te czterdzieści kilka lat, które mu przypisywano. Ta twarz poznaczona była głębokimi zmarszczkami i zmęczeniem. Khadgar bardzo chciałby się dowiedzieć, jaką magią władał ten czarodziej, że wyryła na jego twarzy tak głęboką historię.

Morios sięgnął za pazuchę i wydobył pognieciony list polecający. W nieruchomym świetle karmazynowa pieczęć wyglądała jak uczyniona z krwi. Medivh obrócił się i spojrzał na przybysza.

Oczy maga były głęboko osadzone pod ciężkimi brwiami, ale Khadgar od razu uświadomił sobie lśniącą w nich moc. Coś tańczyło w tych oczach, coś migotało w głębokiej zieleni, coś potężnego i niekoniecznie okiełznanego. Coś niebezpiecznego. Wielki mag otaksował Khadgara wzrokiem i młodzieniec czuł się tak, jakby Medivh podsumował tym jednym spojrzeniem całą egzystencję swego nowego asystenta i uznał, że ten nie jest bardziej interesujący niż żuk albo pchła.

Wielki mag popatrzył na wciąż zapieczętowany list polecający i Khadgar niemal natychmiast poczuł ulgę, zupełnie jakby ogromny, głodny drapieżnik minął go, nie zaszczycając drugim spojrzeniem.

Jego ulga trwała jednak krótko. Medivh nie otworzył listu. Lekko zmarszczył brwi i pergamin nagle stanął w płomieniach. Ogień pojawił się po przeciwnej stronie niż ta, za którą trzymał mag, i miał intensywnie błękitny odcień.

Kiedy Medivh odezwał się wreszcie, w jego głębokim głosie brzmiało rozbawienie:

– A zatem – rzekł, nieświadom, że trzyma w dłoni płonącą przyszłość Khadgara – wygląda na to, że nasz młody szpieg wreszcie przybył.

Rozdział 2

Rozmowa z magiem

– Coś nie tak? – zapytał Medivh i Khadgar nieoczekiwanie znów poczuł na sobie wzrok wielkiego maga. I ponownie poczuł się jak robak, tyle że tym razem robak, który przez przypadek zawędrował na stół roboczy kolekcjonera owadów. Płomienie strawiły już połowę listu polecającego, czerwony wosk z pieczęci zaczął się topić i kapać na kamienną posadzkę obserwatorium.

Khadgar zdawał sobie sprawę, że ma oczy wielkie jak spodki, twarz białą jak prześcieradło, a do tego otwarte usta. Spróbował zrobić wydech, ale udało mu się wycisnąć z siebie tylko zduszony, syczący dźwięk.

Ciemne gęste brwi ściągnęły się w wyrazie konsternacji.

– Źle się czujesz? Moriosie, czy ten chłopak jest chory?

– Może się trochę zasapał – odpowiedział Morios spokojnie. – Była długa wspinaczka.

Wreszcie Khadgarowi udało się wziąć w garść na tyle, by wykrztusić:

– List!

– A, tak – rzekł Medivh. – Dziękuję. Prawie zapomniałem. – Podszedł do paleniska i upuścił płonący pergamin na węgle. Błękitne płomienie buchnęły efektownie na wysokość ramienia, po czym ogień przygasł i stał się na powrót normalny, wypełniając pomieszczenie ciepłym, czerwonawym blaskiem. Po liście polecającym, pergaminie i karmazynowej pieczęci z wytłoczonym symbolem Kirin Toru nie został żaden ślad.

– Nie przeczytałeś go! – wypalił Khadgar i szybko się zmitygował. – To znaczy, z całym szacunkiem, panie.

Wielki mag zaśmiał się i usadowił w wielkim fotelu z ciemnego rzeźbionego

drewna i płótna. Ogień oświetlał jego twarz, rozjaśniając głębokie zmarszczki układające się w uśmiech. Mimo to Khadgar nie był w stanie się odprężyć.

Medivh pochylił się do przodu.

– „O Wielki i Szacowny Arcymagu Medivhie, Mistrzu Magów Karazhanu, pozdrawia Cię Kirin Tor, z najbardziej uczonej i najpotężniejszej ze wszystkich akademii, gildii, stowarzyszeń magicznych, skupiających królewskich doradców, nauczycieli mędrców i odkrywców tajemnic". I tak dalej w tym stylu, z każdym zdaniem pusząc się coraz bardziej. Jak mi idzie?

– Nie mogę ocenić – odparł Khadgar. – Polecono mi…

– Nie otwierać listu – dokończył Medivh. – Ale ty i tak to zrobiłeś. – Podniósł oczy na młodzieńca, któremu dech uwiązł w gardle. Coś błysnęło w tych oczach i Khadgar zaczął się zastanawiać, czy mag jest na tyle potężny, by rzucać zaklęcia niezauważalnie.

Młodzieniec przytaknął powoli i spiął się cały w oczekiwaniu na reakcję maga.

Medivh śmiał się głośno.

– Kiedy?

– Podczas… podczas drogi z Lordaeronu do Kul Tiras – wyznał Khadgar niepewny, czy rozbawi tym, czy rozeźli potencjalnego mentora. – Przez dwa dni na morzu panowała cisza i…

– Ciekawość zwyciężyła – znów dokończył za niego Medivh i uśmiechnął się. W siwiejącej brodzie błysnęły białe zęby. – Ja pewnie otworzyłbym go natychmiast, jak tylko nie byłoby mnie widać z Purpurowej Cytadeli.

Khadgar wziął głęboki oddech i powiedział:

– Rozważałem to, ale przypuszczałem, że uruchomili czar wróżebny, przynajmniej w pewnym zasięgu.

– Więc chciałeś znaleźć się poza zasięgiem wszelkich czarów i wiadomości wzywającej cię do natychmiastowego powrotu za karę, za otwarcie listu. Poskładałeś wszystko na powrót tak, żeby list przeszedł pobieżne oględziny, przekonany, że od razu złamię pieczęć i nie zauważę, że ją naruszyłeś. – Medivh pozwolił sobie na cichy śmiech, ale zaraz jego twarz ściągnęła się surowo. – Jak to zrobiłem? – zapytał.

Khadgar zamrugał.

– Ale co, panie?

– Skąd znałem treść listu? – doprecyzował Medivh i wygiął usta, wysuwając podbródek. – W liście, który spaliłem, stało, że młody człowiek, Khadgar, ma imponujące zdolności dedukcyjne i jest wyjątkowo inteligentny. No, to zaimponuj mi.

Khadgar popatrzył na Medivha. Jowialny uśmiech sprzed chwili zniknął z oblicza maga. Teraz przypominało ono rzeźbę prymitywnego boga, osądzającego i bezlitosnego. Z oczu, wcześniej skrzących się wesołością, teraz emanowała ledwie powściągana wściekłość. Ściągnięte groźnie brwi zapowiadały nadciągającą burzę.

Khadgar zaciął się na moment, a potem powiedział:

– Przeczytałeś w moich myślach, panie.

– Możliwe – stwierdził Medivh – ale w tym przypadku błędne. Jesteś teraz kłębkiem nerwów, a to przeszkadza w odczytywaniu myśli. Pierwsza odpowiedź nieprawidłowa.

– Dostawałeś, panie, takie listy już wcześniej – spróbował Khadgar. – Od Kirin Toru. Wiesz, w jakim stylu piszą.

– Też możliwe – zgodził się mag. – Owszem, dostawałem stamtąd listy i rzeczywiście zwykle są tak pełne samouwielbienia, że trąci to arogancją. Ale znasz dokładną treść listu, tak jak i ja. Dobry strzał, najbardziej oczywisty, ale znów spudłowałeś. Druga nieprawidłowa odpowiedź.

Khadgar zacisnął usta. Myśli galopowały mu w głowie, a serce w piersiach.

– Współodczuwanie – powiedział w końcu.

Medivh zachował kamienną twarz i spokojny głos.

– Wyjaśnij.

Khadgar odetchnął głęboko.

– To jedno z praw magii. Jeśli ktoś ma związek z jakimś przedmiotem, zostawia na nim ślad magicznej aury, jej rezonans. Ponieważ każdy ma niepowtarzalną aurę, można stworzyć więź z daną osobą, mając ten przedmiot. W ten sposób można wykorzystać kosmyk włosów do zaklęcia miłosnego albo wyśledzić właściciela monety.

Medivh lekko przymrużył oczy i przeciągnął palcem po zarośniętym podbródku.

– Kontynuuj.

Khadgar zamilkł na chwilę pod ciężarem spojrzenia maga. Tyle wiedział z wykładów. Był w połowie drogi. Ale jak Medivh wykorzystał to prawo?

– Im częściej ktoś używa przedmiotu, tym silniejszy rezonans – podjął pospiesznie. – Im więcej przedmiotowi poświęca się uwagi, tym silniejsza będzie więź. – Wyrzucał z siebie słowa coraz szybciej. – A więc dokument zapisany czyjąś ręką ma silniejszą aurę niż czysta kartka, a ponieważ piszący skupia się na treści, to… – Khadgar przerwał, by zebrać myśli. – Czytałeś jednak w myślach, panie, tyle że nie moich, lecz skryby, w chwili, kiedy pisał ten list. Wychwyciłeś myśli wzmacniające słowa.

– Bez potrzeby otwierania listu – zakończył Medivh, a iskry znów zatańczyły w jego oczach. – W jaki sposób można to wykorzystać w nauce?

Khadgar zamrugał i odwrócił wzrok, chcąc uniknąć świdrującego spojrzenia maga.

– Można by czytać książki, nie czytając ich.

– Bardzo cenna umiejętność dla badacza – potwierdził Medivh. – Żyjesz w społeczności uczonych, dlaczego z niej nie korzystałeś?

– Bo… bo… – Khadgar pomyślał o Korriganie, który potrafił znaleźć w bibliotece dosłownie wszystko, nawet najdrobniejszy przypis. – Myślę, że uczeni z tego korzystają, ale tylko starszyzna rady.

Medivh skinął.

– A dzieje się tak bo…?

Khadgar pomyślał, a potem pokręcił głową.

– Kto pisałby książki, jeśli całą wiedzę można by wyssać za pomocą mentalnego połączenia i magii? – zasugerował mag. Uśmiechnął się i Khadgar zorientował się, że cały czas wstrzymywał oddech. – Nieźle. Całkiem nieźle. Znasz kontrzaklęcia?

– Do piątego poziomu.

– Potrafisz wyczarować pocisk magiczny? – spytał Medivh natychmiast.

– Jeden lub dwa, ale to dla mnie wyczerpujące – odpowiedział młodzieniec,

czując, że rozmowa znów przybiera poważny ton.

– Podstawowe żywioły?

– Najlepiej ogień, ale pozostałe też znam.

– Magia natury? – pytał Medivh. – Maturacja, selekcja, pozyskiwanie? Potrafisz wziąć nasiono i odebrać mu młodość, aż stanie się kwiatem?

– Nie, panie, byłem szkolony w mieście.

– Potrafisz zrobić homunkulusa?

– Doktryna właściwie tego zakazuje, ale rozumiem zasady, które rządzą procesem – powiedział Khadgar. – Jeśli jesteś ciekaw…

Oczy Medivha błysnęły.

– Przypłynąłeś tu z Lordaeronu? Na jakim okręcie?

Zaskoczony nagłą zmianą tematu Khadgar poczuł się zbity z pantałyku.

– Tak. Hm… To był kultirański żaglowiec, Łaskawy Wiatr.

– Z Kul Tiras – stwierdził Medivh. – Załoga złożona z ludzi?

– Tak.

– Rozmawiałeś z nimi w ogóle?

I znów Khadgar poczuł, że rozmowa zmienia się w przesłuchanie.

– Trochę. Chyba śmieszył ich mój akcent.

– Marynarzy z Kul Tiras łatwo rozśmieszyć. Były jakieś inne istoty w załodze? Poza ludźmi?

– Nie, panie – powiedział Khadgar. – Kul Tiranie opowiadali historie o ryboludach. Zwali ich murlokami. Czy oni istnieją naprawdę?

– Tak. Z jakimi innymi rasami się zetknąłeś? Innymi niż odmiany ludzi?

– W Dalaranie było kiedyś parę gnomów – wymieniał Khadgar. – Spotkałem też krasnoludzkich rzemieślników i wytwórców artefaktów w Purpurowej Cytadeli. Smoki znam tylko z legend, w akademii widziałem czaszkę jednego z nich.

– A trolle? Gobliny? – pytał Medivh.

– Trolle. Cztery znane rodzaje trolli. Może istnieć też piąty.

– To brednie, jakich uczy Alonda – mruknął Medivh, ale gestem kazał Khadgarowi kontynuować.

– Trolle to dzikie stwory, większe od ludzi. Bardzo wysokie, żylaste,

o wydłużonych twarzach. Um… – Zastanawiał się przez chwilę. – Tworzą plemiona. Wygnane niemal zupełnie z cywilizowanych krain, w Lordaeronie już chyba wyginęły.

– Gobliny?

– Znacznie mniejsze, wielkości krasnoludów. Tak samo wspaniali wynalazcy, ale ze skłonnościami do destrukcji. Nieulękłe. Czytałem, że jako rasa są szalone.

– Tylko te bystre – uściślił Medivh. – Wiesz coś o demonach?

– Oczywiście, panie – przytaknął Khadgar pospiesznie. – To znaczy z legend. Znam też odpowiednie zaklęcia wypędzające i ochronne. Magowie w Dalaranie uczą się ich od pierwszego dnia szkolenia.

– Ale nie przyzywałeś żadnego – stwierdził Medivh. – Ani nie byłeś obecny przy tym, jak ktoś je przyzywał.

Khadgar zamrugał, zastanawiając się, czy to aby nie podchwytliwe pytanie.

– Nie, panie. Nawet by mi to do głowy nie przyszło.

– Nie wątpię – powiedział mag z nutą ostrości w głosie. – To niech ci przyjdzie. Wiesz, co to Strażnik?

– Strażnik? – Khadgar poczuł, że konwersacja znów przybiera inny obrót. – Wartownik? Jakaś inna rasa? Rodzaj potwora? Może jakiś obrońca?

Medivh z uśmiechem pokręcił głową.

– Nie przejmuj się. Nie powinieneś tego wiedzieć. W tym całe sedno. – Znów podniósł wzrok na młodzieńca – A co wiesz o mnie?

Khadgar zerknął w stronę kasztelana Moriosa i uświadomił sobie, że sługi nie ma, zniknął gdzieś w cieniach. Młodzieńcowi zabrakło słów.

– Magowie z Kirin Toru darzą cię, panie, ogromnym szacunkiem – wydukał dyplomatycznie.

– To oczywiste – burknął Medivh.

– Jesteś potężnym, niezależnym magiem, podobno doradcą króla Llane’a, władcy Wichrogrodu.

– Znamy się od dawna. – Medivh kiwnął głową.

– Poza tym… – Khadgar zawahał się, rozważając, czy mag naprawdę mógłby odczytać jego myśli.

– Tak?

– Nic takiego, co mogłoby uzasadnić takie poważanie – dokończył Khadgar.

– I lęk – dorzucił Medivh.

– I zazdrość – dodał Khadgar nagle zmęczony pytaniami, na które nie wiedział, jak odpowiadać. – Nic takiego, co wyjaśniałoby bezpośrednio estymę, jaką darzy cię Kirin Tor.

– I tak być powinno – warknął Medivh rozdrażniony, rozcierając ręce nad ogniem. – Tak być powinno.

Khadgar nie wierzył, że magowi może być zimno. Jemu z nerwów pot ściekał po plecach.

Wreszcie Medivh spojrzał na niego. W jego oczach znów zbierała się burza.

– Ale co wiesz o mnie?

– Nic, panie.

– Nic? – Głos Medivha urósł i odbił się echem po obserwatorium. – Nic? Przebyłeś tu taką drogę po nic? Nie zadałeś sobie trudu, żeby czegoś o mnie poszukać? A może twoi mistrzowie skorzystali z okazji, by się ciebie pozbyć, licząc, że zginiesz po drodze? Nie byłby to pierwszy raz.

– Nie było czego szukać. Nie dokonałeś niczego wielkiego – uniósł się Khadgar, a potem wziął głęboki oddech, naraz zdając sobie sprawę, z kim rozmawia i co mówi. – To znaczy takich, panie, o których znalazłbym jakieś informacje.

Spodziewał się, że starszy mag się wścieknie, ale ten tylko zachichotał.

– A co znalazłeś?

Khadgar westchnął i zaczął mówić.

– Pochodzisz, panie, z rodu czarnoksięskiego. Twój ojciec był magiem z Wichrogrodu, nazywał się Nielas Aran. Twoją matką była Egwina, co może być tytułem – a nie imieniem. Jego początki sięgają przynajmniej osiemset lat wstecz. Dorastałeś w Wichrogrodzie i od dziecka znasz króla Llane'a i lorda Lothara. Poza tym – Khadgar zawiesił na chwilę głos – to nic.

Medivh zapatrzył się w ogień i skinął głową.

– No, to już coś. Więcej, niż przeciętny człowiek potrafiłby znaleźć.

– Aha, i twoje imię oznacza „Strażnika Tajemnic" – dodał Khadgar. –

W języku wysokich elfów. To też znalazłem.

– Aż nadto prawdziwie – rzekł Medivh naraz znużony. Przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w ogień. – Egwina to nie przydomek – odezwał się w końcu. – To po prostu imię mojej matki.

– Wobec tego było kilka kobiet o tym imieniu, pewnie tradycyjnie nadaje się je w twojej rodzinie, panie – zasugerował Khadgar.

– Nosi je tylko ona – stwierdził Medivh ponuro.

Khadgar zaśmiał się nerwowo.

– Ale to by oznaczało, że ma…

– Miała ponad siedemset pięćdziesiąt lat, kiedy się urodziłem – stwierdził Medivh z nieoczekiwanym prychnięciem. – A jest o wiele starsza. Jestem późnym dzieckiem. To może tłumaczyć, dlaczego członkowie Kirin Toru są tak ciekawi, co mam w bibliotece. I dlatego przysłali cię tu, byś się dowiedział.

– Panie – zaczął Khadgar tak surowo, jak tylko mógł. – Rzeczywiście, każdy mag z rady, poza najwyższymi, chciał, żebym się o tobie czegoś dowiedział. Zadośćuczynię ich pragnieniom na tyle, na ile będę w stanie, ale jeśli jest coś, co chciałbyś zatrzymać w sekrecie czy ukryć, w pełni zrozumiem.

– Gdybym tak myślał, nie przebyłbyś lasu, żeby tu dotrzeć – oświadczył Medivh poważnie. – Potrzebuję kogoś do uporządkowania i zorganizowania biblioteki, to na początek. Poza tym do pracy w laboratorium alchemicznym. Tak, nadasz się świetnie. Widzisz, podobnie jak ty wiesz, co oznacza moje imię, ja wiem, co oznacza twoje. Moriosie!

– Tak, panie. – Sługa wyłonił się niespodziewanie z cieni. Khadgar aż podskoczył.

– Zaprowadź chłopaka do jego kwatery i daj mu coś do jedzenia. Ma za sobą męczący dzień.

– Oczywiście, panie – przytaknął Morios.

– Jedno pytanie, mistrzu. To znaczy, lordzie magu – poprawił się szybko Khadgar.

– Możesz nazywać mnie po prostu Medivhem. Reaguję też na Strażnika Tajemnic i kilka innych imion, z czego nie wszystkie są znane.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że znasz znaczenie mojego imienia? –

zapytał Khadgar.

Medivh uśmiechnął się, a pomieszczenie znów wydało się ciepłe i przytulne.

– Nie znasz krasnoludzkiego – zauważył.

Khadgar pokręcił głową.

– Moje imię w języku wysokich elfów znaczy „Strażnik Tajemnic”. Twoje w starokrasnoludzkim „Powiernik”. A więc uznam cię za godnego twojego imienia, Młody Powierniku.

Morios zaprowadził Khadgara do jego kwater znajdujących się w połowie wysokości wieży, objaśniając po drodze tym swoim upiornym stanowczym tonem zasady panujące w domostwie Medivha. Strawa w Wieży Medivha była prosta – owsianka i kiełbaski na śniadanie, lunch na zimno i obfita kolacja, zazwyczaj gulasz albo pieczeń z warzywami. Kucharka kończyła pracę po wieczornym posiłku, ale zostawiała resztki w lodowni. Medivh pracował w porach, które delikatnie można było określić jako „nieprzewidywalne”, a Morios i Kucharka dawno już nauczyli się, jak mu usługiwać, wkładając w to minimum wysiłku.

Morios poinformował młodego Khadgara, że jako asystent, a nie sługa, młodzieniec nie będzie miał takiego luksusu. Będzie musiał być do dyspozycji na każde żądanie maga.

– Spodziewałem się tego, taka dola ucznia – rzekł Khadgar.

Morios odwrócił się do niego w pół kroku (szli właśnie wzdłuż galerii, nad obszerną salą balową albo komnatą bankietową).

– Jeszcze nie ucznia, chłopcze – wydyszał Morios. – Nawet nie w połowie.

– Ale Medivh powiedział…

– Że możesz uporządkować bibliotekę – dodał Morios. – To robota asystenta, nie ucznia. Inni też byli asystentami. A żaden nie został uczniem.

Khadgar zmarszczył czoło, czując ciepło rumieńca na policzkach. Nie spodziewał się, że w hierarchii magów istnieje jakiś stopień poprzedzający ucznia.

– Ile czasu zajmie…

– Trudno powiedzieć, naprawdę – wszedł mu w słowo sługa. – Żaden nie

dotarł tak daleko.

Khadgarowi nasunęły się dwa pytania naraz, zawahał się, po czym wyartykułował pierwsze.

– Ilu „asystentów” było tu wcześniej?

Morios utkwił nieobecne spojrzenie w przestrzeni ponad barierką galerii. Khadgar zastanawiał się, czy sługa liczy, czy też pytanie zastopowało go ostatecznie. Pomieszczenie poniżej było prawie puste, poza masywnym stołem i krzesłami. Khadgar uznał, że Medivh nie wydaje zbyt wielu przyjęć.

– Kilkudziesięciu – odezwał się Morios w końcu. – Co najmniej. Większość z Wichrogrodu. I elfiątko. Nie, dwa. Ty jesteś pierwszym przysłanym przez Kirin Tor.

– Kilkudziesięciu – powtórzył Khadgar, ze ściśniętym sercem myśląc, jak wiele razy wcześniej Medivh witał u siebie młodego asystenta chcącego zostać magiem.

– Jak długo wytrzymywali? – zadał drugie pytanie.

Morios tym razem parsknął.

– Kilka dni. Czasem parę godzin. Jeden elf nie dotrwał nawet do końca podróży schodami na wieżę. – Postukał palcem w klapki na oczy. – Widzieli różne rzeczy, wiesz.

Khadgar przypomniał sobie postać, którą widział przy głównym wejściu, i tylko pokiwał głową.

Wreszcie dotarli do kwatery Khadgara znajdującej się w bocznym korytarzu, niedaleko sali bankietowej.

– Odśwież się – polecił mu Morios, wręczając latarnię. – Wychodek jest na końcu korytarza, a pod łóżkiem masz nocnik. Zejdź na dół, do kuchni. Kucharka da ci coś ciepłego do jedzenia.

Pokój Khadgara miał kształt wąskiego klina wyciętego z koła wieży i był bardziej stosowny dla mnicha kontemplującego w klauzurze niż dla maga. Pod jedną ścianą stała wąska prycza, pod drugą równie wąskie biurko, nad którym wisiała pusta półka. Kufer na ubrania. Khadgar wrzucił tam worek i podszedł do okna.

Okno było wąską taflą szkła ołowiowego osadzoną pośrodku na pionowym

pręcie. Khadgar pchnął jedną połówkę i tafla uchyliła się, a spod trzpienia na dole wysączył się olej.

Komnata przydzielona Khadgarowi znajdowała się wysoko, więc widok był całkiem rozległy. Otaczające wieżę wzgórza wydawały się szare i nagie w świetle dwóch księżyców. Z tej wysokości oczywistym było, że wzniesienia tworzą ściany krateru, wyoblone latami erozji. Czyżby ze środka została wyrwana jakaś góra na podobieństwo spróchniałego zęba? A może to góry wokół urosły szybciej, a pierścień wzgórz nie wypiętrzył się równie szybko i tym sposobem to przesycone mocą miejsce zostało zakorzenione na tym samym poziomie?

Khadgar zastanawiał się, czy matka Medivha była tu już, kiedy teren wypiętrzył się lub może zapadł albo został uderzony kawałkiem nieba. Osiemset lat to długo, nawet jak na maga. Już po dwustu, jak wynikało z doświadczeń, większość ludzkich magów była wychudła jak szkielety i tak samo krucha. A mieć siedemset pięćdziesiąt lat i urodzić dziecko? Niesłychane! Medivh zapewne tylko tak żartował.

Zrzuciwszy płaszcz podróżny, Khadgar odwiedził przybytek w końcu korytarza. Warunki okazały się nader proste, ale w toalecie znajdował się dzban z zimną wodą, miska i przejrzyste lustro. Khadgar rozważał, czy nie użyć pomniejszego zaklęcia do podgrzania wody, ale uznał, że da radę bez tego.

Woda go orzeźwiła, a jeszcze lepiej poczuł się, kiedy włożył mniej zapylone szaty: wygodną tunikę, która sięgała mu po kolana, i parę mocnych spodni. Strój roboczy. Wyciągnął z bagażu długi nóż do jedzenia i po chwili zastanowienia wsunął go za cholewkę.

Po wyjściu na korytarz uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, gdzie jest kuchnia. W pobliżu stajni nie było przybudówki kuchennej, więc miejsce do gotowania znajdowało się najpewniej wewnątrz wieży. Prawdopodobnie na parterze lub w pobliżu, gdzie za pomocą pompy można było czerpać wodę ze studni. Z łatwym dojściem do sali bankietowej, nawet jeśli rzadko tu wyprawiano bankiety.

Galerię nad salą odnalazł dość łatwo, ale musiał się postarać, by znaleźć klatkę schodową. Do sali wiodło kilka przejść. Khadgar wybrał to, które

wydawało mu się najbardziej prawdopodobne, i znalazł się w ślepym korytarzu, z szeregiem pustych pomieszczeń podobnych do jego celi po obu stronach. Ponowny wybór drogi dał taki sam rezultat.

Trzeci zaprowadził go w serce bitwy.

Tego się nie spodziewał. W jednej chwili stąpał po kamiennych schodach, zastanawiając się, czy do poruszania się po wieży nie będzie przypadkiem potrzebował mapy, dzwonka albo rogu myśliwskiego. A w następnej powała nad jego głową otworzyła się na rozpłomienione niebo barwy świeżej krwi, a on sam stał pośród wojowników w pełnych zbrojach szykujących się do bitwy.

Zrobił krok do przodu, a korytarz za nim zniknął, zmieniając się w pofałdowany, pustynny krajobraz, całkowicie Khadgarowi obcy. Wojownicy pokrzykiwali i wskazywali na coś, ale ich głosy, mimo że stali tuż obok, były niewyraźne, stłumione, jakby dobiegały spod wody.

Sen? Pomyślał Khadgar. Może położył się na moment i zapadł w drzemkę, a to wszystko było koszmarem wywołanym przez jego troski. Ale nie, prawie czuł na skórze żar dogorywającego opasłego słońca, podmuch wiatru i ruch krzyczących wokół niego mężczyzn.

Zupełnie jakby został wyrwany ze swojego świata i osadzony na jednoosobowej wyspie, gdzie ma jedynie nikły kontakt z otaczającą go rzeczywistością. Jak gdyby stał się duchem.

I w rzeczy samej, wojownicy ignorowali jego obecność, jakby był niewidzialny albo pozbawiony ciała. Khadgar wyciągnął rękę, żeby chwycić jednego z wojów za ramię, i ku jego uldze, dłoń nie przeszła przez wysłużony naramiennik. Wyczuł opór, ale niemalże niezauważalny – czuł materię zbroi, a kiedy się skoncentrował, nawet nierówne krawędzie poobijanego metalu.

Khadgar zdał sobie sprawę, że ci ludzie walczyli, całkiem niedawno i bardzo ciężko. Tylko jeden na trzech nie miał jakiegoś naprędce założonego opatrunku – te zakrwawione ordery wojenne wystawały im spod brudnych zbroi czy powyginanych hełmów. Ich broń także była wyszczerbiona i obryzgana zakrzepłą krwią. Znalazł się w samym środku bitwy.

Khadgar rozejrzał się, by ustalić ich pozycję. Stali na szczycie pagórka, lekkiego wyniesienia terenu na otaczającej ich pofałdowanej równinie. Cała

roślinność została wycięta, zbudowano z niej prymitywne szańce, strzeżone teraz przez mężczyzn o ponurych obliczach. Poza tymi zasiekami w zasięgu wzroku nie było innych fortyfikacji, zamku czy twierdzy. Walczący wybrali to miejsce tylko dlatego, że nie było lepszego.

Żołnierze rozstąpili się przed potężnym mężczyzną o białej brodzie i szerokich barach, który najwyraźniej był ich przywódcą. Jego zbroja była równie poobijana, jak pozostałych, ale pod napierśnikiem czerwieniła się szata mędrca, która jednak nie wyróżniałaby się pośród członków Kirin Toru. Rąbek, rękawy i talia szkarłatnej szaty były wyszyte runami mocy – niektóre z nich Khadgar rozpoznawał, inne były mu całkiem nieznane. Śnieżnobiała broda sięgała dowódcy po pas, przesłaniając pancerz. Na głowie miał czerwoną czapkę ze złotym klejnotem nad brwiami. W jednej ręce trzymał kostur, na którego końcu znajdował się klejnot, w drugiej – ciemnoczerwony miecz.

Dowódca grzmiał na wojowników głosem, który dla Khadgara brzmiał jak odległy ryk huczącego morza, ale podkomendni zdawali się słyszeć go wyraźnie, bo ustawili się wzdłuż barykad.

Białobrody przeszedł blisko Khadgara i młodzieniec mimowolnie gwałtownie się cofnął, schodząc mu z drogi. Dowódca nie powinien go zauważyć, tak jak nie zauważali Khadgara żołnierze.

A jednak zauważył. Zająknął się, stanął niefortunnie na nierówności kamienistego pagórka i o mało co się nie potknął. Odzyskawszy równowagę, odwrócił się i spojrzał na Khadgara.

Tak, popatrzył na Khadgara, który nie miał wątpliwości, że wiekowy mag widzi go, i to bardzo dobrze. Dowódca spojrzał mu w oczy i przez chwilę Khadgar czuł się tak jak wcześniej pod miażdżącym wzrokiem Medivha. Tyle że ten był jeszcze bardziej intensywny. Khadgar odwzajemnił się i zajrzał w oczy białobrodego maga.

Aż jęknął na widok tego, co w nich ujrzał. Mimowolnie odwrócił głowę, zrywając kontakt wzrokowy z magiem-wojownikiem.

Kiedy znów podniósł wzrok, mag skinął głową, patrząc na niego. Był to lekki ruch głową, niemal lekceważący, a twarz maga była ściągnięta i surowa. Potem białobrody odszedł, pokrzykując na podkomendnych, usilnie prosząc, by

się bronili.

Khadgar chciał za nim iść, doścignąć i zapytać, jakim cudem dowódca go widział, podczas gdy inni wojownicy nie, dowiedzieć się czegoś, ale wokół rozległ się chóralny krzyk, stłumione wołanie znużonych wojowników, po raz ostatni wezwanych do służby. Miecze i włócznie uniosły się ku niebu o barwie zakrzepłej krwi, wskazując pobliską grań, gdzie powodzie wypłukały liliowe wzory, odsłaniając rdzawe warstwy gleby.

Khadgar spojrzał w stronę, gdzie wskazywali wojownicy. Przez szczyt wzniesienia przelała się fala zieleni i czerni. W pierwszej chwili pomyślał, że to rzeka albo wywołana zaklęciem barwna lawina błota, ale szybko zdał sobie sprawę, że to zbliżająca się armia. Jej wojownicy mieli zieloną skórę i czarne zbroje.

Były to stwory jak z koszmarów, karykatury ludzkich kształtów. W zielonych twarzach od razu rzucały się w oczy masywne szczęki o ostrych zębach i sterczących kłach, płaskie nosy zdawały się nieustannie węszyć na sposób psi, a małe przekrwione ślepia pałały nienawiścią. Hebanowa broń istot i bogato zdobione pancerze lśniły w promieniach dogasającego słońca tego świata. Przelawszy się przez grań, wojownicy wydali z siebie ryk, od którego zadrżała ziemia.

Żołnierze obok Khadgara również wydali okrzyk i kiedy fala wrogiego wojska zbliżała się do nich, zaczęli szyć w przeciwników czerwono upierzonymi strzałami. Pierwszy szereg potworów załamał się, wojownicy padali na ziemię, lecz po ich ciałach pędzili już następni.

Kolejna salwa i kolejny szereg nieludzkich istot runął, jednak wszelkie luki natychmiast zostały wypełnione – za pierwszymi wojownikami pędziła ich cała masa.

Z prawej strony błysnęło i na ziemi zatańczyły błyskawice, a potwory zaczęły wyć w mękach, gdy żar zaczął trawić ich ciała. Khadgar pomyślał, że to pewnie dzieło maga dowódcy, ale nie mógł nie zauważyć, że pioruny tylko nieznacznie przerzedziły szeregi hordy.

A potem runęła na nich masa zielonych potworów, czarna i zielona fala zderzyła się z naprędce skleconą palisadą. Pniaki poddały się niczym źdźbła

trawy pod naporem tego huraganu, linia obrony zaczęła się załamywać. Jeden z żołnierzy nieopodal Khadgara runął przebity wielką czarną włócznią. W miejscu poległego stał teraz stwór prosto z koszmarów – zielony, okuty czarną zbroją – wyjąc tryumfalnie.

Khadgar mimowolnie cofnął się i odwrócił z zamiarem ucieczki. O mało co nie zderzył się z Moriosem stojącym pod łukowatym wejściem.

– Spóźniałeś się – zaświstał Morios spokojnie. – Mogłeś się zgubić.

Khadgar okręcił się na pięcie, ale nie ujrzał już świata o szkarłatnym niebie i zielonych potworów, tylko opustoszały salonik. Palenisko było wygasłe, krzesła okryte płachtami płótna, a powietrze pachniało wzbudzonym kurzem.

– Byłem… – wyjąkał Khadgar. – Widziałem… Trafiłem…

– W inne miejsce? – podpowiedział Morios.

Khadgar przełknął nerwowo ślinę, rozejrzał się, a potem skinął głową w milczeniu.

– Późna kolacja czeka – marudził Morios. – Nie traf znów do jakiegoś innego miejsca.

Z tymi słowy odziany w czerń sługa obrócił się i bezszelestnie wyślizgnął się z pomieszczenia.

Khadgar raz jeszcze obejrzał ślepy korytarz. Nie było tu żadnych tajemniczych łuków czy magicznych przejść. Wizja, o ile była to wizja, skończyła się równie nagle, jak się zaczęła.

Nie było żadnych wojowników. Żadnych zielonych potworów. Żadnej armii, która miała polec pod naporem wroga. Pozostało jedynie wspomnienie, które przeraziło Khadgara do głębi. Tak realne. Tak rzeczywiste. Czuł, że było prawdziwe.

Ani potwory, ani rzeź nie przeraziły Khadgara, tylko mag wojownik, białowłosy dowódca, który, jak się zdawało, mógł go widzieć. Który wejrzał mu prosto w serce i odkrył jego pragnienie.

A co najgorsze ze wszystkiego, białobrody mag w szatach i pancerzu miał oczy Khadgara. Twarz starą, włosy siwe, postawę władczą, ale te same oczy, które Khadgar widział w przejrzystym zwierciadle ledwie chwilę (a może całe wieki?) temu.

Khadgar opuścił salonik, zastanawiając się, czy nie jest za późno, by sprawić sobie parę klapek na oczy.

Rozdział 3

Zapuszczanie korzeni

– Zaczniemy powoli – powiedział starszy z magów przy stole. – Oszacuj sobie zawartość biblioteki. Zastanów się, jak zamierzasz ją uporządkować.

Khadgar pokiwał głową znad owsianki i kiełbasek. Większość rozmowy przy śniadaniu dotyczyła Dalaranu. Co było popularne w mieście magów i jak wyglądała moda w Lordaeronie. O co obecnie kłócą się członkowie Kirin Toru. Khadgar wspomniał, że w chwili, gdy opuszczał Dalaran, na czasie było filozoficzne pytanie, czy tworząc ogień przy wykorzystaniu magii, powołuje się go do istnienia, czy też przyzywa z jakiegoś równoległego wymiaru.

Medivh sapnął z irytacją nad swoim talerzem.

– Głupcy. Nie rozpoznaliby równoległego wymiaru, nawet gdyby nagle ugryzł ich w… A co ty sądzisz?

– Sądzę… – Khadgar nagle uświadomił sobie, że znalazł się w centrum uwagi maga i poczuł się niezręcznie. – Sądzę, że może chodzić o coś zupełnie innego.

– Doskonale – stwierdził Medivh z uśmiechem. – Jeśli musisz wybierać z dwóch możliwości, zawsze wybieraj trzecią. Oczywiście miałeś zamiar powiedzieć, że kiedy tworzysz ogień, po prostu koncentrujesz samą istotę płomieni zawartą w twoim otoczeniu, gromadząc ją w jednym, konkretnym miejscu, innymi słowy powołujesz do istnienia.

– Oczywiście, że tak właśnie bym powiedział – odpowiedział Khadgar, po czym dodał: – gdybym się nad tym zastanowił. Przez jakiś czas. Na przykład parę lat.

– Dobrze – stwierdził Medivh, ocierając brodę serwetką. – Masz bystry

umysł i uczciwie oceniasz swoje możliwości. Zobaczymy, jak poradzisz sobie z biblioteką. Morios wskaże ci drogę.

Biblioteka zajmowała dwa poziomy, mniej więcej w jednej trzeciej wysokości budynku. Schody w tej części przylegały do zewnętrznego muru wieży, w ten sposób powstała wielka, otwarta komnata wysoka na dwa piętra. Na wyższym poziomie platforma z barierką z kutego żelaza tworzyła galerię wokół komnaty. Wąskie okna były osłonione przeplatającymi się żelaznymi prętami, co ograniczyło dostęp światła dziennego, czyniąc je niewiele mocniejszym od tego, które dawała przysłonięta pochodnia. Na wielkich dębowych stołach kryształowe kule pokryte grubą patyną kurzu świeciły niebieskoszarym blaskiem.

Wnętrze biblioteki zasługiwało jednak na miano jednej wielkiej katastrofy. Księgi walały się wszędzie, pootwierane na przypadkowych stronach, rozwinięte zwoje zwisały przerzucone przez oparcia foteli, a każda powierzchnia zasłana była arkuszami papieru, tak jak leśne poszycie jesienią zasłane jest liśćmi. Co bardziej wiekowe woluminy zostały przykute do bibliotecznych regałów, ale strącone z półek, zwisały ze swych łańcuchów na podobieństwo więźniów w lochach.

Khadgar przyjrzał się zniszczeniom i westchnął głęboko.

– Zaczniemy powoli – mruknął.

– W ciągu godziny mogę spakować twoje rzeczy – stwierdził z korytarza Morios, nie wszedł bowiem do samej biblioteki.

Khadgar podniósł z podłogi kawałek pergaminu. Na jednej jego stronie znajdowało się wystosowane przez Kirin Tor żądanie, by mag udzielił odpowiedzi na ostatnie pismo. Drugą stronę znaczyła ciemnoczerwona smuga, którą Khadgar z początku uznał za krew, zaraz potem jednak zorientował się, że była to pozostałość po roztopionej pieczęci.

– Nie – odpowiedział Khadgar, poklepując niewielką sakiewkę z narzędziami skryby. – To po prostu większe wyzwanie, niż się z początku spodziewałem.

– Słyszałem to wcześniej – stwierdził Morios.

Khadgar odwrócił się, chcąc zapytać o ten komentarz, ale kasztelan już

zniknął.

Młodzieniec z ostrożnością włamywacza torował sobie drogę przez zwałowisko papieru. Wyglądało to tak, jakby w bibliotece wybuchła bitwa. Księgi miały połamane grzbiety, na wpół oddarte okładki, kartki pozwijane i pozagniatane jedna na drugą, a bywało, że całe ich pęki zostały wyrwane z szycia. A to dotyczyło książek, które jeszcze zachowały się niemal w całości, bo były też tomy całkowicie wyrwane z okładek. Na stołach pod nieco cieńszą warstwą kurzu znajdowała się nieco grubsza warstwa papieru i korespondencji. Niektóre listy były otwarte, inne nietknięte, a wszelkie zawarte w nich informacje wciąż zabezpieczone były woskowymi pieczęciami.

– Wielki Medivh nie potrzebuje asystenta – mruknął Khadgar, oczyszczając kawałek blatu na końcu jednego ze stołów i odsuwając fotel. – Tylko gospodyni domowej. – Zerknął ku drzwiom, by się upewnić, że kasztelan naprawdę się oddalił.

Gdy tylko spróbował usiąść, fotel zakołysał się pod nim mocno. Wstał i odkrył, że nierówne nogi mebla zsunęły się z opasłej księgi oprawionej w metal. Okładka była misternie zdobiona, a krawędzie stron pokryte srebrem.

Khadgar otworzył wolumin, a gdy to zrobił, poczuł, jak coś porusza się wewnątrz niczym suwak na skali lub kropla rtęci w szklanej rurce. Coś metalowego poczęło rozwijać się w grzbiecie księgi.

Zaczęła tykać.

Khadgar szybko zatrzasnął okładkę, a wtedy księga uciszyła się z ostrym zgrzytem i trzaskiem, zaś jej mechanizm powrócił do pozycji wyjściowej. Młodzieniec ostrożnie odłożył wolumin na stół.

I wtedy właśnie zauważył ślady spalenizny na fotelu i na podłodze poniżej.

– Rozumiem już, dlaczego miałeś tylu pomocników – stwierdził Khadgar i powoli ruszył na wędrówkę po bibliotece.

Dalej wcale nie było lepiej. Księgi zwisały otwarte na podłokietnikach foteli i metalowej balustradzie galeryjki. W miarę jak zagłębiał się między regały, warstwa korespondencji na podłodze robiła się grubsza. Jakieś stworzenie w rogu jednego z regałów uwiło sobie gniazdo, a gdy Khadgar ściągnął je z półki, niewielka czaszka ryjówki odpadła od reszty szczątków i uderzywszy

o podłogę, rozsypała się w proch. Wyższy poziom był właściwie magazynem, tu książki nie dotarły nawet na półki, zostały ułożone w coraz wyższe sterty, najpierw pagórkowate przedgórze, potem same góry, aż wreszcie nieosiągalne szczyty.

W jednym miejscu brakło książek, ale wyglądało ono, jakby ktoś rozpalił ognisko w rozpaczliwej próbie zmniejszenia ilości zgromadzonego papieru. Khadgar przyjrzał się uważniej i potrząsnął głową. Coś jeszcze oprócz papieru skończyło w płomieniach, bo wśród śladów spalenizny widać było skrawki tkaniny, prawdopodobnie z szaty uczonego.

Khadgar jeszcze raz potrząsnął głową i wrócił do miejsca, gdzie zostawił swoje narzędzia. Wydobył z mieszka cienkie drewniane pióro i garść metalowych stalówek, kamień do ich ostrzenia, nóż z giętkim ostrzem do wyskrobywania atramentu z pergaminu, kostkę atramentu z ośmiornicy, małe naczynie do topienia tego atramentu, zestaw cienkich, płaskich kluczy, lupę i coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak metalowy świerszcz.

Podniósł świerszcza i przewrócił na grzbiet, by go nakręcić przy pomocy specjalnie ukształtowanej stalówki. Otrzymał metalowego niby-owada od Guzbaha, po ukończeniu pierwszego stopnia szkolenia na skrybę. Dar przydał się Khadgarowi wielce podczas spacerów po korytarzach Purpurowej Cytadeli. W środku świerszcza kryło się proste, lecz skuteczne zaklęcie ostrzegające, gdy Khadgar zbliżał się do jakiejś pułapki.

Kiedy młody mag raz tylko obrócił stalówkę, niby-owad zapiszczał przenikliwie. Khadgar drgnął gwałtownie i niemal upuścił świerszcza. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że urządzenie po prostu ostrzegało go przed ogromem grożącego magowi niebezpieczeństwa.

Khadgar spojrzał na piętrzące się wokół niego księgi i zaklął pod nosem. Wycofał się za próg i dokończył nakręcanie świerszcza. Potem zaniósł do drzwi pierwszy wolumin, ten tykający.

Świerszcz zaświergotał cicho. Khadgar położył magicznie zabezpieczoną księgę po jednej stronie wejścia i poszedł po następną. Tym razem świerszcz ani pisnął.

Khadgar miał też nadzieję, że metalowy owad został zaczarowany tak, by

wykrywać wszystkie rodzaje pułapek, magiczne i inne, po czym wstrzymał oddech i otworzył księgę. Był to pisany miękkim kobiecym pismem traktat na temat polityki elfów trzysta lat temu.

Khadgar odłożył ręcznie spisany traktat po drugiej stronie drzwi i cofnął się do biblioteki po kolejny tom.

– Znam cię – stwierdził następnego ranka Medivh znad kiełbaski i owsianki.

– Khadgar, panie – podpowiedział młodzieniec.

– Nowy pomocnik – powiedział starszy mag. – Oczywiście. Wybacz mi, lecz moja pamięć nie jest już taka jak niegdyś. Obawiam się, że zbyt wiele się dzieje.

– Czy potrzebujesz mojej pomocy? – spytał Khadgar.

Mag wydawał się myśleć nad tym przez chwilę, po czym stwierdził:

– Biblioteka, Młody Powierniku. Jak tam biblioteka?

– Dobrze – odpowiedział Khadgar. – Bardzo dobrze. Jestem zajęty sortowaniem ksiąg i dokumentów.

– Ach, według tematu? Autora? – spytał mistrz.

Mordercze i niemordercze, pomyślał Khadgar.

– Sądzę, że według tematu. Wiele jest anonimowych.

– Hmpf – mruknął Medivh. – Nigdy nie ufaj niczemu, na co autor nie postawił reputacji i imienia. Kontynuuj zatem. Powiedz mi, jaka jest opinia magów z Kirin Toru na temat króla Llane'a? Czy w ogóle rozmawiają na jego temat?

Praca posuwała się z powolnością lodowca, lecz upływający czas najwyraźniej w ogóle nie docierał do świadomości Medivha. W rzeczy samej, co rano wydawał się lekko, lecz przyjemnie zaskoczony, że Khadgar wciąż jest w wieży, i po podsumowaniu czynionych przez młodzieńca postępów zmieniał temat rozmowy.

– Skoro już jesteśmy przy bibliotekach – mówił – to co porabia teraz bibliotekarz Kirin Toru, Korrigan?

– Co lud Lordaeronu myśli o elfach? Czy ktoś pamięta, że widziano elfa na ziemiach królestwa?

– Czy słyszałeś jakieś legendy o ludziach z głowami byków krążących po

korytarzach Purpurowej Cytadeli?

Pewnego ranka, jakiś tydzień po przybyciu Khadgara, Medivh nie pojawił się na śniadaniu.

– Wyjechał – odparł zwięźle zapytany o to Morios.

– Wyjechał dokąd? – spytał Khadgar.

Stary kasztelan wzruszył ramionami, a Khadgar mógł niemal usłyszeć klekot kości.

– Nie mówił.

– Co robi? – naciskał dalej Khadgar.

– Nie mówił.

– Kiedy wróci?

– Nie mówił.

– Zostawił mnie samego w swojej wieży? – spytał Khadgar. – Bez nadzoru, z wszystkimi tymi magicznymi księgami?

– Mogę przyjść i pilnować – zaproponował Morios. – Jeśli tego właśnie chcesz.

Khadgar pokręcił przecząco głową.

– Morios? – odezwał się po chwili.

– Tak, paniczu?

– Te wizje… – zaczął młodzieniec.

– Klapki na oczy? – zaproponował sługa.

Khadgar znów pokręcił głową.

– Czy one pokazują przyszłość czy przeszłość?

– I to, i to, gdy zwracam uwagę, ale zazwyczaj nie – odpowiedział Morios. – Nie zwracam uwagi, znaczy.

– A te o przyszłości, czy zwykle się spełniają? – spytał młodzieniec.

Morios wydał z siebie coś, co Khadgar uznał za głębokie westchnienie, wypuścił z płuc powietrze z mocą, która chyba wstrząsnęła jego kośćmi.

– Według moich doświadczeń tak, paniczu. W jednej z wizji Kucharka zobaczyła, jak rozbijam kryształ, więc go schowała. Minęło wiele miesięcy, aż w końcu pan poprosił o ten właśnie kryształ. Wyjęła go z ukrycia, a dwie minuty później ja go zbiłem. Całkowicie niechcący. – Znów westchnął. – Następnego

dnia sprawiła sobie okulary z różowego kwarcu. Czy życzysz sobie coś jeszcze?

Khadgar odpowiedział, że nie, ale był niewątpliwie zmartwiony. W porządkowaniu biblioteki zaszedł tak daleko, jak miał odwagę, a nagłe zniknięcie Medivha sprawiło, że pozostał bez ewentualnej pomocy, bez dalszych wskazówek.

Przyszły uczeń wszedł do biblioteki. Po jednej stronie komnaty znajdowały się te woluminy (i ich fragmenty), które świerszcz uznał za „bezpieczne", zaś drugą wypełniały (mniej poniszczone) księgi, które wedle niby-owada wyposażone zostały w pułapki na czytelników.

Na wielkich stołach piętrzyły się niezbyt równe stosy czystych arkuszy i nieotwieranych listów. Półki zostały całkowicie opróżnione, nawet łańcuchy wisiały luźno, gdyż ich więźniowie zostali uwolnieni.

Khadgar mógł przejrzeć papiery, ale wolał najpierw umieścić książki na półkach. Większość woluminów nie została jednak opatrzona tytułem, a jeśli ten tytuł miały, ich okładki były tak wytarte, zużyte czy nawet podarte, że nie można było niczego z nich odczytać. Jedynym sposobem, by dowiedzieć się, co zawierały, było zajrzeć do środka.

Co oczywiście uruchomi pułapki. Khadgar spojrzał na wypalony ślad na podłodze i pokręcił głową.

Potem zaczął szukać, najpierw wśród ksiąg chronionych zabezpieczeniami, potem wśród tych, które nie stanowiły żadnego zagrożenia, aż w końcu znalazł to, czego szukał: księgę oznaczoną symbolem klucza.

Była zamknięta, opasana grubą metalową obręczą zabezpieczoną kłódką. W trakcie swoich poszukiwań Khadgar nie natrafił na klucz, co go jednak wcale nie zdziwiło, biorąc pod uwagę stan komnaty. Grzbiet księgi był mocny, karty zszyte solidnie, a okładkę zrobiono z metalowych płyt obitych czerwoną skórą.

Khadgar wyjął z sakiewki kilka kluczy, lecz żaden z nich nie pasował do sporej kłódki. W końcu przy pomocy noża do zdrapywania pergaminu Khadgarowi udało się przesunąć kawałek metalu w zamku i usłyszeć satysfakcjonujący klik zapadki.

Khadgar popatrzył na leżącego na stole świerszcza, ale zaklęty owad milczał.

Wstrzymując oddech, młody mag otworzył ciężki tom. Poczuł kwaśną woń butwiejącego papieru.

– *O pułapkach y wrzeciądzach wszelakich* – odczytał na głos, z wysiłkiem odcyfrowując archaiczne pismo i dziwnie brzmiące słowa. – *Dysputacyja o przyrodzeniu asekuracyji.*

Khadgar przyciągnął sobie fotel (teraz nieco niższy, gdyż przypiłował trzy dłuższe nogi i w ten sposób przywrócił meblowi równowagę) i zaczął czytać.

Medivha nie było przez pełne dwa tygodnie, a Khadgar w tym czasie całkowicie zawładnął biblioteką. Każdego ranka wstawał na śniadanie, dla formalności wspominał Moriosowi o swoich postępach (przy czym ani kasztelan, ani Kucharka nigdy nie dali mu do zrozumienia, że ich to obchodzi bądź ciekawi), po czym znikał w swoim królestwie. Przynoszono mu tam obiad i kolację, a Khadgar często pracował do późnej nocy przy łagodnym niebieskawym blasku świecących kul.

Przyzwyczaił się też do charakteru wieży. Często dostrzegał coś kątem oka, mignięcie postaci w poszarpanym płaszczu, która znikała, gdy młody mag odwracał się w jej stronę. Zawisłe w ciszy na wpół wypowiedziane słowo. Nagły powiew chłodu, jakby ktoś zostawił otwarte drzwi lub okno, albo nagłą zmianę ciśnienia, jakby nagle pojawiło się ukryte wejście. Czasami wieża jęczała na wietrze, gdy wiekowe kamienie przesuwały się i napierały na siebie, po tym jak setki lat wcześniej zostały spojone, by tworzyć ściany.

Powoli poznał charakter, jeśli nie dokładną zawartość wszystkich ksiąg, które znajdowały się w bibliotece, i rozbroił pułapki chroniące najcenniejsze woluminy. W tym ostatnim przypadku przeprowadzone badania naprawdę się przydały. Po niedługim czasie tak dobrze radził sobie z rozbrajaniem mechanizmów zaklęć czy pułapek innego rodzaju, jak wcześniej w Dalaranie z otwieraniem zamkniętych drzwi i odkrywaniem tajemnic. W większości przypadków wszystko sprowadzało się do tego, by przekonać mechanizm zamknięcia (magicznego czy mechanicznego), że nikt nie próbował go złamać, choć w rzeczywistości było wręcz odwrotnie. Ustalenie, co uruchamiało daną pułapkę – zmiana obciążenia, przesunięcie kawałka metalu czy nawet

wystawienie księgi na słońce i świeże powietrze – było zasadniczo połową sukcesu.

Zabezpieczenia niektórych ksiąg okazały się poza możliwościami Khadgara. Nie pomogły nawet zmodyfikowane wytrychy czy giętki nóż. Te księgi znalazły się na najwyższym poziomie, ale młody mag postanowił, że na własną rękę dowie się, co skrywają lub wyciągnie informacje od Medivha.

Ta druga możliwość jednak wydawała się mało prawdopodobna. Khadgar zastanawiał się, czy wielki czarodziej wykorzystuje bibliotekę inaczej niż tylko jako składowisko odziedziczonych tekstów i starych listów. Większość magów z Kirin Toru utrzymywała swoje archiwum przynajmniej w pozornym porządku, najcenniejsze z ksiąg przechowywano w ukryciu. Medivh jednak wszystko miał przemieszane, jakby w ogóle nie potrzebował zawartości biblioteki.

Chyba że jako testu, pomyślał Khadgar. Testu, który miał odstraszyć kandydatów na uczniów.

Teraz księgi znalazły się na półkach, najcenniejsze (i niemożliwe do odczytania) przymocowane łańcuchami na wyższym poziomie, zaś bardziej pospolite: historie wojskowości, almanachy i dzienniki – ustawione na dolnym. Tu znajdowały się też zwoje, od zupełnie przyziemnych list towarów zakupionych i sprzedanych w Wichrogrodzie po wierszowane eposy. Te ostatnie były szczególnie ciekawe, gdyż kilka opiewało Egwinę, rzekomą matkę Medivha.

Skoro żyła ponad osiemset lat, musiała być rzeczywiście potężnym magiem, myślał Khadgar. Więcej informacji na jej temat znajdowało się pewnie w księgach znajdujących się na zapleczu. Dotychczas te woluminy opierały się zarówno wszelkim powszechnym zaklęciom, jak i fizycznym próbom pokonania zamków i zabezpieczeń, zaś magiczny świerszcz zaczynał praktycznie skomleć z przerażenia, gdy Khadgar choćby próbował otworzyć jedną z ksiąg.

Młody mag wciąż miał sporo do zrobienia – musiał poukładać luźne fragmenty woluminów w zależności od kategorii, jakiej dotyczyły, złożyć wiekowe księgi, które czas niemal całkowicie zniszczył, posortować (a przynajmniej przeczytać) większość korespondencji. Niektóre listy skreślone zostały w języku elfów, a jeszcze więcej, pochodzących od różnych nadawców,

napisano szyfrem. Zaszyfrowane pisma opatrzone były rozmaitymi pieczęciami: Wichrogrodu, Khaz Modan, Lordaeronu i miejsc, których Khadgar nie mógł nawet znaleźć na mapie. Spora grupa korespondentów pisywała szyfrem do siebie nawzajem i do samego Medivha.

W bibliotece znalazło się kilka starych grimuarów na temat szyfrów, większość jednak omawiała systemy zastępowania liter i rozmaite gwary. Khadgar nie znalazł w nich niczego, co byłoby choćby podobne do szyfru wykorzystanego w listach. Być może osoba, która stworzyła ten szyfr, połączyła rozmaite metody, by uzyskać własną.

I dlatego właśnie grimuary o szyfrach oraz podręczniki z podstawami elfiego i krasnoludzkiego leżały pootwierane na bibliotecznych stołach, gdy wieczorem Medivh nieoczekiwanie powrócił do wieży.

Khadgar nie tyle usłyszał maga, co nagle poczuł jego obecność, tak jak odczuwa się powietrze, gdy nad polami sunie burzowy front. Młodzieniec obrócił się i ujrzał Medivha. Szerokie bary maga wypełniały wejście, a płaszcz powiewał za nim jakby kierowany własną wolą.

– Panie, ja… – zaczął Khadgar z uśmiechem, wstając. Wtedy dostrzegł, że włosy mistrza są w nieładzie, a szeroko otwarte zielone oczy lśnią gniewem.

– Złodziej! – krzyknął Medivh, wyciągając rękę w kierunku Khadgara. – Intruz! – Zaintonował ciąg obco brzmiących sylab i słów nie dla ludzkiego gardła.

Khadgar mimowolnie uniósł dłoń i nakreślił przed sobą ochronny symbol, równie dobrze mógł jednak zrobić nieprzyzwoity gest, odniósłby taki sam skutek. Zaklęcie Medivha było nie do powstrzymania. Ściana zestalonego powietrza uderzyła w Khadgara, przewracając go razem z fotelem. Grimuary i podręczniki pomknęły po blacie niczym żaglówki pochwycone przez nagły szkwał, a notatki odfrunęły, wirując dziko.

Zaskoczony Khadgar poleciał do tyłu i uderzył w jeden z regałów. Mebel zaczął się kołysać i młodzieniec przestraszył się, że zaraz efekty jego ciężkiej pracy obrócą się wniwecz. Regał jednak się nie przewrócił, ale nacisk na piersi przygniecionego atakiem Khadgara jeszcze się zwiększył.

– Kim jesteś?! – zagrzmiał Medivh. – Co tutaj robisz?!

Walcząc z ciężarem na piersiach, młody mag wydusił z siebie:

– Khadgar – sapnął. – Pomocnik. Sprzątam bibliotekę. Twój rozkaz.

Gdzieś na obrzeżach świadomości błysnęło mu pytanie, czy to dlatego Morios mówił w taki sposób.

Medivh zamrugał na te słowa i wyprostował się jak człowiek, który właśnie obudził się z głębokiego snu. Lekko poruszył dłonią i zestalone powietrze wyparowało bez śladu.

Khadgar opadł na kolana, spazmatycznie chwytając powietrze.

Medivh podszedł do niego i pomógł mu wstać.

– Przepraszam, chłopcze – zaczął mówić. – Zapomniałem, że tu jeszcze jesteś. Pomyślałem, że jesteś złodziejem.

– Złodziejem, który postarał się zostawić pomieszczenie w większym porządku, niż je zastał – powiedział Khadgar. Oddychanie sprawiało mu lekki ból.

– Tak. – Medivh, rozejrzał się po bibliotece, kiwając głową z aprobatą, mimo bałaganu, który sam stworzył. – Tak. Nie sądzę, by ktoś wcześniej zaszedł tak daleko.

– Posortowałem woluminy wedle typu – oznajmił Khadgar, wciąż stał zgięty wpół z dłońmi opartymi na kolanach. – Historia, włączając w to poematy epickie, po twojej prawej. Nauki przyrodnicze po lewej. Teksty legendarne pośrodku, razem z językami obcymi i encyklopediami. Potężniejsze księgi: notatki alchemiczne, opisy zaklęć i teoria znalazły się na górze, razem z księgami, których nie udało mi się zidentyfikować, a które wydają się potężne. Sam będziesz musiał je sprawdzić.

– Tak – powiedział Medivh, teraz już ignorował młodzieńca i rozglądał się po bibliotece. – Doskonale. Doskonała robota. Bardzo dobrze. – Sprawiał wrażenie, jakby właśnie zorientował się, gdzie jest. – Rzeczywiście znakomicie. Dobrze sobie poradziłeś. A teraz chodź.

Doskoczył do drzwi, zatrzymał się w progu i odwrócił.

– Idziesz?

Khadgar poczuł się, jak gdyby oberwał kolejnym zaklęciem.

– Idę? A dokąd idziemy?

– Na szczyt – rzucił krótko Medivh. – Chodź, bo się spóźnimy. Nie możemy marnować czasu.

Jak na człowieka niemłodego już, Medivh wchodził po schodach w zaskakującym tempie, sadząc susami po dwa stopnie.

– Co jest na szczycie? – wysapał Khadgar, gdy wreszcie udało mu się dogonić mentora na półpiętrze blisko szczytu.

– Transport – warknął Medivh, po czym zawahał się chwilę. Odwrócił się, przygarbił lekko. Przez moment Khadgar miał wrażenie, że ogień w oczach Medivha dogasa.

– Muszę cię przeprosić. Za to na dole.

– Panie? – wydukał Khadgar, całkowicie skołowany tą najnowszą przemianą.

– Pamięć mam już nie tak dobrą, jak kiedyś, Młody Powierniku – stwierdził mag. – Powinienem był pamiętać, że jesteś w wieży. Przy tym wszystkim uznałem, że musisz być…

– Panie? – przerwał Khadgar. – Nie możemy marnować czasu.

– Czas – powtórzył Medivh, kiwnął głową i na jego twarzy znów odmalowało się ożywienie. – Tak, nie możemy. Chodź, nie marudź! – Z tymi słowami pobiegł po schodach, przeskakując co drugi stopień.

Khadgar uświadomił sobie nagle, że nawiedzona wieża i nieuporządkowana biblioteka nie były jedynymi powodami, dla których służba opuszczała Medivha.

Pospieszył za nim.

Stary kasztelan czekał już na nich w obserwatorium.

– Moriosie! – zagrzmiał Medivh, gdy dotarł na szczyt wieży. – Złoty gwizdek, jeśli łaska.

– Tak, panie – odpowiedział sługa, prezentując cienką rurkę ozdobioną krasnoludzkimi runami, które migotały w świetle lampy. – Pozwoliłem sobie już. Są tutaj.

– Kto? – zaczął Khadgar i wtedy usłyszał łopot wielkich skrzydeł.

Medivh wyszedł na chodnik na szczycie muru, a młody mag spojrzał w górę.

Z nieba opadły ogromne ptaki, ich wielkie skrzydła połyskiwały w świetle księżyca. Nie, to nie były ptaki, zrozumiał Khadgar. Gryfy. O ciałach wielkich kotów, ale głowach i pazurach orłów morskich i złocistych skrzydłach.

Medivh podał mu uzdę i munsztuk.

– Okiełznaj swojego i ruszamy.

Khadgar popatrzył na wielkie zwierzę. Najbliższy gryf zaskrzeczał przenikliwie i zaczął drapać kamienie szponami.

– Nigdy nie… – zaczął mówić młody mężczyzna. – Nie wiem, jak…

Medivh zmarszczył brwi niezadowolony.

– Czy w Dalaranie niczego was nie uczą? Nie mam na to czasu. – Uniósł palec i wymruczał kilka słów, po czym dotknął nim czoła Khadgara.

Młodzieniec zatoczył się do tyłu, krzycząc z zaskoczenia. Miał wrażenie, że Medivh wbił mu właśnie w mózg rozżarzony żelazny pręt.

– Teraz już wiesz jak – stwierdził tymczasem Medivh. – Zakładaj ogłowie.

Khadgar dotknął czoła i zdumiony gwałtownie wciągnął powietrze. Istotnie wiedział już, jak odpowiednio okiełznać gryfa i jak go dosiadać, zarówno używając siodła, jak i bez niego, na sposób krasnoludów. Wiedział, jak zakręcać, jak skłonić gryfa do unoszenia się w powietrzu i – co najważniejsze – jak przygotować się do nagłego lądowania.

Założył swojemu gryfowi uzdę, czując w skroniach lekkie pulsowanie, jakby wiedza, którą miał w głowie, musiała się przetasować i ułożyć ponownie, by pomieścić nowe informacje.

– Gotowy? Za mną! – Medivh nie czekał wcale na odpowiedź.

Dwa gryfy skoczyły w niebo, z wysiłkiem bijąc potężnymi skrzydłami, by wznieść się w powietrze. Wielkie istoty mogły latać z opancerzonymi krasnoludami na plecach, ale ludzie w szatach okazali się obciążeniem na granicy możliwości tych zwierząt.

Khadgar po mistrzowsku położył gryfa na skrzydło i podążył za swym mentorem, który unosił się teraz nad ciemnymi drzewami. Czuł, jak od miejsca, gdzie dotknął go Medivh, rozprzestrzenił się ból głowy. Czoło Khadgara stało się ciężkie, a myśli niewyraźne. Mimo to młodzieniec skupił się i dokładnie naśladował wszystkie manewry mistrza, jakby przez całe życie latał na gryfach.

Khadgar próbował dogonić Medivha i spytać, dokąd lecą i po co, ale nie zdołał. Po chwili uświadomił sobie, że nawet gdyby mu się to udało, pęd powietrza zagłuszyłby wszystko prócz najgłośniejszych wrzasków. Leciał więc śladem Medivha na wschód, ku niebosiężnym górskim szczytom.

Khadgar nie umiałby powiedzieć, jak długo trwał ten lot. Przysypiał co chwila na grzbiecie gryfa, lecz nawet wtedy jego dłonie mocno trzymały wodze, a gryf cały czas leciał w tym samym tempie, co jego brat. Dopiero gdy Medivh gwałtownie skręcił w prawo, Khadgar otrząsnął się z drzemki (o ile w ogóle drzemał) i podążył za mistrzem na południe. Ból głowy, najpewniej spowodowany zaklęciem, ustąpił już niemal całkowicie. Pozostało po nim nieprzyjemne ćmienie, w ramach przypomnienia.

Łańcuch górski zostawili już za sobą i lecieli nad równiną. Poniżej tysiące oczek wodnych rozbijało blask księżyca na tysiąc kawałków. *Wielkie bagno lub mokradło*, uznał Khadgar. Musiał być wczesny ranek, gdyż horyzont po prawej dopiero nieco pojaśniał, obiecując rychłe nadejście dnia.

Medivh opadł nisko i uniósł obie ręce nad głowę. *Rzuca zaklęcia z grzbietu gryfa*, odkrył Khadgar. Jego umysł zapewniał, że młody mag wie, jak kierować podniebnym wierzchowcem przy pomocy kolan, Khadgar był jednak absolutnie pewien, że nigdy nie będzie czuł się wystarczająco dobrze podczas takiego manewru.

Gryfy opadły jeszcze niżej i Medivha otoczyła nagle kula światła, które obrysowało ostro jego sylwetkę i pochwyciło też Khadgara, czyniąc z niego cień sunący śladem wielkiego maga. Pod sobą Khadgar widział obóz wojskowy, rozbity na szczycie niskiego wzniesienia, wyłaniającego się z okolicznego mokradła. Przelecieli z Medivhem nisko nad obozem, który niemal natychmiast rozbrzmiał okrzykami oraz brzękiem pospiesznie chwytanej broni. Co ten Medivh wyprawiał?

Przelecieli nad obozowiskiem, a potem Medivh skłonił swego gryfa, by ten uniósł się wysoko, a następnie położył na skrzydle w ostrym zakręcie. Khadgar naśladował każdy ruch swego mistrza. Powrócili nad obóz, teraz był o wiele jaśniejszy – ogniska, które dogasały jeszcze przed chwilą, nakarmiono drewnem i teraz płonęły jasno. Niewątpliwie w obozie znajdował się całkiem spory

oddział wojska, być może nawet cała kompania. Namiot dowódcy był duży i bogato zdobiony, Khadgar rozpoznał powiewający nad namiotem sztandar Wichrogrodu.

Zatem był to obóz sojuszników, bo przecież Medivh był blisko związany z królem Llane'em oraz Lotharem, królewskim czempionem. Khadgar spodziewał się, że Medivh wyląduje, lecz ten uderzył wierzchowca piętami, kierując gryfa w górę. Wielkie skrzydła zagarnęły nocne powietrze i znów się wznieśli, tym razem pędząc na północ. Khadgar nie miał wyboru, musiał podążyć za swym mistrzem. Przywołane zaklęciem światło zgasło i Medivh znów chwycił za wodze.

Ponownie lecieli nad bagnami, ale tym razem Khadgar ujrzał też leżącą poniżej wąską wstęgę, zbyt prostą na rzekę, zbyt szeroką na rów melioracyjny. Musiała to być droga prowadząca przez mokradła, łącząca skrawki suchego lądu, które wyrosły ponad poziom bagniska.

Teren podniósł się, tworząc kolejne wzgórze, na którym ujrzeli kolejny obóz. Tu też płonęły ognie, lecz nie były to jasne, starannie rozmieszczone ogniska żołnierzy. Te były rozrzucone po całej polanie. Gdy się zbliżyli, Khadgar zrozumiał, że to płonące wozy, ich zawartość leżała rozsypana między ciemnymi zarysami ludzkich sylwetek, które przywodziły na myśl dziecinne lalki, porzucone na piaszczystej ziemi obozowiska.

Tak jak wcześniej, Medivh przeleciał nad obozem, potem wzniósł się, zakręcił, by zawrócić, przygotowując się do drugiego przelotu. Khadgar leciał za nim, wychylając się nieco z grzbietu swego wierzchowca, by lepiej wszystko widzieć. Wydawało się, że ma pod sobą to, co zostało ze złupionej i podpalonej karawany, tylko towary zostały wyrzucone na ziemię. Czy bandyci nie zabraliby łupu i wozów? Czy ktoś pozostał przy życiu?

Odpowiedzią na to pytanie były nagły krzyk i salwa strzał z krzaków otaczających polanę.

Gryf Medivha zaskrzeczał głośno, gdy mag bez najmniejszego wysiłku ściągnął wodze i kładąc wierzchowca na skrzydło, zakręcił, unikając pocisków. Khadgar próbował powtórzyć manewr mistrza, a ciepłe, krzepiące i fałszywe wspomnienia mówiły mu, że tak właśnie powinno się skręcać. Ale

w przeciwieństwie do Medivha Khadgar siedział zbyt blisko gryfiej szyi i nie dość mocno ściągnął wodze.

Gryf skręcił, ale nie dość ostro, by uniknąć wszystkich strzał. Kolczasty grot przebił prawe skrzydło zwierzęcia, a ono zaskrzeczało płaczliwie i szarpnęło się, desperacko tłukąc skrzydłami, by wznieść się wyżej i uciec poza zasięg strzał.

Khadgar stracił równowagę i nie mógł zrobić nic, by ją odzyskać. W jednej chwili wodze wymknęły mu się z palców, a gryf z uścisku kolan. Nie czując stanowczej ręki jeźdźca, gryf wspiął się w powietrzu na tylne łapy i zrzucił Khadgara.

Młody mag gwałtownym ruchem spróbował pochwycić wodze. Rzemienie strzeliły go po palcach i znikły w mroku nocy razem z wierzchowcem.

A Khadgar runął w dół, w uzbrojoną ciemność.

Rozdział 4

Bitwa i to, co nastąpiło po niej

Upadek wyrwał Khadgarowi powietrze z płuc. Młody mag poczuł, że palce zagłębiają mu się w sypką ziemię, i uświadomił sobie, że musiał wylądować na niskiej zaspie piachu, który zgromadził się po jednej stronie szczytu.

Khadgar dźwignął się niepewnie na nogi. Z powietrza to, co działo się na wzgórzu, wyglądało jak pożar lasu. Z ziemi – jak brama do piekieł.

Ogień pochłonął już niemal wozy i łakomie pożerał ich zawartość rozrzuconą po polanie. Bele materiału leżały rozwinięte i ubrudzone piaskiem, beczki zostały porozbijane i zawartość wyciekała dziurami, rozsypaną żywność wdeptano w błoto. Khadgar widział też ciała, zwłoki ludzi odzianych w lekkie pancerze. Tu i ówdzie błysnął hełm czy miecz. To musieli być strażnicy karawany, którzy nie zdołali jednak wypełnić swego zadania.

Khadgar poruszył bolącym barkiem i doszedł do wniosku, że jest tylko poobijany, nie połamany. Miał szczęście, mimo że wylądował na piasku, mógł jednak odnieść poważniejsze obrażenia. Mocno potrząsnął głową. Nawet jeśli bolała go jeszcze po zaklęciu Medivha, to ów ból został przyćmiony przez te bardziej dotkliwe, odzywające się w różnych miejscach ciała.

Coś się poruszyło między szczątkami karawany i Khadgar od razu przypadł do ziemi. Usłyszał słowa, wyszczekiwane ostro w nieznanej mu mowie, która w jego uszach brzmiała gardłowo i bluźnierczo. Szukali go. Widzieli, jak spada, i teraz go szukali. Patrzył, jak zgarbione sylwetki człapały wśród zwęglonych resztek; za każdym razem, gdy stawały na tle ognia, Khadgar widział wyraźnie ich garbate grzbiety.

Młody mag miał wrażenie, że jakaś myśl związana z tymi postaciami

łaskocze go gdzieś w głębi umysłu, ale nie potrafił jej sprecyzować. Zaczął wycofywać się z polanki, mając nadzieję, że mrok ukryje jego manewr.

Nie miał tyle szczęścia. Za nim pękła gałązka, a może ciężko obuta stopa natrafiła na zagłębienie w ziemi przykryte liśćmi lub też skórzany pancerz na chwilę zaplątał się w krzaki. Dość, żeby Khadgar od razu zrozumiał, iż nie jest sam. Odwrócił się i zobaczył…

Monstrum ze swojej wizji. Zielono-czarną karykaturę człowieka.

Bestia nie dorównywała rozmiarami tym z wizji, nie miała też równie szerokich ramion, ale nadal była prawdziwie koszmarna. Z ciężkiej żuchwy sterczały do góry ogromne kły, za to głowa zdawała się drobna w porównaniu z resztą ciała, rysy zaś złowrogie. Dopiero teraz Khadgar zauważył, że stwór ma wielkie, szpiczaste uszy. Pewnie usłyszał młodego maga, zanim go zobaczył.

Monstrum nosiło ciemny pancerz, ale wykonany ze skóry, a nie z metalu, jak w wizji. Stwór trzymał w dłoni pochodnię, która rzucała od dołu światło na jego straszliwe rysy, czyniąc je jeszcze bardziej potwornymi. W drugiej dłoni ściskał włócznię ozdobioną jakimiś niewielkimi przedmiotami nanizanymi na sznurek. I nagle Khadgar uświadomił sobie, że patrzy na ludzkie uszy, trofea zdobyte podczas rzezi, jaka miała tu miejsce. Wszystko to pojął w mgnieniu oka, w tej jednej chwili, w której spotkał potwora. Bestia skierowała ohydnie ustrojoną włócznię w stronę młodzieńca i ryknęła wyzywająco.

Wyzwanie zostało przerwane, młody mag wymruczał bowiem słowo mocy, uniósł dłoń i wypuścił nieduży pocisk energii prosto w tors monstrum. Potwór urwał w pół tonu i osunął się na ziemię.

Po części Khadgar zdumiony był własnym uczynkiem, jednocześnie dzięki swojej wizji miał świadomość, do czego zdolne są zielonoskóre istoty.

Powalone monstrum zdążyło ostrzec swych pobratymców i teraz w obozowisku podniosło się bojowe wycie. Khadgar usłyszał dwie, cztery, kilkanaście tych karykatur, a wszystkie kierowały się ku niemu. Co gorsza, wycie dobiegało też z samego bagna.

Khadgar wiedział, że nie ma mocy, by odeprzeć atak potworów. Jeden pocisk wystarczył, by młody mag czuł się osłabiony. Gdyby zechciał wyczarować drugi, ryzykował, że straci przytomność. Może powinien uciekać?

Ale te monstra najpewniej znały otaczające ich mroczne mokradła lepiej niż on. Jeśli będzie się trzymać piaszczystego szczytu, dopadną go tu, zanim się obejrzy. Jeśli ucieknie na bagna, nawet Medivh nie zdoła go znaleźć.

Khadgar spojrzał w niebo, ale nie zobaczył maga ani żadnego z gryfów. Może wielki Medivh wylądował gdzieś i właśnie podkradał się do potworów? A może powrócił do oddziału ludzi na południu, by ich tu sprowadzić?

A może, myślał ponuro Khadgar, *znowu mu się zmienił nastrój i zapomniał, że miał towarzystwo w trakcie tej wycieczki?*

Khadgar zerknął szybko w ciemność, a potem ku miejscu, gdzie karawana wpadła w zasadzkę. Coraz więcej cieni poruszało się wokół dopalających się wozów, coraz więcej gardłowych głosów podejmowało bojowe okrzyki.

Młodzieniec podniósł włócznię z odrażającą ozdobą i zdecydowanym krokiem podszedł w stronę ognia. Nie mógł wprawdzie wystrzelić więcej niż jeden, no może dwa magiczne pociski, ale potwory tego nie wiedziały.

Może były tak głupie, na jakie wyglądały. I równie niedoświadczone w kwestii magów, jak on był niedoświadczony, gdy przychodziło do zielonych potworów.

Zaskoczył monstra, przynajmniej tyle. Ostatnie, czego się spodziewały, to zobaczyć swoją ofiarę, którą zrzuciły z grzbietu latającego wierzchowca, wkraczającą w światła ogniska z włócznią jednego ze strażników w dłoni.

Khadgar rzucił włócznię w płomienie, wywołując fontannę iskier.

Przywołał odrobinę ognia, niewielką kulę, i trzymał ją w dłoni. Miał nadzieję, że oświetlała jego rysy tak samo, jak pochodnia oświetlała rysy pokonanego strażnika. Lepiej, żeby tak było.

– Opuśćcie to miejsce! – ryknął Khadgar, modląc się, by głos nie załamał mu się z wysiłku. – Opuśćcie to miejsce albo zginiecie!

Jeden z większych osiłków postąpił dwa kroki w kierunku maga, a wtedy Khadgar wymruczał słowo mocy. Mistyczne energie wokół płonącej dłoni zgęstniały i wystrzeliły potworowi prosto w twarz. Zielony tylko podniósł uzbrojoną w pazury łapę do twarzy i zwalił się na ziemię.

– Uciekajcie! – krzyknął Khadgar, próbując nadać swojemu głosowi jak najgłębsze brzmienie. – Uciekajcie albo czeka was ten sam los! – Serce miał

zmrożone i nawet nie próbował patrzeć na płonące monstrum.

Z ciemności wypadła włócznia, a Khadgar zużywając resztki energii, przywołał odrobinę powietrza, tyle by zepchnąć broń w bok. I wtedy poczuł, że ogarnia go słabość. Nic więcej nie mógł zrobić. Czuł się całkowicie i bez reszty wyczerpany. Najwyższy czas, by jego blef zadziałał.

Otaczające go istoty – a tych, które widział w świetle ognia było kilkanaście – cofnęły się o krok, a potem o kolejny. Khadgar ocenił, że wystarczy jeszcze jeden okrzyk, a uciekną na mokradła, on zaś zyska tym samym czas, by skupić się na własnej ucieczce. Już zdecydował, że ruszy na południe, w stronę obozu ludzkiego wojska.

Jednak zanim zdążył krzyknąć, rozległ się wysoki, gdaczący śmiech, który zmroził młodzieńcowi krew w żyłach. Zielonoskórzy wojownicy rozstąpili się i wysunęła się spomiędzy nich kolejna sylwetka. To monstrum było chudsze i bardziej zgarbione od swych pobratymców, nosiło też szatę o barwie zakrzepłej krwi. Barwie nieba z wizji Khadgara. Miało równie zielone i paskudne rysy jak pozostali, ale w oczach błysk dzikiej inteligencji.

Stwór wyciągnął dłoń, wnętrzem do góry, wyjął sztylet i koniuszek wbił w rękę. W zagłębieniu zbrojnej w pazury dłoni zebrała się czerwonawa krew.

Odziane w szkarłatną szatę monstrum wypowiedziało słowo, którego Khadgar nigdy nie słyszał, słowo raniące uszy, i krew w dłoni buchnęła płomieniem.

– Człofiek chce szię bafić? – spytał potwór niewyraźnie, językiem, jakim mówił Khadgar. – Chce bafić się f czary? Nothgrin umie f czary!

– Odejdź! – spróbował raz jeszcze Khadgar. – Odejdź albo zgiń!

Ale teraz w głosie młodzieńca nie było już pewności i szkaradna karykatura maga zarechotała rozbawiona. Khadgar rozejrzał się, próbując wybrać najlepszą drogę ucieczki, zastanawiał się gorączkowo, czy zdoła pochwycić jeden z mieczy strażników karawany, które wciąż leżały na ziemi. Nie wiedział przy tym, czy zielonoskóry Nothgrin blefuje tak samo, jak Khadgar sam blefował wcześniej.

Nothgrin zrobił krok w stronę Khadgara, a wtedy dwa osiłki po prawej stronie od zielonoskórego maga raptem wrzasnęły i stanęły w płomieniach.

Stało się to tak nagle, że zaskoczyło wszystkich, w tym i Khadgara. Nothgrin odwrócił się do ofiar niespodziewanego ognia, a dwóch kolejnych wojowników zajęło się płomieniem niczym wysuszony chrust. Ci też wrzeszczeli, a potem kolana ugięły się pod nimi i padli na ziemię.

Na ich miejscu stał teraz Medivh. Wydawał się świecić własnym światłem, jaśniejszym niż blask ogniska, niż palące się wozy, niż płonące trupy na ziemi, zupełnie jak gdyby wchłaniał ich światło. A przy tym sprawiał wrażenie promiennego i rozluźnionego. Uśmiechnął się do zielonoskórych stworów, a był to dziki, zwierzęcy uśmiech.

– Mój uczeń nakazał wam odejść – powiedział. – Powinniście byli go posłuchać.

Jedno monstrum ryknęło, a wtedy samotny mag uciszył je machnięciem dłoni. Coś twardego i niewidzialnego uderzyło stwora prosto w zielony pysk. Rozległ się głośny trzask, głowa potwora odpadła i potoczyła się do tyłu, ciało uderzyło o ziemię zaledwie ułamek chwili później.

Pozostałe stwory cofnęły się chwiejnie, po czym uciekły w noc. Tylko ich przywódca Nothgrin stał bez ruchu w czerwonej szacie; masywna żuchwa opadła mu w wyrazie nieskrywanego zdumienia.

– Nothgrin czię zna, człofieku – wysyczał. – To ty jestesz…

To, co istota miała jeszcze zamiar powiedzieć, utonęło w ogłuszającym wrzasku, gdy Medivh machnął ręką. Podmuch powietrza porwał monstrum do góry, gdzie natychmiast stanęło w płomieniach. Unosiło się i wrzeszczało, aż w końcu płuca mu się zapadły i chwilę później resztki spalonego ciała opadły na ziemię niczym czarne płatki śniegu.

Khadgar spojrzał na Medivha, ten zaś uśmiechał się szeroko, zadowolony z siebie. Przestał, gdy jego spojrzenie padło na poszarzałą twarz młodzieńca.

– Dobrze się czujesz, chłopcze? – spytał.

– W porządku – odparł Khadgar, w jednym momencie zwaliło się nań całe zmęczenie. Chciał usiąść, ale po prostu osunął się na kolana. W głowie miał jedynie pustkę.

Medivh natychmiast znalazł się u jego boku i położył młodzieńcowi dłoń na czole. Khadgar chciał strącić tę rękę, ale nawet na to zabrakło mu sił.

– Odpoczywaj – poradził mu Medivh. – Odzyskuj siły. Najgorsze już za nami.

Khadgar pokiwał głową i zamrugał. Popatrzył na ciała wokół ognia. Kiedy Medivh wziął Khadgara za złodzieja, mógł go bez trudu zabić. Co go powstrzymało? Podświadomie rozpoznał Khadgara? Czy może pamiętał nie tyle pomocnika, co własne człowieczeństwo?

– Te stwory – wykrztusił młody mag niewyraźnie. – Co to…

– Orkowie – wyjaśnił Medivh. – To byli orkowie. Na razie koniec z pytaniami.

Na wschodzie niebo zaczynało się rozjaśniać. Na południu grzmiał dźwięk rogów i dudniły kopyta.

– W końcu jest kawaleria – westchnął Medivh. – Za głośno i za późno, ale nie mów im tego. Wyłapią maruderów. Teraz odpocznij.

Oddział przejechał przez obóz. Połowa żołnierzy zsiadła z koni, a reszta podążyła dalej drogą. Ci, którzy pozostali na wzgórzu, zaczęli sprawdzać ciała. Niewielkiej grupce rozkazano pogrzebać członków karawany. Zwłoki tych kilku martwych orków, których Medivh nie podpalił, zebrano i wrzucono do ogniska. Ich ciała zwęgliły się i zmieniły w popiół.

Khadgar nie pamiętał, by Medivh się oddalał, ale nagle ujrzał, jak mag wraca z dowódcą oddziału – postawnym, niemłodym już mężczyzną, na którego twarzy kolejne walki i wojenne kampanie pozostawiły ślad. W jego brodzie więcej włosów było siwych niż ciemnych, a linia włosów przesunęła się poza ciemię. Był jednak potężnym mężczyzną, a zbroja płytowa i spływająca z ramion peleryna czyniły go jeszcze bardziej imponującym. Nad ramieniem wojownika Khadgar dostrzegł rękojeść ogromnego miecza o sporym, wysadzanym klejnotami jelcu.

– Khadgarze, oto lord Anduin Lothar – przedstawił rycerza Medivh. – Lotharze, to mój uczeń, Khadgar z Dalaranu.

Khadgar, zmęczony i skołowany, w pierwszej kolejności skupił uwagę na imieniu przybysza. Lord Lothar. Królewski czempion, towarzysz z dzieciństwa króla Llane’a i Medivha. Oręż na plecach Lothara musiał być zatem Wielkim

Mieczem Królewskim, który miał bronić Wichrogrodu i…

Czy Medivh powiedział właśnie, że Khadgar to jego uczeń?

Lord Lothar przyklęknął na jedno kolano, by z uśmiechem zajrzeć młodzieńcowi w twarz.

– Zatem w końcu masz ucznia. Musiałeś udać się do Purpurowej Cytadeli, by go sobie znaleźć, co, Med?

– By sobie znaleźć ucznia o odpowiednich zaletach, owszem – zgodził się Medivh.

– A jeśli przy okazji tutejsi magicy znajdą się na granicy apopleksji, to tym lepiej, prawda? Och, przestań tak na mnie łypać, Medivh. Co takiego zrobił ten chłopak, że udało mu się ci zaimponować?

– To, co zwykle – odparł Medivh, szczerząc zęby w dzikim uśmiechu. – Uporządkował moją bibliotekę. Okiełznał gryfa przy pierwszej próbie. W pojedynkę stawił czoła tym orkom, włącznie z ich czarnoksiężnikiem.

Lothar zagwizdał cicho.

– Uporządkował bibliotekę? No to i ja jestem pod wrażeniem. – Błysnął uśmiechem spod siwego wąsa.

– Lordzie Lotharze – wydusił w końcu Khadgar. – Wasze umiejętności są sławne nawet w Dalaranie.

– Odpocznij, chłopcze. – Lothar położył na ramieniu młodego maga dłoń w ciężkiej rękawicy. – My dorwiemy resztę tych stworów.

Khadgar pokręcił głową.

– Nie dorwiecie. Nie, jeśli będziecie trzymać się drogi.

Czempion zamrugał z zaskoczenia, a Khadgar nie był pewien, czy to z powodu tupetu, jakim się właśnie wykazał, czy też słów.

– Obawiam się, że chłopak ma rację – wtrącił Medivh. – Orkowie ruszyli w stronę bagien. Wydaje się, że znają Czarne Mokradła lepiej od nas i dlatego działają tu tak skutecznie. My trzymamy się dróg, a oni omijają nas bez trudu.

Lothar potarł potylicę dłonią obleczoną w metal.

– Może moglibyśmy pożyczyć parę tych twoich gryfów i ruszyć na rekonesans.

– Krasnoludy, które wyszkoliły gryfy, mogą mieć coś do powiedzenia na

temat wypożyczania tych wierzchowców – odpowiedział Medivh. – Ale może powinieneś z nimi porozmawiać, z gnomami też. Mają parę śmigieł i machin powietrznych, które byłyby lepsze do prowadzenia zwiadu.

Lothar pokiwał głową i potarł brodę.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj są?

– Napotkałem jednego z ich zwiadowców niedaleko moich ziem – wyjaśnił Medivh tak spokojnie, jakby mówił o pogodzie. – Udało mi się z niego wydusić, że spora grupa przygotowuje się do ataku przy Bagiennym Trakcie. Miałem nadzieję, że dotrę na czas, by ostrzec. – Spojrzał na otaczające ich zniszczenia.

W świetle dziennym teren nie wyglądał wcale lepiej. Mniejsze ognie się wypaliły, a powietrze śmierdziało spalonym mięsem orków. Nad miejscem zasadzki wciąż wisiała blada chmura. Do Medivha podbiegł młody żołnierz, niewiele starszy od Khadgara.

– Odnaleźli jednego ocalałego, mocno poszarpanego, ale żywego. Czy mag mógłby przyjść natychmiast?

– Zostań z chłopakiem – polecił Medivh przyjacielowi. – Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie. – I z tymi słowy ruszył przez osmalony i zakrwawiony szczyt wzgórza, a jego szaty powiewały za nim niczym sztandar.

Khadgar próbował wstać i podążyć za mistrzem, lecz czempion położył mu na ramieniu dłoń w pancernej rękawicy i zatrzymał go. Przez moment młodzieniec próbował się przeciwstawić, ale zaraz poddał się i usiadł ponownie.

Lothar z uśmiechem patrzył na Khadgara.

– Czyli stary głupek w końcu znalazł sobie pomocnika.

– Ucznia – poprawił go słabo Khadgar, choć jego serce przepełniała duma. To uczucie wlało nową siłę w jego umysł i kończyny. – Miał wielu pomocników. Nie wytrwali zbyt długo. A przynajmniej tak słyszałem.

– Uhm – odpowiedział Lothar. – Kilku z nich sam zarekomendowałem, a oni wrócili, opowiadając o nawiedzonej wieży i szalonym, wymagającym magu. A co ty o nim myślisz?

Khadgar zamrugał.

W ciągu ostatnich dwunastu godzin Medivh go zaatakował, wpakował magicznym sposobem wiedzę do głowy, pogonił przez pół kraju na grzbiecie

gryfa, pozwolił stawić czoła garstce orków, zanim w końcu ruszył mu na pomoc. Ale też mianował Khadgara swym uczniem. Uczniem.

Khadgar zakasłał i stwierdził:

– Na pewno przerósł moje oczekiwania.

Lothar znów się uśmiechnął, prawdziwie ciepłym uśmiechem.

– On przerasta oczekiwania wszystkich. To jedna z jego zalet. – Lothar zastanowił się przez chwilę, po czym dodał: – To była bardzo dyplomatyczna i uprzejma odpowiedź.

Khadgar wysilił się na słaby uśmiech.

– Lordaeron to bardzo dyplomatyczny i uprzejmy kraj.

– Zauważyłem to w trakcie obrad Królewskiej Rady. Wysłannicy Dalaranu potrafią powiedzieć tak i nie w tym samym momencie, jednocześnie nie mówiąc nic. Bez urazy.

– Nie poczułem się urażony, panie – zapewnił czempiona Khadgar.

Lothar spojrzał na młodzieńca uważniej.

– Ile masz lat, chłopcze?

Khadgar podniósł wzrok na królewskiego doradcę.

– Siedemnaście. Dlaczego?

Lothar potrząsnął głową i chrząknął.

– To właściwie ma sens.

– Ma?

– Med, to znaczy szlachetny mag Medivh, był zaledwie kilka lat młodszy od ciebie, gdy zachorował. W efekcie nigdy właściwie nie miał do czynienia z ludźmi w twoim wieku.

– Chory? – zdumiał się Khadgar. – Mag był chory?

– Bardzo poważnie – odpowiedział Lothar. – Zapadł w głęboki sen, nazywali to śpiączką. Llane i ja trzymaliśmy go w opactwie Północnych Włości, a tamtejsi święci bracia karmili go bulionem, żeby nie umarł z wycieńczenia. Latami znajdował się w tym stanie, a potem pstryk i się obudził, zdrów jak ryba. No prawie.

– Prawie? – spytał Khadgar.

– Cóż, stracił część wczesnej młodości i kilka dodatkowych dekad. Zasnął

jako nastolatek, a obudził się dorosłym mężczyzną. Zawsze się martwiłem, że mogło to źle na niego wpłynąć.

Khadgar pomyślał o błyskawicznych zmianach nastroju swego mistrza, jego nieprzewidywalnym temperamencie, o dziecięcym zachwycie, z jakim stanął naprzeciw orków. Gdyby Medivh był młodszym mężczyzną, jego zachowanie miałoby większy sens?

– Ta śpiączka – Lothar pokręcił głową na samo wspomnienie – to było coś nienaturalnego. Med nazywa ją „drzemką", jakby wszystko było całkowicie normalne i wytłumaczalne. Ale nigdy nie dowiedzieliśmy się, czemu zapadł w sen. Może sam mógłby rozwikłać tę tajemnicę, ale nigdy się tym nie interesował, nawet gdy go o to poprosiłem.

– Jestem uczniem Medivha – powiedział po prostu Khadgar. – Czemu mi to wszystko mówicie, panie?

Lothar westchnął głęboko i spojrzał na poznaczony śladami bitwy szczyt wzgórza. Khadgar uświadomił sobie, że królewski czempion jest człowiekiem na wskroś uczciwym, który w Dalaranie nie przetrwałby nawet dnia. W jego twarzy można było czytać jak w otwartej księdze.

Lothar cmoknął, zasysając powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Szczerze mówiąc, martwię się o niego. Jest zupełnie sam w tej wieży…

– Ma kasztelana. I Kucharkę – wtrącił Khadgar.

– …z całą swoją magią – mówił dalej Lothar. – Wydaje się samotny. Umościł się w tych swoich górach, a ja martwię się o niego.

Khadgar pokiwał głową.

Dlatego właśnie próbowałeś zarekomendować mu uczniów z Wichrogrodu, dodał w myślach. *Żeby szpiegowali twojego przyjaciela. Martwisz się o niego, ale martwi cię też jego moc.*

– Martwicie się, czy z nim wszystko w porządku.

Lothar wzruszył ramionami, pokazując tym samym, jak bardzo się martwił i jak bardzo chciałby udawać, że jest inaczej.

– Jak mogę pomóc? – spytał Khadgar. – Pomóc jemu. Pomóc wam.

– Miej na niego oko – stwierdził Lothar. – Skoro jesteś jego uczniem, powinien spędzać z tobą więcej czasu. Nie chciałbym, żeby…

– Ponownie zapadł w śpiączkę? – zasugerował Khadgar. *W czasach, gdy nagle wszędzie są orkowie*.

Lothar nagrodził to przypuszczenie kolejnym wzruszeniem ramion.

Khadgar uśmiechnął się najbardziej szczerze, jak potrafił.

– Będę zaszczycony, mogąc pomóc wam obu, lordzie Lotharze. Wiedzcie jednak, że przede wszystkim jestem winien lojalność memu mistrzowi, ale jeśli wydarzy się coś, o czym powinien wiedzieć przyjaciel, niewątpliwie dam znać.

Otrzymał kolejne klepnięcie ciężką rękawicą. Khadgar nie mógł się nadziwić, jak źle Lothar ukrywał swoje troski. Czy wszyscy mieszkańcy Wichrogrodu byli tak otwarci i szczerzy? Nawet teraz Khadgar widział, że Lothar chce porozmawiać jeszcze o czymś.

– Jest coś jeszcze – stwierdził Lothar.

Khadgar tylko grzecznie pokiwał głową.

– Czy lord mag wspominał o Strażniku?

Przez moment Khadgar miał ochotę udawać, że wie więcej niż w rzeczywistości, by wyciągnąć informacje od tego szczerego człowieka. Jednak natychmiast odrzucił tę myśl.

Lepiej było trzymać się prawdy.

– Słyszałem tę nazwę z ust Medivha – odpowiedział Khadgar. – Ale nic nie wiem na ten temat.

– Aha – skonstatował Lothar. – W takim razie lepiej będzie, jeśli nic ci o tym nie powiem.

– Na pewno będziemy rozmawiać na ten temat w odpowiednim czasie – dodał Khadgar.

– Bez wątpienia – zgodził się Lothar. – Wyglądasz na godnego zaufania.

– W końcu jestem jego uczniem od zaledwie kilku dni – stwierdził leniwie Khadgar.

Lothar uniósł brwi.

– Kilka dni? A dokładnie od jak dawna jesteś uczniem Medivha?

– Licząc do jutrzejszego świtu? – powiedział Khadgar i pozwolił sobie na uśmiech. – Dokładnie jeden.

I w tej właśnie chwili wrócił do nich Medivh. Sprawiał wrażenie jeszcze

bardziej wymęczonego niż wcześniej. Lothar uniósł brwi z nadzieją, lecz mag tylko pokręcił głową w odpowiedzi. Czempion zmarszczył brwi i wymieniwszy kilka grzecznościowych formułek, odszedł, by nadzorować resztę sprzątania. Połowa oddziału, wysłana drogą w ślad za orkami, też powróciła. Niczego nie znaleźli.

– Gotów do podróży? – spytał Medivh.

Khadgar dźwignął się na nogi. Piaszczyste wzgórze pośrodku Czarnych Mokradeł zakołysało się niczym okręt w czasie sztormu.

– Raczej tak – odpowiedział. – Nie wiem jednak, czy poradzę sobie z gryfem, nawet z… – Umilkł, ale palcem dotknął czoła.

– To nawet dobrze – uznał Medivh. – Twój wierzchowiec przestraszył się strzał i poleciał w stronę gór. Będziemy musieli polecieć na jednym. – Uniósł rzeźbiony runami gwizdek do ust i wydobył z niego kilka krótkich, ostrych gwizdów. Dobiegł ich skrzek gryfa, który krążył wysoko nad nimi.

Khadgar spojrzał w górę.

– Czyli jestem twoim uczniem – powiedział.

– Tak – odpowiedział Medivh, na jego twarzy malował się spokój.

– Przeszedłem twoje próby – stwierdził młodzieniec.

– Tak – odpowiedział znów Medivh.

– Czuję się zaszczycony, panie – powiedział Khadgar.

– I dobrze – odpowiedział Medivh, a przez jego usta przemknął cień uśmiechu. – Ponieważ teraz zaczyna się najtrudniejsze.

Rozdział 5

Piasek w klepsydrze

– Widziałem ich wcześniej – powiedział Khadgar.

Od starcia na bagnach minęło siedem dni. Po powrocie do wieży (i jednym dniu odzyskiwania sił przez Khadgara) młody mag przystąpił do prawdziwej nauki. Z samego rana, jeszcze przed śniadaniem, Khadgar pod kierunkiem Medivha ćwiczył zaklęcia. Od śniadania do obiadu i od obiadu do kolacji młodzieniec pomagał mistrzowi w różnych zadaniach. Notował liczby odczytywane przez Medivha, zbiegał na dół do biblioteki po rozmaite księgi albo trzymał różne narzędzia, podczas gdy mag pracował.

To właśnie robił, gdy w końcu poczuł się na tyle nieskrępowany w towarzystwie swego mentora, by podzielić się tym, co wiedział o zasadzce.

– Kogo widziałeś wcześniej? – spytał Medivh, patrząc przez szkło powiększające na swój bieżący eksperyment. Na palcach mag miał nieduże, spiczaste naparstki zakończone nieskończenie cienkimi igłami. Dostrajał coś, co wyglądało jak mechaniczny trzmiel, który poruszał ciężkimi skrzydłami za każdym razem, gdy dotknęła go któraś z igieł.

– Orków – odpowiedział Khadgar. – Już wcześniej widziałem orków, jak ci, z którymi walczyliśmy.

– Nie wspominałeś o nich, gdy tu przyjechałeś – zauważył z roztargnieniem Medivh, a jego palce tańczyły z niezwykłą precyzją, wsuwając igły w ciało metalowego trzmiela i wyciągając je w następnej chwili. – Pamiętam, że pytałem cię o inne rasy. Nie wspomniałeś o nich. Kiedy je widziałeś?

– W wizji. Po moim przybyciu tutaj – wyjaśnił Khadgar.

– Aha. Miałeś wizję. W tym miejscu zdarza się to wielu. Morios pewnie ci

powiedział. Ma trochę zbyt długi język, rozumiesz.

– Miałem jedną, może dwie. Ale jedną na pewno, zobaczyłem pole bitwy, a te istoty tam były. Atakowały nas. To znaczy atakowały ludzi, z którymi byłem.

– Hm – mruknął Medivh. Pod wąsem ukazał się czubek języka, gdy mag delikatnie przesunął igły wzdłuż miedzianego odwłoka trzmiela.

– A to nie było tutaj – mówił dalej Khadgar. – Nie na Azeroth ani w Lordaeronie. Tam, gdzie trafiłem, niebo było czerwone jak krew.

Medivh zadrżał, jakby przeszył go prąd. Skomplikowane urządzenie, nad którym pracował, zapłonęło jasno, gdy dotknął nieodpowiednich części, potem krzyknęło i umarło.

– Czerwone niebo? – powtórzył, odwrócił się od stołu i patrzył na Khadgara uważnie. Wydawało się, że nad ciemnymi brwiami zbiera się energia, intensywna i wyzuta ze współczucia, zielone oczy Medivha były niczym wzburzone morze.

– Czerwone. Jak krew – zapewnił go Khadgar. Wydawało mu się, że przyzwyczaił się już do nagłych i gwałtownych zmian nastroju swego nauczyciela, ale ta uderzyła go niczym cios.

Starszy mag syknął.

– Opowiedz mi o tym. O świecie, orkach, niebie – polecił młodzieńcowi głosem niewzruszonym jak skała. – Opowiedz mi o wszystkim.

Khadgar przypomniał sobie wizję, której doświadczył tej pierwszej nocy w wieży, i opowiedział wszystko, co zapamiętał. Medivh przerywał mu nieustannie pytaniami: co mieli na sobie orkowie, jak wyglądał świat? Co Khadgar dostrzegł na niebie, na horyzoncie? Czy orkowie mieli jakieś sztandary? Khadgar miał wrażenie, że jego myśli są krojone na kawałki i starannie badane. Medivh z łatwością wyciągał z niego kolejne informacje. Młodzieniec powiedział mentorowi o wszystkim.

Prawie o wszystkim. Nie wspomniał o niepokojąco znajomych oczach maga-wojownika dowodzącego ludzkimi oddziałami. Miał dziwne uczucie, że nie powinien o tym wspominać, zresztą pytania Medivha koncentrowały się raczej wokół świata o czerwonym niebie i orków, a nie na ludzkich obrońcach.

Kiedy Khadgar zrelacjonował swoją wizję, mentor wyraźnie się uspokoił, lecz oczy pod gęstymi brwiami wciąż przypominały wzburzone morze. Khadgar nie widział powodu, by bardziej denerwować nauczyciela.

– Ciekawe – stwierdził Medivh powoli i z namysłem, gdy wysłuchał wszystkiego. Odchylił się na oparcie fotela i postukał w wargę czubkiem zakończonego igłą palca. Cisza wisiała nad ich głowami, ciężka niczym całun. – To jest coś nowego – powiedział wreszcie. – Naprawdę nowego.

– Panie – zaczął Khadgar.

– Medivhie – poprawił go nauczyciel.

– Medivhie, panie – zaczął ponownie Khadgar. – Skąd się biorą te wizje? Czy to przeszłość nawiedza wieżę, czy też to zapowiedzi przyszłości?

– Jedno i drugie – odpowiedział Medivh. – A zarazem ani jedno, ani drugie. Idź do kuchni i przynieś dzban wina. Na dziś skończyłem pracę. Obawiam się, że już pora na kolację, a wyjaśnienia mogą trochę potrwać.

Gdy Khadgar wrócił, Medivh zdążył już rozpalić ogień w kominku i usiąść w jednym z większych foteli. Wyjął dwa kubki. Khadgar napełnił naczynia, a słodki aromat wina zmieszał się z wonią cedrowego dymu.

– Pijesz? – spytał Medivh poniewczasie.

– Trochę – odpowiedział Khadgar. – W Purpurowej Cytadeli zwyczajowo podają wino do kolacji.

– Tak – stwierdził Medivh. – Nie potrzebowalibyście tego, gdybyście zlikwidowali ołowianą wyściółkę akweduktu. Ale pytałeś mnie o wizje.

– Tak, zobaczyłem to, co ci opisałem, a Morios… – Khadgar zawahał się przez chwilę. Miał nadzieję, że nie zszarga jeszcze bardziej opinii kasztelana, którego Medivh już miał za plotkarza, ale zdecydował się podjąć wątek. – Morios powiedział, że nie jestem wyjątkiem. Że ludzie widują takie rzeczy przez cały czas.

– Morios ma rację – przyznał Medivh, upił solidny łyk i cmoknął z zadowoleniem. – Słodkie, z jednego zbioru, wcale niezłe. To, że wieża jest miejscem szczególnej mocy, nie powinno być dla ciebie zaskoczeniem. Magów takie okolice zwykle przyciągają. W takich miejscach granica wszechświata wyciera się, staje się cienka, czasem się zawija, czasem pozwala na przejście do

Wypaczonej Otchłani i całkowicie innych światów.

– I to właśnie widziałem – przerwał Khadgar – inny świat?

Medivh uciszył go gestem.

– Mówię tylko, że istnieją miejsca, które z takiego czy innego powodu zyskują wielką moc. Jednym z takich miejsc jest to tutaj, w Przełęczy Wichrowej Zguby. Dawno temu eksplodowało tu coś potężnego, wyrąbało dolinę, osłabiając zarazem rzeczywistość wokół.

– I dlatego właśnie je odszukałeś – podsunął Khadgar.

Medivh potrząsnął głową.

– To jedna z teorii – oznajmił.

– Powiedziałeś, że dawno temu wybuch stworzył to miejsce i obdarzył magiczną mocą. Potem przybyłeś ty…

– Tak – odpowiedział Medivh. – To wszystko prawda, jeśli postrzegasz te wydarzenia w sposób liniowy. Ale co, jeśli wybuch nastąpił właśnie dlatego, że ja miałem się tu kiedyś pojawić i miejsce to musiało być dla mnie przygotowane?

Khadgar ściągnął brwi w namyśle.

– Ale rzeczy tak się nie dzieją.

– W normalnym świecie, istotnie, nie – przyznał Medivh. – Magia to jednak sztuka okpiwania normalności. Dlatego filozoficzne debaty Kirin Toru to głównie farmazony i zadęcie. Próbują ująć świat w ramy racjonalizmu, uregulować jego prawa. Gwiazdy wędrują po niebie w określonym porządku, pory roku następują po sobie z niezmienną regularnością, a mężczyźni i kobiety żyją i umierają. Jeśli tak się nie dzieje, jest to magia, pierwsze zniekształcenie wszechświata, kilka wypaczonych desek podłogi, które tylko czekają, by wyrwały je przedsiębiorcze ręce.

– Ale żeby ta okolica została przygotowana na twoje przybycie… – zaczął Khadgar.

– Świat musiałby być całkiem inny, niż to się nam wydaje – dokończył Medivh. – Tak naprawę właśnie jest. Jak działa czas?

Khadgar nie był tak całkowicie zaskoczony pozorną zmianą tematu.

– Czas?

– Używamy go, ufamy mu, mierzymy go, ale czym jest? – Medivh uśmiechał się znad kubka.

– Czas to nieustanne i regularne następowanie po sobie kolejnych momentów. Na podobieństwo ziaren piasku w klepsydrze – stwierdził Khadgar.

– Doskonała analogia – uznał Medivh. – Sam miałem zamiar jej użyć, a potem porównać klepsydrę z mechanicznym zegarem. Widzisz różnicę między jednym i drugim?

Khadgar powoli pokręcił głową, a Medivh w milczeniu sączył swoje wino.

– Nie, nie jesteś głupi, chłopcze – powiedział w końcu. – To wyjątkowo trudny koncept. Zegar to mechaniczna symulacja czasu, a każde uderzenie kontrolowane jest przez poruszające się przekładnie. Wystarczy, że spojrzysz na zegar, a widzisz, że wskazówki posuwają się do przodu za sprawą jednego drgnienia koła, ząb za zębem. Wiesz, co się zaraz wydarzy, ponieważ tak zegarmistrz zbudował czasomierz.

– No dobrze – zgodził się Khadgar. – Czas jest zegarem.

– A! Lecz czas jest również klepsydrą – przypomniał mu Medivh. Sięgnął po klepsydrę stojącą na półeczce nad kominkiem i obrócił ją do góry nogami.

Khadgar spojrzał na nią i próbował sobie przypomnieć, czy stała na kominku, zanim wrócił tu z winem albo nawet zanim Medivh po nią sięgnął.

– Klepsydra również mierzy czas, czyż nie? – kontynuował starszy mag. – Jednak w tym przypadku nie wiesz, które ziarenko piasku w danej chwili prześlizgnie się z górnej części do dolnej. Gdybyś ponumerował ziarenka, ich kolejność za każdym razem byłaby trochę inna. A jednak wynik jest zawsze taki sam: cały piasek przesypuje się z górnej połówki do dolnej. Kolejność ziarenek nie ma najmniejszego znaczenia. – Oczy maga zapłonęły na chwilę. – Czyli?

– Czyli – podjął Khadgar – z tego, co mówisz, wynika, że może nie mieć znaczenia, czy wzniosłeś tu wieżę, ponieważ wybuch stworzył tę dolinę i odkształcił naturę rzeczywistości wokół niej, czy też wybuch zdarzył się, ponieważ ty miałeś się tu pojawić, a natura wszechświata wymagała, byś otrzymał narzędzia, których potrzebowałeś.

– Mniej więcej – skomentował Medivh.

– Zatem czym są te wizje? Ziarenkami piasku? – dociekał Khadgar. Medivh

skrzywił się lekko, lecz młodzieniec tym razem nie zamilkł. – Jeśli wieża jest klepsydrą, a nie zegarem, w takim razie muszą być też i ziarenka piasku, samego czasu, które przesypują się przez nią w dowolnej kolejności. Są od siebie oderwane lub też nakładają się jedno na drugie tak, że możemy je zobaczyć, ale niezbyt wyraźnie. Niektóre z tych drobin stanowią okruchy przeszłości. Niektóre przyszłości. Czy niektóre mogą pochodzić z innych światów?

Teraz Medivh zamyślił się głęboko.

– To możliwe. Najwyższa ocena. Dobrze pomyślane. Niezwykle istotne jest jednak, by pamiętać, że wizje są wizjami. Pojawiają się i rozwiewają. Gdyby wieża była zegarem, byłyby regularne i łatwe do wyjaśnienia. Ale ponieważ wieża jest klepsydrą, nie są. Pojawiają się w swoim własnym tempie i nie leży w naszych możliwościach wyjaśnienie ich chaotycznej natury. – Medivh wyprostował się i opadł na oparcie fotela. – Z czego ja osobiście jestem akurat zadowolony. Nie podobałby mi się uporządkowany, ściśle zaplanowany wszechświat.

– Ale czy kiedykolwiek szukałeś jakiejś szczególnej wizji? – spytał Khadgar. – Czy nie ma sposobu na odkrycie jakiejś niechybnej przyszłości, a potem dopilnowanie, że istotnie się wydarzy?

Medivh spochmurniał.

– Albo upewnienie się, że się nigdy nie wydarzy – dodał. – Nie, są takie kwestie, względem których nawet największy mistrz magii czuje respekt i do których się nie miesza. To jedna z nich.

– Ale…

– Żadnych ale. – Medivh wstał i ustawił pusty kubek na półce. – Teraz, kiedy napiłeś się trochę wina… sprawdźmy, jak panujesz nad mocą. Unieś w powietrze mój kubek.

Khadgar zmarszczył czoło i uświadomił sobie, że mówi nieco niewyraźnie.

– Ale przecież piliśmy…

– I o to chodzi – odpowiedział mistrz. – Nigdy nie wiadomo, czym piasek wszechświata sypnie ci w twarz. Możesz albo próbować być wiecznie czujnym i gotowym, a tym samym zrezygnować z normalnego życia, albo też cieszyć się

życiem i zapłacić za to cenę. Teraz zmuś mój kubek do lewitacji.

Dopiero teraz Khadgar uświadomił sobie, jak dużo wypił. Spróbował oczyścić swój umysł z mgły i unieść ciężki gliniany kubek z półki nad kominkiem.

Chwilę później ruszył w stronę kuchni w poszukiwaniu szczotki i szufelki.

Wieczorami Khadgar miał czas dla siebie, żeby ćwiczyć albo prowadzić badania, Medivh zajmował się wtedy innymi sprawami. Jego uczeń zastanawiał się, na czym polegały te inne sprawy, domyślał się, że między innymi na prowadzeniu ożywionej korespondencji, gdyż dwa razy w tygodniu na szczycie wieży lądował gryf z krasnoludem na grzbiecie. Krasnolud miał solidną sakwę przewieszoną przez ramię. Kiedy odlatywał, sakwa była dwukrotnie cięższa.

Medivh zezwolił młodzieńcowi korzystać z biblioteki wedle własnego uznania, w tym do poszukiwania odpowiedzi na niezliczone pytania swych dawnych nauczycieli.

– Wymagam tylko jednego – zapowiedział Medivh z uśmiechem – byś pokazywał mi, co napisałeś, nim wyślesz to do Purpurowej Cytadeli. – Musiał dostrzec zażenowanie malujące się na twarzy Khadgara, dodał bowiem: – Nie dlatego, bym podejrzewał, że masz przede mną jakieś sekrety, Młody Powierniku, ale dlatego, że nie chciałbym w żadnym wypadku, żeby oni dowiedzieli się czegoś, o czym ja zapomniałem.

I tak Khadgar zagrzebał się w księgach. Dla Guzbaha wyszukał starożytny zwój z pięknie napisanym poematem epickim, którego ponumerowane zwrotki szczegółowo opisywały starcie matki Medivha, Egwiny, z bezimiennym demonem. Dla lady Delth sporządził listę zapleśniałych elfich ksiąg znajdujących się w bibliotece. A dla Alondy przerył wszystkie bestiariusze, jakie znalazł i mógł przeczytać, ale nijak nie zdołał zwiększyć liczby znanych gatunków trolli o piąty.

W wolnym czasie Khadgar ćwiczył wykorzystywanie wytrychów i własnych zaklęć otwierania. Wciąż próbował poskromić te księgi, których nie zdołał otworzyć w trakcie porządkowania biblioteki. Zabezpieczone były potężną magią i bywało, że Khadgar cały wieczór poświęcił na wróżby, zanim udało mu

się zdobyć jakąkolwiek wskazówkę co do natury zaklęcia chroniącego określony wolumin.

Tematem, któremu Khadgar poświęcał jeszcze czas, był Strażnik. Medivh wspomniał o Strażniku, a lord Lothar założył, że mag powierzył tę tajemnicę swemu uczniowi, i szybko zmienił temat, gdy okazało się, że się pomylił.

Strażnik okazał się zjawą, równie realną, czy też może nierealną, jak wizje spoza czasu pojawiające się w wieży. W jednej z elfich ksiąg wspomniano mimochodem o śmierci Strażnika (zawsze pisanego wielką literą), w kronikach Wichrogrodu odnotowano obecność Strażnika na jakimś ślubie albo innym pogrzebie czy to, że stał na czele jakiegoś ataku. Zawsze obecny, lecz nigdy nie został wymieniony z imienia. Czy słowo „Strażnik" było określeniem jakiegoś stanowiska, czy też podobnie jak w przypadku owej prawie nieśmiertelnej matki Medivha – dotyczyło jednej istoty?

Wokół zjawy Strażnika krążyły również inne. Jakiś bliżej nieokreślony zakon, jakaś organizacja… Czy Strażnik był rycerzem Światłości? Na marginesie jednego z grimuarów zapisano słowo „Tirisfal", starannie je potem wytarto, ale dociekliwość Khadgara, wspierana talentem, pozwoliła mu odcyfrować ślad, jaki stalówka pozostawiła na papierze. Czyżby było to imię jednego ze Strażników, a może nazwa tej tajemniczej organizacji, czy też coś zupełnie innego?

Tego samego wieczora, gdy odnalazł słowo „Tirisfal", cztery dni po próbie z lewitującym kubkiem, Khadgar natknął się na kolejną wizję. Albo raczej wizja podkradła się do niego niespodziewanie i otoczyła, pochłonęła bez reszty.

Pierwszy był zapach – wśród woni butwiejących ksiąg pojawił się delikatny, ale z chwili na chwilę wyraźniejszy aromat roślin rozgrzanych słońcem. W komnacie zrobiło się bardzo ciepło, jakby wszystko okrył wilgotny koc; nie było to nieprzyjemne. Ściany pociemniały, pozieleniały, a po regałach popełzły pnącza, oplatały i zastępowały księgi, rozkładając szerokie, płaskie liście. Wielkie, blade kwiaty powojów i szkarłatne storczyki wyrastały wśród zwojów pergaminu.

Khadgar westchnął głęboko, bardziej jednak ze zniecierpliwienia niż strachu. To nie był świat jałowej ziemi i armii orków z poprzedniej wizji. To

było coś innego. Dżungla, jednak dżungla tego świata. Ta myśl była pokrzepiająca.

W następnej chwili zniknął stół i księga, którą czytał Khadgar, on sam zaś znalazł się przy ognisku z trzema młodymi mężczyznami, mniej więcej w jego wieku. Znajdowali się na jakiejś wyprawie. Przy ognisku przygotowane zostały proste posłania, kociołek pusty już i umyty schnął obok. Trzej młodzieńcy byli ubrani w stroje do konnej jazdy, wszystkie doskonale skrojone i dobrej jakości.

Śmiali się i żartowali, ale tak jak w przypadku poprzedniej wizji i tym razem Khadgar nie mógł rozpoznać żadnych konkretnych słów. Jasnowłosy młodzieniec, siedzący pośrodku, opowiadał chyba jakąś historię i sądząc po jego gestykulacji, bohaterką jej była kształtna młoda niewiasta.

Młodzieniec po prawej zaśmiał się i klepnął po kolanie, zaś jasnowłosy kontynuował swoją opowieść. Jego rozbawiony towarzysz przeczesał włosy palcami, Khadgar zauważył wyraźne zakola i uświadomił sobie, że patrzy na lorda Lothara. Oczy, nos, uśmiech niewiele się zmieniły przez lata, jednak twarz nie została jeszcze naznaczona zmarszczkami, a broda siwizną. Ale to niewątpliwie był Lothar.

Khadgar spojrzał na trzeciego mężczyznę i od razu uświadomił sobie, że to Medivh.

Miał na sobie zielony strój myśliwski, kaptur ściągnął na plecy; na młodej twarzy widać było rozbawienie. W świetle ogniska jego oczy przypominały wypolerowany jadeit. Młody Medivh podsumował opowieść jasnowłosego zażenowanym uśmiechem.

Jasnowłosy powiedział coś i jakby dla potwierdzenia wskazał na młodego Medivha, który wzruszył ramionami, najwyraźniej skrępowany. Widocznie opowieść dotyczyła również przyszłego mistrza sztuk magicznych.

Jasnowłosy musiał być młodym Llane’em, obecnym władcą Wichrogrodu. Tak, opowieści o młodzieńczych dokonaniach tej trójki trafiły nawet do archiwum Purpurowej Cytadeli. Trzech przyjaciół wędrowało po obrzeżach królestwa, badając pogranicze i walcząc z wszelkiego rodzaju bandytami i potworami.

Llane zakończył opowieść, a Lothar ryknął śmiechem, odrzucając głowę tak

mocno, że niemal spadł z kłody, na której siedział. Medivh stłumił śmiech, zakrywając usta dłonią i udając kaszel.

Lothar w końcu przestał się śmiać, a wtedy Medivh powiedział coś, rozkładając szeroko ręce. Lothar tym razem zwalił się z kłody, a Llane schował twarz w dłoniach i cały aż trząsł się ze śmiechu. Najwyraźniej to, co powiedział Medivh, było zabawniejsze nawet niż opowieść Llane'a.

I nagle coś poruszyło się w otaczającej ich gęstwinie. Trzech przyjaciół musiało to usłyszeć, bo wszyscy natychmiast spoważnieli. Khadgar, uczestniczący w tym spotkaniu jako duch, nie tyle usłyszał, co poczuł – coś złowrogiego czaiło się tuż na granicy światła padającego z ogniska.

Lothar podniósł się powoli i chwycił wielki, szeroki miecz leżący w pochwie u jego stóp. Llane również wstał, sięgnął za kłodę, na której siedział, i złapał topór o podwójnym ostrzu, machnięciem dłoni kazał Lotharowi pójść w jedną stronę, a Medivhowi w drugą. Medivh też zdążył wstać, a choć nie miał broni, to – nawet w tak młodym wieku – był najpotężniejszym z całej trójki.

Llane z toporem w ręce skoczył na jedną stronę ogniska. Może przyszłemu królowi wydawało się, że porusza się niezauważalnie, lecz Khadgar widział, że każdy krok uczyniony był z twardym rozmysłem. Chciał, żeby to, co czaiło się w mroku, wreszcie się pokazało.

Jego życzenie spełniło się niemal natychmiast. Stwór wypadł ze swojej kryjówki. Był półtora raza wyższy od trzech młodzieńców i przez moment Khadgar myślał, że patrzy na wielkiego orka.

Jednak zaraz przypomniał sobie bestiariusze, które przeglądał dla Alondy, i rozpoznał stworzenie. Był to troll, jeden z żyjących w dżunglach. Błękitna skóra w świetle księżyca wydawała się blada, a szare włosy ustawione były na sztorc, w sztywny grzebień biegnący od czoła do karku. Podobnie jak orkom, trollowi z dolnej szczęki sterczały wielkie kły, jednak trollowe szable były zaokrąglone i podobne do palików, znacznie przy tym grubsze niż ostre zęby orków. Troll miał długie uszy i nos, jakby na urągowisko ludzkim. Odziany był w skóry, a na jego piersi podskakiwały naszyjniki z kości ludzkich palców.

Troll wydał z siebie okrzyk wojenny, wypiął nagą pierś, ściągając wargi we wściekłym grymasie, i zamarkował cios włócznią. Llane chciał zablokować

uderzenie, ale jego topór wykreślił szeroki łuk, chybiając celu. Lothar ruszył do ataku z flanki. Medivh również zbliżał się do trolla, a na końcach jego palców tańczyła energia.

Troll uskoczył w bok, unikając ataku Lothara, i cofnął się zręcznie, umykając przed toporem Llane'a, który ciął powietrze ze świstem. Każdy krok był długi na jard i za każdym razem, gdy troll umykał przed ciosami, jego trzej przeciwnicy niezmiennie skracali dystans. Do tego troll wykorzystywał włócznię raczej jako zasłonę, trzymał ją oburącz i jedynie parował ciosy.

Khadgar uświadomił sobie, że stwór wcale nie próbuje zabić ludzi, jeszcze nie. Chciał ich ustawić w odpowiedniej pozycji.

Młody Medivh z wizji musiał zrozumieć to samo i krzyknął coś do pozostałych.

Jego ostrzeżenie przyszło jednak za późno. W tej samej chwili dwa kolejne trolle wyskoczyły z kryjówek po obu stronach walczących.

Llane, zawsze na wszystko przygotowany, tym razem został wzięty z zaskoczenia i włócznia przebiła mu prawe ramię. Ostrze topora wgryzło się w ziemię, a przyszły król zaklął głośno.

Dwa pozostałe trolle skupiły swe wysiłki na Lotharze, który cofał się teraz raz za razem z wyjątkową zręcznością, parując uderzenia swym szerokim ostrzem. Trolle wdrażały w życie swą strategię, rozdzieliły Llane'a i Lothara, zmuszając Medivha do dokonania wyboru. Medivh wybrał Llane'a. Khadgar domyślał się, że to z powodu rany, jaką odniósł już Llane. Medivh ruszył na trolla z płonącymi dłońmi…

I dostał w twarz końcem trollowej włóczni. Niebieskoskóry stwór trafił Medivha w szczękę solidnym drzewcem, a potem jednym płynnym ruchem uderzył rannego Llane'a. Medivh osunął się na ziemię, Llane legł obok. Topór wypadł z dłoni przyszłego suzerena.

Troll zawahał się, wyraźnie nie mógł zdecydować, kogo zabić jako pierwszego. Wybrał Medivha, który leżał bliżej. Troll uniósł włócznię, a jej obsydianowy grot zalśnił złowieszczo w blasku księżyca.

Młody Medivh wykrztusił z siebie kilka sylab. Z ziemi poderwała się mała trąba powietrzna, sypnęła trollowi piaskiem w oczy i go oślepiła. Stwór

wstrzymał cios na ułamek chwili i sięgnął zbrojną w pazury dłonią ku zapiaszczonym ślepiom.

Ta chwila zwłoki okazała się wszystkim, czego Medivh potrzebował – rzucił się do walki zbrojny nie w zaklęcie, lecz zwyczajny nóż, którym przebił udo przeciwnika. Troll wrzasnął i dźgnął włócznią na ślepo. Grot wbił się w miejsce, gdzie Medivh leżał jeszcze moment wcześniej, ale młody mag przetoczył się na bok i już zrywał się na nogi. Na czubkach palców iskrzyła mu energia.

Mag wymruczał słowo i błyskawica zwinęła się w kulę między jego palcami, a potem wystrzeliła. Wstrząs poderwał trolla z ziemi i zawiesił na chwilę targanego drgawkami w błękitnym blasku. W końcu stwór upadł na kolana, ale żył nadal, próbował się dźwignąć, a w jego załzawionych ślepiach płonęła czysta nienawiść do czarownika.

Nie dostał szansy, by się zemścić. Cień nagle urósł za plecami trolla i topór Llane'a błysnął w świetle księżyca i strącił trollowi łeb z karku. Stwór padł bez życia, a dwaj zwycięscy młodzieńcy zwrócili się w stronę walczącego Lothara.

Przyszły czempion Wichrogrodu dawał odpór atakującym, ale ledwo, ledwo. Zmuszony do cofania się, dotarł niemalże na drugą stronę obozu. Trolle usłyszały przedśmiertny wrzask pobratymca. Jeden nieprzerwanie napierał na Lothara, ale drugi ruszył rozprawić się z pozostałymi ludźmi. Z nieartykułowanym rykiem rzucił się przez obóz, ściskając włócznię niczym rycerz kopię.

Llane ruszył mu naprzeciw, lecz w ostatniej chwili uskoczył na bok, unikając grotu włóczni. Troll z rozpędu zrobił jeszcze dwa kroki do ogniska i czekającego tam Medivha.

Teraz mag zdawał się pełen energii, a blask ogniska nadawał jego rysom iście demonicznego wyrazu. Ramiona miał szeroko rozpostarte i zaczął surową, rytmiczną pieśń.

Płomienie wystrzeliły w górę. Ogień przybrał kształt olbrzymiego lwa i skoczył na trolla. Stwór zawył, gdy głownie, polana i popiół otoczyły go niczym płaszcz i nie dawały się zrzucić. Padł na ziemię i przetaczał się to w jedną, to w drugą stronę, próbując bezskutecznie zdusić płomienie. W końcu znieruchomiał, a wtedy żarłoczny ogień pochłonął go do końca.

Llane natomiast nie zatrzymał się, uskoczywszy trollowi sprzed włóczni, tylko z rozpędu wbił topór w bok ostatniego przeciwnika. Stwór zawył i ten moment bezruchu był wszystkim, czego potrzebował Lothar. Czempion zamachnął się znad ramienia, zbił wysuniętą włócznię, a potem precyzyjnym płaskim cięciem strącił trollowi głowę z ramion. Łeb potoczył się i przepadł w krzakach.

Llane, choć krwawił z rany, klepnął Lothara w plecy, najwyraźniej dokuczał przyjacielowi, że tyle czasu zajęło mu pokonanie trolla. Wtedy Lothar uciszył Llane'a, kładąc mu dłoń na piersi niespokojnym gestem, po czym wskazał na Medivha.

Młody mag wciąż stał przy ogniu, ręce miał uniesione do góry, dłonie otwarte, ale palce zagięte niczym szpony. Oczy połyskiwały szkliście w świetle resztek ogniska, szczęki były konwulsyjnie zaciśnięte. Obaj młodzieńcy (i widmowy Khadgar) rzucili się ku niemu, a wtedy Medivh padł na plecy.

Nim przyjaciele dobiegli do maga, ten dyszał ciężko i w świetle księżyca widać było jego rozszerzone źrenice. Obaj wojownicy i widmowy przybysz pochylili się nad magiem, który starał się coś powiedzieć.

– Uważaj na mnie – wykrztusił, patrząc nie na Lothara czy Llane'a, lecz na Khadgara. Potem oczy uciekły Medivhowi w głąb czaszki i mag znieruchomiał.

Lothar i Llane próbowali ocucić przyjaciela, tymczasem Khadgar cofnął się o krok. Czy Medivh rzeczywiście go zobaczył, podobnie jak tamten mag o niepokojąco znajomych oczach na ogarniętej wojną równinie? Ponadto Khadgar usłyszał Medivha, jego wyraźne słowa przeszywające do głębi duszy.

Khadgar odwrócił się, a wtedy wizja zniknęła równie szybko, co mysz w norze. Znów był w bibliotece i niemal wpadł na Medivha we własnej osobie.

– Młody Powierniku – odezwał się Medivh o wiele starszy niż ten leżący na ziemi w wizji Khadgara. – Wszystko w porządku? Wołałem cię, ale nie odpowiedziałeś.

– Przepraszam, Med… panie. – Khadgar odetchnął głęboko. – Doświadczyłem wizji i chyba się w niej zatraciłem.

Medivh ściągnął ciemne brwi.

– Chyba nie czerwone niebo i więcej orków? – spytał poważnie mag,

a Khadgar ujrzał w zielonych oczach pierwszą zapowiedź burzy.

Pokręcił głową.

– Trolle. Błękitne trolle, i były w dżungli – odpowiedział, starannie dobierając słowa. – Myślę, że tym razem był to ten świat. Niebo wyglądało tak samo.

Niepokój Medivha rozwiał się bez śladu:

– Dżunglowe trolle. Spotkałem kiedyś kilku w Dolinie Cierniodławów… – Twarz mu się wygładziła, jakby sam zatracił się we własnej wizji. Potrząsnął głową. – Ale tym razem żadnych orków, zgadza się? Jesteś pewien?

– Pewien – potwierdził Khadgar. Nie chciał wspominać, że był świadkiem bitwy. Czy dla Medivha było to złe wspomnienie? Czy to wtedy właśnie zapadł w śpiączkę?

Patrząc na swego nauczyciela, Khadgar dostrzegał wiele z tamtego młodzieńca z wizji. Dziś Medivh był wyższy, choć nieco garbił się po latach pochylania się nad stołem w trakcie badań, a Khadgar widział tamtego młodzika ukrytego w swej starszej postaci.

Medivh powiedział tylko:

– Czy masz *Pieśń o Egwinie*?

Khadgar otrząsnął się z zamyślenia.

– Pieśń?

– O mojej matce – stwierdził Medivh. – To taki stary zwój. Przysięgam, że od kiedy tu posprzątałeś, nie mogę go nigdzie znaleźć!

– Jest razem z innymi eposami, panie – wyjaśnił Khadgar. *Powinienem powiedzieć mu o wizji*,pomyślał. Czy wizja pojawiła się przypadkowo, czy też wywołało ją ostatnie spotkanie z Lotharem? Czy za każdym razem, gdy Khadgar się czegoś dowie, doświadczy kolejnej wizji, czy to właśnie je wywoływało?

Medivh podszedł do półki, przeciągnął palcem wzdłuż zwojów, po czym wyciągnął jeden z nich, stary i zniszczony. Rozwinął częściowo, porównał jakiś fragment z kawałkiem papieru wyciągniętym z kieszeni, po czym odłożył pergamin na półkę.

– Muszę wyjechać – oznajmił nagle. – Obawiam się, że już dziś wieczorem.

– Dokąd się udajemy? – spytał Khadgar.

– Tym razem ruszam sam – odpowiedział Medivh, idąc w stronę drzwi. – Pozostawię Moriosowi wskazówki dotyczące twojej nauki.

– Kiedy wrócisz!? – krzyknął za nim Khadgar.

– Kiedy wrócę! – ryknął w odpowiedzi Medivh, znów sadząc po schodach co dwa stopnie. Khadgar był niemal pewien, że kasztelan już jest na szczycie wieży, w ręku ma ozdobiony runami gwizdek, a udomowiony gryf szykuje się do lądowania.

– Bardzo dobrze – powiedział Khadgar, patrząc na księgi. – A ja tu zostanę i odgadnę, jak ujarzmić klepsydrę.

Rozdział 6

Egwina i Sargeras

Medivha nie było przez tydzień, a Khadgar ani przez chwilę nie marnował czasu. Rozłożył się w bibliotece i kazał Moriosowi tam przynosić sobie posiłki. Nieraz się zdarzyło, że nie wrócił wieczorem do swoich komnat, tylko spał na wielkim stole w bibliotece. Poszukiwał wizji.

Przestał odpowiadać na listy, całkowicie pogrzebany w starożytnych księgach i grimuarach dotyczących czasu, światła i magii. Wysłane wcześniej raporty doczekały się szybkich odpowiedzi od magów z Purpurowej Cytadeli. Guzbah chciał przepisanego poematu o Egwinie. Lady Delth stwierdziła, że nie rozpoznaje żadnego z tytułów, o których pisał Khadgar, czy zatem mógłby wysłać je ponownie, tym razem z przepisanym pierwszym akapitem, żeby wiedziała, co to za księgi? A Alonda upierała się, że musi istnieć piąta odmiana trolli, tylko Khadgar nie odnalazł odpowiedniego bestiariusza. Młody mag z radością pozostawił ich żądania bez odpowiedzi i skupił się na poszukiwaniu sposobu okiełznania wizji.

Zdawało mu się, że kluczem do opracowywanej przez niego inkantacji było proste zaklęcie jasnowidzenia, wróżba, która pozwala ujrzeć odległe przedmioty i miejsca. Księga magii kapłańskiej opisywała je jako zaklęcie świętej wizji, dla celów Khadgara nadawało się jednak równie dobrze. Kapłańskie zaklęcie działało na przestrzeń, być może jego zmodyfikowana wersja podziała na czas. Normalnie byłoby to niemożliwe, bowiem w określonym i przewidywalnym wszechświecie-zegarze czas płynął również w określony sposób.

Ale w murach Karazhanu czas płynął niczym piasek w klepsydrze i określenie jego oderwanych strzępków mogło się okazać wykonalne. A kiedy

już wychwyci jedno ziarnko czasu, łatwiej będzie przechodzić od jednego ziarenka do drugiego.

Jeśli jednak ktoś już podejmował takie próby w murach Wieży Medivha, nie zachowała się na ten temat żadna wzmianka, chyba że w którymś z najsilniej zabezpieczonych lub nieczytelnych tomów zalegających na żelaznej galeryjce. Co ciekawe, z zapisków skreślonych ręką Medivha wynikało, że mag w ogóle nie interesował się wizjami, notatki gości wieży były pełne uwag na ten temat. Czy Medivh przechowywał informacje dotyczące wizji w innym miejscu, czy też naprawdę bardziej był zainteresowany tym, co działo się poza murami wieży, niż tym, co działo się wewnątrz tych murów?

Przystosowywanie zaklęcia, by działało w oczekiwany sposób, nie ograniczało się jedynie do banalnej zmiany inkantacji czy układu gestów. Wymagało głębokiego i precyzyjnego zrozumienia, na czym polega wróżba, co ukazuje i jak. Pominięcie gestu czy aromatu wykorzystywanego kadzidła skończy się prawdopodobnie całkowitą porażką, a zebrana energia po prostu się rozproszy. Czasami energia może wyrwać się spod kontroli, jednak przeważnie skutkiem nieudanego zaklęcia jest jedynie frustracja czarodzieja.

W czasie swych badań Khadgar odkrył, że jeżeli zaklęcie zawiedzie w szczególnie widowiskowy sposób, oznacza to, iż nieudany czar był bardzo bliski temu zamierzonemu. Magia próbuje zamknąć lukę, sprawić, by coś się wydarzyło, aczkolwiek nie zawsze to, czego oczekiwał rzucający zaklęcie. Oczywiście bywały przypadki, że owi użytkownicy magii nie przetrwali takiej porażki.

W trakcie przygotowań Khadgar obawiał się, że Medivh może w każdej chwili wrócić i wpaść do biblioteki, szukając kolejnego eposu lub czegoś równie trywialnego. A jeśli tak, to czy Khadgar powie swojemu mistrzowi, co próbuje osiągnąć? Jeśli tak, to czy Medivh zachęci swego ucznia do dalszych prób, czy też zabroni mu zajmować się tą kwestią?

Po pięciu dniach Khadgar czuł, że jego praca nad zaklęciem dobiegła końca. W ogólnym zakresie nadal było kapłańskim zaklęciem jasnowidzenia, wzbogaconym jednak czynnikiem przypadkowości, by mogło wyszukać nieciągłości, które najwyraźniej występowały wewnątrz wieży, i sięgnąć

poprzez nie. Te fragmenty czasu, pozostające poza jego strumieniem i kierunkiem, będą odrobinę jaśniejsze, odrobinę cieplejsze lub po prostu odrobinę dziwniejsze od otoczenia, a przez to przyciągną do siebie czar.

Zaklęcie, o ile zadziała, powinno w odpowiedzi dokładnie dostroić się do wizji. Zbierze wszystkie dźwięki dochodzące z drugiego końca, usunie zniekształcenia i skoncentruje je, tak jak czyni to starzec, który przykłada do ucha zwiniętą dłoń, żeby lepiej słyszeć. Czar nie będzie oddziaływać na dźwięki poza obszarem centralnym, lecz osoba rzucająca zaklęcie będzie mogła słyszeć wyraźnie, co mówią postacie w wizji, a nie tylko je widzieć.

Wieczorem piątego dnia Khadgar zakończył obliczenia: schludne szeregi zasady mocy oraz rzucania zaklęć wyszczególnione w prostym zapisie. Gdyby coś poszło straszliwie nie tak, Medivh przynajmniej będzie mógł odgadnąć, co się stało.

Medivh miał oczywiście pełen zapas komponentów do zaklęć, włączając w to spiżarnię z aromatycznymi i magicznymi ziołami oraz lapidarium ze sproszkowanymi kamieniami półszlachetnymi. Khadgar wybrał ametyst do wyrysowania w bibliotece magicznego kręgu, przecinając go runami pisanymi różowym kwarcem. Po raz ostatni przejrzał słowa mocy (większość z nich poznał jeszcze przed opuszczeniem Dalaranu) i powtórzył gesty (prawie wszystkie oryginalne). Założył szaty stosowne do zaklęć przywołania (bardziej licząc, że przyniosą mu szczęście, niż dadzą konkretny efekt) i wszedł w magiczny krąg.

Khadgar uspokoił się i oczyścił umysł. To nie było szybkie zaklęcie bojowe ani prosta sztuczka, lecz potężny czar. Gdyby pozwolił sobie rzucić to zaklęcie w Purpurowej Cytadeli, natychmiast uruchomiłoby to rozmaite czary ochronne i błyskawicznie przywołało innych magów.

Odetchnął głęboko i rozpoczął rzucanie zaklęcia.

W jego umyśle czar zaczął formować się w kulę energii, z każdą chwilą cieplejszą. Khadgar czuł, jak kula krzepnie, jak drobne tęczowe fale przepływają po jej powierzchni. Było to jądro zaklęcia, mag uwalniał je szybko, by zmieniło świat, tak jak tego sobie życzył.

Khadgar zaprojektował sferę tak, by mogła odszukać nawiedzające wieżę

odłamki czasu, posortowała je i przyniosła mu spójną wizję. Koncepcje te zdawały się wnikać w nierzeczywistą sferę w jego umyśle, a ta odpowiedziała wysokim brzęczeniem, czekając tylko, aż mag poda jej kierunek i wypuści.

– Znajdź mi wizję – powiedział Khadgar. – Znajdź mi wizję młodego Medivha.

Z odgłosem, jaki mogłoby wydać implodujące jajko, magia opuściła jego umysł, przesączyła się do rzeczywistego świata, gotowa wypełnić polecenie. Khadgar poczuł gwałtowny ruch powietrza, a gdy się rozejrzał, zobaczył, że biblioteka zaczyna się przekształcać. Wizja stopniowo wypełniała czas i przestrzeń wokół maga.

Dopiero gdy nagle zrobiło się chłodniej, Khadgar pojął, że przywołał niewłaściwą wizję.

Chłód pojawił się nagle, zimny powiew, jakby ktoś otworzył okno. Ale chłodny podmuch w jednej chwili zmienił się w lodowaty wiatr i choć Khadgar wiedział, że to tylko iluzja, natychmiast przemarzł do szpiku kości.

Ściany biblioteki rozpłynęły się w nieskończonej bieli. Zimny wiatr dmuchnął w księgi i manuskrypty, zostawił warstwę śniegu, grubą i twardą. Gęste, grube płatki przesłoniły stoły, półki i fotele.

Khadgar znalazł się na zboczu góry, po kolana w śniegowej zaspie, aczkolwiek nie pozostawiał żadnych śladów. Był jedynie duchem w tej wizji.

A jednak jego oddech tworzył w zimnym powietrzu niewielkie kłębuszki pary. Po prawej Khadgar widział zagajnik, ciemną kępę zimozielonych drzew o gałęziach gnących się pod ciężarem śniegu. Po lewej dostrzegał wielkie białe urwisko. Z początku sądził, że to jakaś substancja przypominająca kredę, lecz zaraz pojął, że to lód, jakby ktoś wziął zamarzniętą rzekę i odwrócił ją do góry nogami. Rzeka była równie wysoka, co niejedna z gór w Dalaranie, a nad nią poruszały się niewielkie, ciemne kształty. Orły a może sokoły, choć jeśli istotnie unosiły się nad urwiskiem, musiały być naprawdę olbrzymie.

Przed Khadgarem znajdowała się dolina, a doliną maszerowała armia.

Armia topiła śnieg, pozostawiając za sobą pas czerni niczym ślad ślimaka. Żołnierze nosili czerwień, wielkie rogate hełmy i długie czarne płaszcze z wysokimi kołnierzami. Sądząc po tym, jak różną mieli broń, musieli być

myśliwymi.

Przywódca maszerował na czele z drzewcem, na którym zatknięto skrwawiony łeb. W pierwszej chwili Khadgar uznał, że krwawe trofeum należało do jakiegoś zielonego, pokrytego łuskami potwora, potem jednak uświadomił sobie, że to łeb smoka.

Widział czaszkę takiego stwora w Purpurowej Cytadeli, nie spodziewał się, że dane mu będzie ujrzeć smoka, który jeszcze niedawno żył. Jak daleko w przeszłość zabrała go wizja?

Armia olbrzymich żołnierzy ryczała coś, co mogło być marszową pieśnią, ale równie dobrze litanią przekleństw albo wyzywającymi okrzykami. Głosy były niewyraźne, jakby dochodziły z dna głębokiej studni, ale Khadgar przynajmniej je słyszał.

Gdy się zbliżyli, w jednym przebłysku zrozumiał, kim byli. Nie mieli na głowach rogatych hełmów, ale własne rogi, wyrastające z ich głów. Nie mieli płaszczy ani peleryn, lecz wielkie skórzaste skrzydła, podobne do nietoperzowych. Nie nosili czerwonych zbroi – ich ciała rozświetlał żar, który topił śnieg.

Khadgar zobaczył demony, istoty wprost z wykładów Guzbaha i ukrywanych broszurek Korrigana. Potwory, które nie miały sobie równych, jeśli chodzi o żądzę krwi i sadyzm. Pod tym względem przerastały wszelkie znane istoty. Wielkie, szerokie miecze skąpane były w szkarłacie, z tej odległości Khadgar widział, że również ciała demonów plamiła krew.

Były tutaj, bez względu na to gdzie i kiedy owo tutaj się znajdowało, i polowały na smoki. Za plecami Khadgara rozległ się cichy, zniekształcony dźwięk, nie głośniejszy niż skrzypnięcie śniegu pod butem. Khadgar odwrócił się i odkrył, że nie on jeden obserwował demonich myśliwych.

Podeszła niespodziewanie od tyłu, a nawet jeśli go zauważyła, nie poświeciła mu ani myśli, ani spojrzenia. Tak jak demony wydawały się wcieleniem plagi nękającej te ziemie, tak nieznajoma emanowała mocą. Jasną, iskrzącą mocą, która zdawała się zwijać i intensyfikować, gdy kobieta poruszała się po samej powierzchni śniegu. W przeciwieństwie do Khadgara była rzeczywista, lecz jej białe skórzane buty pozostawiały tylko niewielkie

wgłębienia w białym puchu.

Wysoka, potężna, zupełnie nie bała się plugastwa w dolinie poniżej. Strój miała tak samo nieskazitelnie biały jak otaczający ich śnieg, poza lamelką z niewielkich srebrnych łusek. Tajemniczą kobietę spowijała obszerna, obszyta futrem i podszyta zielonym jedwabiem biała peleryna, którą pod szyją spinała brosza z dużym zielonym kamieniem, doskonale dopasowanym do jej oczu. Jasne, puszczone luzem włosy przytrzymywał srebrny diadem. I najwyraźniej chłód dokuczał jej nawet mniej niż widmowemu Khadgarowi.

A jednak to jej oczy przykuły całą uwagę Khadgara – zielone niczym letni las, zielone niczym wypolerowany jadeit, zielone niczym ocean po burzy. Rozpoznał je, gdyż takie same oczy przeszywały go przenikliwym spojrzeniem, spoglądając z twarzy jej syna.

To była Egwina. Matka Medivha, potężna i niemal nieśmiertelna czarodziejka, tak stara, że stała się legendą.

Khadgar wiedział już, gdzie się znalazł. W miejscu bitwy Egwiny z hordą demonów. Bitwy z czasu tak zamierzchłego, że legenda o walce zachowała się tylko we fragmentach, w zwrotkach eposu spoczywającego na półce w bibliotece.

Khadgar nagle pojął, dlaczego jego zaklęcie się nie powiodło. Medivh poprosił o ten zwój na chwilę przed swoim wyjazdem. Czy zaklęcie nie wypaliło, przechodząc od wizji samego Medivha do tej właśnie legendy, którą ostatnio sprawdzał?

Egwina spojrzała w dół na grupę demonów-myśliwych i między jej brwiami pojawiła się pojedyncza zmarszczka świadcząca o niezadowoleniu. Jadeitowe oczy zapłonęły, a Khadgar domyślił się, że wzbiera w nich potężna burza mocy.

Chwilę później gniew czarodziejki został uwolniony. Uniosła rękę, wyskandowała krótką, oszczędną frazę i błyskawica zatańczyła na jej palcach.

Nie było to proste przywołanie pocisku, ani nawet najpotężniejszy piorun letniej burzy, ale okruch żywiołu błyskawicy. Piorun wykreślił łuk w powietrzu i uderzył wprost w oddział demonów. Powietrze rozpłatane błyskawicą rozpadło się na najbardziej podstawowe elementy i zapachniało ostro i gorzko. I z szumem pomknęło wypełnić miejsce po błyskawicy. Mimo wszystko, mimo

świadomości, że jest tylko widmem, mimo świadomości, że to wszystko wizja, mimo że wszystkie dźwięki były stłumione, Khadgar wykrzywił się i skulił, gdy piorun z hukiem dotarł do celu.

Błyskawica uderzyła w chorążego niosącego odcięty łeb wielkiego zielonego smoka. Spopieliła demona na miejscu, zaś tych wokół niego poderwała w powietrze i rozrzuciła w śniegu na podobieństwo płonących węgli. Część z nich już się nie podniosła.

Większość straszliwych łowców znajdowała się jednak poza zasięgiem zaklęcia, czy to przez przypadek, czy też może zgodnie z pierwotnym zamiarem czarodziejki. Demony, każdy większy od dziesięciu mężczyzn, zachwiały się wstrząśnięte, lecz trwało to tylko moment. Największy zaryczał coś w języku, który brzmiał niczym bicie pogruchotanych dzwonów, a wówczas połowa demoniego oddziału wzniosła się w powietrze i ruszyła w stronę Egwiny (a zarazem i Khadgara). Druga połowa wyciągnęła ciężkie łuki z czarnego drewna, nałożyła na cięciwy żelazne strzały. Kiedy zwalniali cięciwy, strzały stawały w płomieniach i na czarodziejkę opadł deszcz ognia.

Egwina nawet nie drgnęła, tylko uniosła dłoń. Całe niebo między nią a ognistym deszczem stanęło w błękitnawych płomieniach, które pochłonęły pociski pomarańczowego ognia, jakby strzały demonów wpadły do rzeki.

Strzały miały jednak tylko zapewnić osłonę atakującym, a ci właśnie się przebili, rozpraszając ścianę błękitnego ognia, i z góry opadli na Egwinę. Ze dwadzieścia gigantycznych demonów przesłoniło niebo czarnymi skrzydłami.

Khadgar spojrzał na Egwinę i odkrył, że czarodziejka się uśmiecha. Był to uśmiech zadowolenia przesycony pewnością siebie. Khadgar widział taki uśmiech na twarzy Medivha w czasie starcia z orkami.

Spojrzał ku dolinie i łucznikom, ale ci porzucili już bezużyteczną broń; skupieni blisko siebie, rozpoczęli inkantację na niskiej rezonującej nucie. Powietrze wokół nich odkształciło się, a w rzeczywistości pojawiła się dziura, mroczny wytwór na tle nieskazitelnej bieli. Z owego rozdarcia rzeczywistości poczęły wysypywać się kolejne demony – potwory wszelkiego rodzaju o zwierzęcych głowach, płonących ślepiach, skrzydłach nietoperzy, owadów czy wielkich padlinożernych ptaków. Natychmiast podejmowały dziwną pieśń,

a rozdarcie stawało się coraz większe i większe, pozwalając, by coraz więcej pomiotu Wypaczonej Otchłani pojawiało się w lodowatym powietrzu północy.

Egwina nie zwracała żadnej uwagi na śpiewających i posiłki, z chłodnym spokojem skupiła się na tych demonach, które spadły na nią z góry.

Zrobiła gest dłonią uniesioną wnętrzem do góry. Połowa z potworów, które unosiły się nad nią, zamieniła się w szkło i wszystkie strącone zostały na ziemię. Te zmienione w kryształ rozpadały się na kawałki przy wtórze nieharmonijnych brzęknięć. Reszta wylądowała z łupnięciem i ponownie wzniosła skrwawioną broń. Pozostało ich dziesięć.

Egwina uderzyła pięścią w wyciągniętą dłoń i cztery z nich się rozpłynęły. Czerwonawe mięso spłynęło z kości i demony zatonęły w zaspach. Wyły w niebogłosy, póki rozkładające się gardła nie wypełniły się gnijącym mięsem. Pozostało ich sześć.

Egwina zacisnęła dłonie, a wtedy trzy kolejne eksplodowały, ich wnętrzności zmieniły się w owady, które rozerwały demony od wewnątrz. Nie miały nawet czasu krzyknąć, gdyż ich ciała zmieniły się w chmurę komarów, pszczół i os, które uleciały ku drzewom. Pozostało ich trzy.

Egwina rozłożyła ręce, a wtedy niewidzialne dłonie wyrwały demonowi ręce i nogi. Jeszcze dwa. Egwina uniosła dwa palce, a wtedy jeden z demonów zmienił się w piasek, zimny wiatr uniósł jego ostatnie przekleństwo.

Pozostał jeszcze jeden. Największy, przywódca, ten, który wykrzykiwał rozkazy. Khadgar widział blizny znaczące pierś demona i jeden pusty oczodół. Drugie oko płonęło nienawiścią.

Nie zaatakował. Egwina też nie. Zamarli, jakby skuł ich lód, podczas gdy dolinę poniżej wypełniały demony.

W końcu olbrzymi demon warknął, odsłaniając zęby w grymasie nienawiści i odrazy. Jego głos wydawał się odległy, ale Khadgar słyszał wyraźnie każde wypowiedziane przez demona słowo.

– Jesteś głupia, Strażniczko Tirisfal. – Potwór z trudem układał wargi do uciążliwego dlań ludzkiego języka.

Egwina zaśmiała się, a był to śmiech ostry jak szklany sztylet.

– Naprawdę, plugawy pomiocie? Przybyłam tu, by popsuć wam polowanie

na smoki. Wygląda na to, że mi się udało.

– Jesteś nadto pewnym siebie głupcem – odparł demon niewyraźnie. – Podczas gdy ty walczyłaś z kilkoma, moi bracia w magii sprowadzili innych. Cały legion. Każdego inkuba i pomniejszego demona, każdy koszmar i ogara cieni, każdego mrocznego władcę i dowódcę Płonącego Legionu. Wszyscy przybyli tutaj, gdy ty walczyłaś z ową garstką.

– Wiem – stwierdziła spokojnie Egwina.

– Wiesz?! – ryknął demon i roześmiał się gardłowo. – Wiesz, że jesteś sama w dziczy, a każdy demon powstał przeciwko tobie. Wiesz?

– Wiem – odpowiedziała Egwina, a w jej głosie pobrzmiewał śmiech. – Wiedziałam, że sprowadzisz tu tylu swych sojuszników, ilu zdołasz. Strażnik był dla ciebie zbyt wielką pokusą.

– Wiesz?! – zaryczał demon. – I mimo to przybyłaś do tego przeklętego miejsca?

– Wiem – stwierdziła Egwina. – Nie mówiłam ci przecież, że jestem sama.

Egwina pstryknęła palcami, a wtedy niebo nagle pociemniało, jakby wielkie stado ptaków poderwało się do lotu.

Tyle tylko, że to nie były ptaki. To były smoki. Khadgar nie wyobrażał sobie nawet, że tyle smoków istnieje. Zawisły nad doliną na swych ogromnych skrzydłach, czekając na sygnał Strażniczki.

– Plugawy pomiocie Płonącego Legionu – zwróciła się do demona Egwina. – To ty jesteś głupcem.

Przywódca demonów krzyknął głośno i uniósł splamiony krwią miecz. Egwina była jednak szybsza i uniosła dłoń, prostując trzy palce. Pokryty bliznami tors demona zniknął, pozostała po nim jedynie chmura krwawych strzępków. Jego potężne ramiona opadły wzdłuż boków, wielkie nogi ugięły się bezwładne i demon padł na ziemię, z zaskoczeniem malującym się na potwornej twarzy. Jego głowa zapadła się w topniejący śnieg i znikła.

To był znak dla smoków, gdyż wszystkie naraz uderzyły na hordę demonów. Wielkie jaszczury gwałtownie obniżyły lot, ziejąc ogniem z otwartych paszcz. Pierwszy rząd demonów został w jednej chwili spopielony. Pozostałe rozpaczliwie próbowały dobyć broni, rzucić zaklęcia lub uciec z pola walki.

Pośrodku armii rozległ się zaśpiew, tym razem brzmiący jak gorące błaganie, namiętny krzyk. To byli najpotężniejsi z demonicznych czarodziejów, którzy koncentrowali swoją moc, podczas gdy ci na obrzeżach próbowali powstrzymać smoki, płacąc za to straszliwą cenę.

Demony przegrupowały się i odpowiedziały atakiem na atak, a wówczas smoki zaczęły spadać z nieba, naszpikowane żelaznymi strzałami, strute magią albo doprowadzone do obłędu wizjami. Mimo to krąg wokół demonich magów stawał się coraz cieńszy, gdy smoki mściły się na demonach za polowanie. Krzyki tych pośrodku stały się coraz bardziej rozpaczliwe i niewyraźne.

Khadgar spojrzał na Egwinę. Stała w śniegu nieruchoma niczym kamienna rzeźba, w zielonych oczach płonęła moc, zęby miała wyszczerzone w ohydnym grymasie, pięści zaciśnięte. Też splatała wersy czaru, śpiewała rytmicznie coś mrocznego i nieludzkiego, czego Khadgar nie potrafił nawet rozpoznać. Walczyła z zaklęciem, które utkały demony, ale jednocześnie czerpała z niego energię, zginając magiczną moc w nim zawartą niczym warstwy stali w mieczu, które składa się i skuwa, by ostrze było mocniejsze i potężniejsze.

Krzyki demonów w centrum kręgu zaczęły brzmieć gorączkowo, sama Egwina również zaczęła krzyczeć, spowita gęstniejącą energią. Włosy otaczały jej głowę szarpane magicznym wiatrem, a czarodziejka uniosła obie ręce i wypowiedziała ostatnie słowa zaklęcia przywołania.

W grupie demonów coś błysnęło, dokładnie w samym środku, gdzie zaklinacze skandowali, krzyczeli i się modlili. Materia wszechświata pękła, tworząc szczelinę, tym razem tak jasną, jakby ktoś otworzył drzwi do wnętrza samego słońca. Ze szczeliny wypłynęła energia. Demony nie zdołały nawet krzyknąć, gdy je pochłonęła i spopieliła. Pozostały z nich tylko niknące cienie sylwetek na tle blasku.

Wszystkie demony spłonęły, kilka smoków, które zbliżyły się zbytnio, spotkał podobny koniec. Płomień pochwycił je niczym ćmy i tak jak ćmy spłonęły w mgnieniu oka.

Egwina wypuściła z drżeniem powietrze z płuc i się uśmiechnęła. Był to uśmiech wilka, drapieżnika, zwycięzcy. W miejscu hordy demonów biła w niebo wielka kolumna dymu. Ale gdy Khadgar się jej przyglądał, chmura

nagle zgęstniała, pociemniała i nabrała ciężaru, konturów. Zyskała kolory – odcienie czerni i purpury.

I ze środka pociemniałej chmury wyłonił się bóg.

Był przeogromny, większy niż giganci z legend, większy niż smoki. Zdawał się cały wykuty z brązu, a okrywała go czarna zbroja ze stopionego obsydianu. Długą brodę i wzburzone włosy tworzyły żywe płomienie, nad ciemną brwią wyrastały potężne rogi. Oczy miały barwę Nieskończonej Otchłani. Wyszedł z chmury, a każdy jego krok wstrząsał ziemią. W dłoni miał potężną włócznię ozdobioną runami, które ociekały płonącą krwią, a na końcu jego długiego ogona jaśniała ognista kula.

Pozostałe przy życiu smoki umknęły z pola walki, kierując się w stronę ciemnego lasu i odległego urwiska. Khadgar nie mógł mieć im tego za złe. Choć Medivh, podobnie jak jego matka, miał w sobie wielką moc, byli jednak niczym dwie maleńkie świeczki w porównaniu z ogniem surowej, nieokiełznanej mocy, który płonął w tym władcy demonów.

– Sargeras – zasyczała Egwina.

– Strażniczka! – zagrzmiał wielki demon głosem głębokim niczym oceany. Odległe lodowe urwiska zwaliły się zamiast odbić echo tego głosu.

Strażniczka wyprostowała się, zgarnęła z policzka pasmo jasnych włosów.

– Popsułam twoje zabawki – oznajmiła. – Nic tu po tobie. Uciekaj, póki jeszcze żyjesz.

Khadgar popatrzył na nią, jakby postradała zmysły. Nawet on widział, że była wyczerpana po ostatnich przejściach, właściwie równie wyczerpana, co Khadgar po walce z orkami. Tytaniczny demon z pewnością ją przejrzał. Ale epos opiewał zwycięstwo Egwiny. Czyżby Khadgar miał być jednak świadkiem jej śmierci?

Sargeras nie zaśmiał się, ale jego głos przetoczył się nad ziemią, przygniatając Khadgara.

– Czas Tirisfal się skończył – powiedział demon. – Ten świat wkrótce pokłoni się potędze Legionu.

– Nie, póki jest tu jego Strażnik – odpowiedziała Egwina. – Nie, póki żyję ja lub ci, którzy nadejdą po mnie.

Zwinęła palce i Khadgar domyślił się, że czarodziejka gromadzi w sobie moc, przywołuje całą swą wiedzę i mądrość, swą wolę i energię do tego ostatecznego ataku. Khadgar mimowolnie cofnął się o krok, potem jeszcze jeden i jeszcze. Skoro jego starsza wersja dostrzegła nierealnego obserwatora z innego czasu i miejsca, skoro młody Medivh widział Khadgara, to czy czarodziejka i ten straszliwy potwór też mogli go zobaczyć?

A może był za mały, by któreś z nich zwróciło na niego uwagę?

– Poddaj się teraz – powiedział Sargeras. – Twoja moc mi się przyda.

– Nie. – Egwina zacisnęła pięści.

– W takim razie giń, Strażniczko, i niech twój świat zginie z tobą – stwierdził ogromny demon i uniósł krwawiącą runiczną włócznię.

Egwina wyrzuciła w górę obie ręce i wykrzyczała ni to klątwę, ni to modlitwę. Z jej dłoni wystrzeliła płonąca tęcza barw i pomknęła w górę na podobieństwo błyskawicy, jakby wiedziona własną wolą i rozumem, i niczym sztylet zatonęła w piersi Sargerasa.

Khadgarowi przypominało to strzelanie z łuku do statku. Bezskuteczny atak na niewzruszonego przeciwnika. Jednak Sargeras zatoczył się uderzony błyskawicą, zrobił pół kroku do tyłu i upuścił swoją włócznię. Uderzyła w ziemię niczym meteor, wzburzyła potężną falę śniegu. Khadgar stracił równowagę, upadł na jedno kolano i spojrzał w górę na władcę demonów. Od miejsca, gdzie Sargerasa trafiło zaklęcie Egwiny, rozprzestrzeniała się plama ciemności. Nie, nie ciemności – chłodu. Rozgrzane ciało demona-tytana, stworzone z płynnego brązu, umierało, zmieniało się w zimną, nieruchomą masę.

Sargeras patrzył na rozprzestrzeniające się zniszczenie najpierw z zaskoczeniem, potem z obawą, a już w następnej chwili z przerażeniem. Uniósł dłoń i dotknął umierającego ciała, a wtedy chłód pochwycił też kończynę, zmienił ją w nieruchomą masę chropowatego czarnego metalu. Teraz Sargeras rozpoczął inkantację, gromadząc moc, by odwrócić proces, zatrzymać śmiertelny chłód, zdusić pochłaniającą go niemoc. Jego słowa stawały się coraz gorętsze, kipiały pasją, obszary niedotknięte zaklęciem Egwiny rozjarzyły się z nową intensywnością. Sargeras świecił jak słońce i wykrzykiwał klątwy,

a ciemny chłód dotarł do miejsca, gdzie powinno bić serce demona.

Wtedy pojawił się kolejny błysk z rozdartej rzeczywistości, równie intensywny co ten, który pochłonął demoniczną hordę, tym razem jednak jego celem był Sargeras. Khadgar odwrócił wzrok, spojrzał na Egwinę, która przyglądała się, jak ogień i ciemność pochłaniają jej wroga. Blask przyćmił światło dnia, a cień czarodziejki wydłużył się na śniegu.

I nagle wszystko się skończyło. Khadgar zamrugał, czekając, aż wróci mu wzrok. Popatrzył ku dolinie i ujrzał olbrzymiego Sargerasa, nieruchomego niczym gigantyczna rzeźba wykonana z kutego żelaza. Moc tego olbrzyma już się wypaliła. Rozgrzana północna ziemia poddała się pod ciężarem martwego demona i znieruchomiały Sargeras powoli pochylił się do przodu i upadł. Nie rozbił się jednak. Powietrze wokół było nieruchome.

Egwina roześmiała się głośno. Khadgar spojrzał na nią. Wyglądała na wyczerpaną, zarówno przez zmęczenie, jak i swoje szaleństwo. Zatarła ręce, zachichotała i ruszyła w stronę powalonego tytana. Khadgar zauważył, że czarodziejka nie stąpała lekko po powierzchni śniegu, ale brnęła mozolnie przez zaspy.

Gdy Egwina się oddaliła, biblioteka zaczęła wracać na swoje miejsce. Śnieg zmienił się w chmury pary, a cienie półek, galeryjki i fotele powoli nabierały konturów i ostrości.

Khadgar obrócił się w stronę miejsca, gdzie powinien znajdować się stół, i wszystko powróciło do normalności. Biblioteka nagle znów stała się rzeczywista.

Młodzieniec odetchnął głęboko i potarł przedramiona. Skóra była chłodna, lecz nie zimna. Pod względem założeń ogólnych zaklęcie zadziałało jak należy, gorzej, jeśli chodziło o szczegóły. Wezwało wizję, lecz nie tę oczekiwaną. Pytanie brzmiało, w czym tkwił błąd i jak najlepiej można go było naprawić.

Młody mag sięgnął do swej sakwy skryby i wyciągnął pusty arkusz papieru i narzędzia. Na końcu rylca umieścił kawałek metalu, stopił trochę atramentu ośmiornicy w miseczce i szybko zaczął notować wszystko to, co się wydarzyło od chwili rzucenia zaklęcia do momentu, gdy Egwina odeszła, zapadając się głęboko w śniegu.

Godzinę później wciąż pogrążony był w pracy, gdy od strony drzwi rozległo się kaszlnięcie godne nieboszczyka. Khadgar był tak zamyślony, że nie zwrócił uwagi, póki Morios nie zakaszlał raz jeszcze.

Młodzieniec uniósł wzrok, nieco poirytowany. Musiał jeszcze zapisać coś bardzo ważnego, co jednak mu umykało. A już niemal udało mu się to pochwycić.

– Mag powrócił – oznajmił Morios. – Chce cię widzieć w obserwatorium.

Khadgar przez chwilę wpatrywał się tępo w Moriosa, nim zrozumiał, co takiego powiedział kasztelan.

– Medivh wrócił? – spytał w końcu.

– To właśnie powiedziałem – stęknął Morios, niechętnie wypowiadając każde słowo. – Masz polecieć z nim do Wichrogrodu.

– Wichrogrodu? Ja? Dlaczego? – wykrztusił młody mag.

– Jesteś jego uczniem, dlatego – mruknął Morios. – Obserwatorium, najwyższe piętro. Wezwałem gryfy.

Khadgar spojrzał na swoje dzieło – wiele linijek równego pisma, omawiającego każdy szczegół wizji. Myślał jednak o czymś innym.

– Tak. Tak. Pozwól mi zebrać rzeczy. Dokończyć to.

– Nie spiesz się – burknął kasztelan. – To tylko mag pragnie, żebyś poleciał z nim do zamku Wichrogrodu. Nic ważnego. – Morios znikł w korytarzu. – Najwyższe piętro – rozległ się jeszcze jego bezcielesny głos, jakby po namyśle.

Wichrogród, pomyślał Khadgar, *zamek króla Llane'a!* Cóż było takie ważne, że i on musiał się tam udać? Może raport na temat orków?

Khadgar spojrzał na swoje zapiski. Wieść, że Medivh powrócił i zaraz obaj wyruszają w podróż, zniweczyła skupienie młodego maga i teraz jego umysł zaprzątnięty był nowym zadaniem. Spojrzał na ostatnie słowa, które zapisał na pergaminie.

„Egwina ma dwa cienie" – przeczytał.

Khadgar potrząsnął głową. Myśl, którą już niemal uchwycił, rozwiała się bez śladu. Starannie osuszył nadmiar atramentu, by nie powstały smugi, i odłożył kartki na bok. Potem zebrał narzędzia i skierował się do swej kwatery. Skoro mają skorzystać z gryfów, musi przebrać się w strój podróżny, a jeśli ma

spotkać się z królem, musi też zapakować odpowiednie szaty.

Rozdział 7

Wichrogród

Do dnia obecnego największą budowlą, jaką Khadgar kiedykolwiek widział, była Purpurowa Cytadela na Krzyżowej Wyspie, za murami Dalaranu. Majestatyczne iglice i wielkie sale miasta magów, kryte dachówkami o barwie lazurytu, od których cytadela wzięła swą nazwę, budziły w sercu Khadgara dumę. Podczas wszystkich podróży przez Lordaeron i do wieży Medivha nie zobaczył niczego, co jego zdaniem mogło się równać ze starożytnym majestatem cytadeli.

Póki nie dotarł do Wichrogrodu.

Znów lecieli w nocy, podobnie jak poprzednim razem, lecz teraz młody mag był przekonany, że spał, a jednocześnie kierował gryfem lecącym przez chłodne nocne powietrze. Bez względu na to, jaką wiedzę Medivh umieścił w umyśle swego ucznia, wciąż służyła Khadgarowi jak należy, ponieważ bez trudu radził sobie z kierowaniem skrzydlatym drapieżnikiem przy pomocy kolan. Część mózgu, w której ta wiedza się zadomowiła, nie przyprawiała już Khadgara o cierpienia, czuł zaledwie pulsowanie, jakby tkanka umysłu zagoiła się, pozostawiając bliznę, wiedza została wchłonięta, ale nadal była czymś obcym w głowie Khadgara.

Obudził się, gdy słońce wychyliło się zza horyzontu za jego plecami, i natychmiast spanikował, przez co jego powietrzny wierzchowiec położył się lekko na skrzydle i przestał lecieć śladem Medivha. W dole – niespodziewane i rozświetlone porannym słońcem – objawiło się miasto Wichrogród.

Była to twierdza ze srebra i złota. W promieniach wczesnego słońca mury zdawały się świecić własnym blaskiem, niczym kielich wyczyszczony przez

pracowitego chłopca kredensowego.

Dachy lśniły, jakby wykonano je ze srebra, i przez moment Khadgarowi wydawało się, że ozdobiono je niezliczonymi drobnymi kamieniami.

Młody mag zamrugał i potrząsnął głową. Złote mury wzniesiono jednak ze zwykłego kamienia, choć wygładzonego gdzieniegdzie niczym lustro, a w innych miejscach bogato rzeźbionego. Srebrzyste dachy pokrywał ciemny gont, a to, co Khadgar wziął za klejnoty, okazało się rosą, lśniącą w słońcu wszystkimi barwami tęczy.

Mimo to pozostał ogrom miasta, który wprawił Khadgara w podziw. Było równie wielkie jak największe miasta w Lordaeronie, jeśli nie większe. Doliczył się trzech pełnych murów okalających zamek i mniej imponującej bariery między poszczególnymi częściami miasta. Miasto pod nim ciągnęło się jak okiem sięgnąć.

Nawet teraz, o świcie, panował tam ruch. Z kominów unosił się dym, a na rynkach i placach targowych zaczynali się tłoczyć ludzie. Przez główne bramy wytaczały się wielkie wozy pełne rolników kierujących się na równe, zadbane pola, które rozpościerały się wokół miasta niczym spódnice, sięgając aż po horyzont.

Khadgar nie potrafił rozpoznać połowy budynków. Wielkie wieże mogły być spichlerzami, ale równie dobrze i uniwersytetami, nie umiał tego ocenić. Wartka rzeka została ujarzmiona i zaprzęgnięta do napędzania wielkich kół młyńskich, lecz nie wiedział, w jakim celu. Daleko na prawo rozjarzył się nagły płomień, ale czy pochodził z kuźni, z gardła uwięzionego smoka czy też może był to efekt wielkiego wypadku – pozostawało dla Khadgara tajemnicą.

Było to największe miasto, jakie młodzieniec kiedykolwiek widział, a w sercu tego miasta znajdował się zamek Llane’a.

Zamku nie można było pomylić z jakąś inną budowlą. Wydawało się, że mury królewskiej siedziby naprawdę zrobione były ze złota, a okna miały futryny ze srebra. Królewski dach pokryto dachówką o głębokiej szafirowej barwie. Niezliczone wieże i wieżyczki zostały zwieńczone proporcami z lwią głową – herbem rodu Llane’a i symbolem kraju, którym władał.

Sam zamek zdawał się odrębnym miastem, z niezliczonymi budynkami,

wieżami i krużgankami. Budynki były połączone łukami galerii, tak długimi, że Khadgar wątpił, że powstały bez pomocy magii.

Może takie budowle wznosi się jedynie przy pomocy magii, pomyślał Khadgar i doszedł do wniosku, że Medivha ceniono tu tak wysoko między innymi z tego właśnie powodu.

Starszy mag podniósł dłoń i zatoczył koło nad jedną z wież, zwieńczoną szerokim płaskim chodnikiem. Medivh wskazał w dół – raz, dwa, trzy razy. Chciał, by Khadgar wylądował jako pierwszy.

Wykorzystując zabliźnione wspomnienia, Khadgar łagodnie sprowadził gryfa w dół. Pół lew, pół orzeł rozłożył skrzydła niczym żagiel i wylądował łagodnie.

Już na niego czekano. Grupa służących w niebieskich liberiach rzuciła się do przodu, by chwycić wodze i nałożyć gryfowi na łeb ciężki kaptur. Dzięki obcym wspomnieniom Khadgar wiedział, że to większa wersja kaptura nakładanego sokołom, ograniczająca pole widzenia drapieżnika. Inny służący przyniósł wiadro ciepłych krowich wnętrzności, które postawił ostrożnie przed kłapiącym dziobem.

Khadgar zsunął się z grzbietu wierzchowca i został natychmiast ciepło powitany przez samego lorda Lothara. Potężny mężczyzna wydawał się jeszcze większy dzięki bogato zdobionemu napierśnikowi oraz upiększonej filigranem pelerynie.

– Uczniu! – zahuczał Lothar i dłoń Khadgara na chwilę zniknęła w ogromnej, mięsistej dłoni czempiona. – Miło widzieć, że wciąż jeszcze jesteś na stanowisku!

– Panie – Khadgar starał się nie skrzywić, czując potężny uścisk. – Lecieliśmy tu przez całą noc. Nie…

Reszta wypowiedzi Khadgara utonęła w gwałtownym trzepocie skrzydeł i spanikowanych wrzaskach gryfa. Wierzchowiec Medivha spadł z nieba z daleko mniejszą gracją. Wielki drapieżnik przeciągnął pazurami po całej szerokości chodnika i niemal spadł z drugiej strony. Medivh mocno ściągnął jego wodze i gryf zacisnął pazury na merlonie blanek, zatrzymując się tak gwałtownie, że mag niemal przeleciał mu przez łeb.

Khadgar nie czekał na komentarz Lothara, lecz natychmiast rzucił się do swego mistrza, za nim pędzili służący w niebieskich liberiach, a na końcu podążył sam czempion.

Gdy dotarli do Medivha, ten zsiadł już z gryfa i podał wodze najbliższemu ze sług.

– Przeklęty boczny wiatr! – prychnął zirytowany. – Mówiłem wam, że to najgorsze miejsce na lądowisko, ale tutaj nikt nie słucha magów. Niezłe lądowanie, chłopcze – dodał po chwili, gdy słudzy zaroili się wokół rozdrażnionego gryfa, próbując uspokoić wierzchowca.

– Med. – Lothar wyciągnął dłoń do przyjaciela. – Dobrze, że jesteś.

Medivh tylko się skrzywił.

– Przyleciałem najszybciej, jak mogłem – warknął mag takim tonem, jakby Lothar go obraził, czego Khadgar w ogóle nie zauważył. – Wiesz, czasami musicie sobie poradzić beze mnie.

Jeśli nawet Lothara zaskoczyło zachowanie Medivha, nie dał tego po sobie poznać.

– I tak dobrze cię widzieć. Jego Wysokość…

– Będzie musiał poczekać – dokończył Medivh. – Zabierzcie mnie do tej komnaty, już. Nie, sam znam drogę. Powiedziałeś, że to Huglar i Hugarin. W takim razie tędy. – Z tymi słowy ruszył w stronę bocznych schodów, które prowadziły w głąb wieży. – Pięć poziomów w dół, potem przez mostek i trzy poziomy w górę! Koszmarne miejsce na awiarium!

Khadgar spojrzał na Lothara. Czempion przetarł wielką dłonią łysinę i potrząsnął głową. Potem ruszył za magiem. Khadgar trzymał się krok za nim.

Kiedy zeszli ze schodów, nie zobaczyli Medivha, słyszeli jedynie cichnącą w oddali litanię narzekań, urozmaicanych od czasu do czasu przekleństwami.

– Jest w świetnym humorze – stwierdził Lothar. – Pozwól, że zaprowadzę cię do komnat magów. Tam go znajdziemy.

– Wczorajszego wieczora był bardzo poruszony – powiedział przepraszająco Khadgar. – Nie było go i najwyraźniej wasze wezwanie dotarło doń zaraz po jego powrocie do Karazhanu.

– Czy powiedział ci, o co w tym wszystkim chodzi, uczniu? – spytał Lothar.

Khadgar tylko pokręcił głową.

Czempion Anduin Lothar zmarszczył brwi.

– Dwaj wielcy czarodzieje z Azeroth zginęli, ich ciała zostały spalone tak bardzo, że niemal nie można ich było rozpoznać, a serca wyjęto z piersi. Martwi w swoich komnatach. Są też dowody… – Lord Lothar zawahał się na chwilę, jakby próbując znaleźć odpowiednie słowa. – Są dowody na działalność demonów. Dlatego posłałem najszybszego posłańca po Medivha. Może on powie nam, co się stało.

– Gdzie są ciała?! – krzyknął Medivh, gdy Lothar i Khadgar w końcu go dogonili. Znajdowali się na najwyższym piętrze kolejnej zamkowej wieży. Za wielkim wykuszowym oknem na przeciwległej ścianie rozpościerała się panorama miasta.

Komnata była w ruinie – sprawiała wrażenie, że przeszukali ją orkowie, i to ci bardziej niezręczni. Wszystkie księgi zostały zrzucone z półek, wszystkie zwoje rozwinięte, a wiele przy tym podartych. Przyrządy alchemiczne zostały rozbite, proszki i maści rozsypane po podłodze, meble – połamane.

Pośrodku komnaty znajdował się krąg mocy, wycięty w samej podłodze. Składał się z dwóch koncentrycznych kręgów, pomiędzy którymi wyryto magiczne słowa. Nacięcia w posadzce były głębokie i napełnione lepkim, ciemnym płynem. Poza tym na podłodze między kręgiem a oknem widniały też dwa osmalone ślady, każdy wielkości człowieka.

Z tego, co Khadgar wiedział, takie kręgi miały tylko jedno przeznaczenie. Bibliotekarz z Purpurowej Cytadeli zawsze ostrzegał młodych adeptów magii.

– Gdzie są ciała? – powtórzył Medivh, a Khadgar tylko się cieszył, że tym razem to nie on musi udzielić odpowiedzi. – Gdzie są szczątki Huglara i Hugarina?

– Zostały zabrane stąd wkrótce po tym, jak ich znaleźliśmy – wyjaśnił spokojnie Lothar. – Pozostawienie ich tutaj uznano za niestosowne. Nie wiedzieliśmy, kiedy przybędziesz.

– Chciałeś powiedzieć, że nie wiedzieliście, czy w ogóle przybędę! – warknął Medivh. – No dobrze. Dobrze. Nadal możemy coś uratować. Kto wchodził do tej komnaty?

– Szlachetni magowie Huglar i Hugarin – zaczął Lothar.

– To oczywiste – przerwał ostro Medivh. – Musieli tu wejść, skoro tu zginęli. Kto jeszcze?

– Znalazł ich jeden ze służących – podjął Lothar. – Potem wezwano mnie, a ja wezwałem gwardzistów, by zabrali ciała. Nie pochowano ich jeszcze, więc możesz je zbadać.

Medivh już zdążył zamyślić się głęboko.

– Hm? Ciała czy gwardzistów? Nieważne, tym zajmiemy się później. Czyli był tu służący, ty i – powiedzmy – czterech gwardzistów, zgadza się? A teraz ja i mój uczeń. Ktoś jeszcze?

– Nikt inny nie przychodzi mi do głowy – odpowiedział Lothar.

Mag przymknął powieki i wymruczał coś pod nosem. Mogło być to zarówno przekleństwo, jak i zaklęcie. Nagle otworzył oczy.

– Ciekawe. Powierniku!

Khadgar odetchnął głęboko.

– Panie.

– Potrzebuję twojej młodości i niedoświadczenia. Moje zmęczone oczy mogą zobaczyć to, co pragnę ujrzeć. Potrzebuję świeżego spojrzenia. Nie bój się zadawać pytań. Chodź tutaj i stań pośrodku komnaty. Nie, nie przekraczaj granicy kręgu. Nie wiemy, czy nie osiadły na nim jakieś resztki zaklęcia. Stań tutaj. Teraz powiedz mi, co wyczuwasz.

– Widzę zrujnowaną komnatę – zaczął Khadgar.

– Nie pytałem, co widzisz – przerwał ostro Medivh. – Pytałem, co wyczuwasz.

Khadgar raz jeszcze odetchnął głęboko i rzucił pomniejsze zaklęcie, które wyostrzało zmysły i pomagało znaleźć zaginione przedmioty. Był to prosty czar wróżebny, którego Khadgar setki razy używał w murach Purpurowej Cytadeli, albowiem był on szczególnie przydatny do wyszukiwania rzeczy, które inni pragnęli ukryć.

Już od pierwszego słowa Khadgar wyczuł, że coś jest inaczej. Magia w obrębie komnaty była jakby ociężała i powolna. Khadgar często gotów byłby przypisać jej lekkość i energię. Tu jednak zdawała się kleista, niemalże

przypominała ciecz. Po raz pierwszy doświadczył czegoś podobnego i zastanawiał się, czy tak zadziałał krąg, czy jednak był to skutek mocy i zaklęć zmarłych magów.

Tym razem jednak moc wydała mu się ciężka, zawiesista, niczym zatęchłe powietrze w pomieszczeniu, którego nie otwierano od lat. Khadgar spróbował zgromadzić energię, miał jednak wrażenie, że mu się opiera, i z ociąganiem spełnia to, czego od niej żądał.

Spochmurniał i ponownie spróbował zebrać więcej mocy z pomieszczenia. To było proste zaklęcie. Powinno być wręcz banalne w komnacie, gdzie już wcześniej wielokrotnie je rzucano.

I nagle zalała go fala gęstej, cuchnącej magii. Porwała go, otoczyła, zupełnie jakby wyrwał dolną cegłę i tym sposobem zwalił sobie na głowę cały mur. Moc mrocznej, ciężkiej magii opadła na niego niczym gruby koc, rozbijając zaklęcie, i rzuciła Khadgara na kolana. Mimowolnie krzyknął głośno.

Medivh natychmiast przypadł do boku swego ucznia i pomógł mu wstać.

– No już, już – powiedział uspokajająco. – Nie spodziewałem się, że uda ci się nawet tyle. Bardzo dobra próba. Doskonała robota.

– Co to było? – wykrztusił Khadgar, nagle znów był w stanie oddychać. – Nigdy czegoś takiego nie czułem. Ciężkie. Oporne. Duszące.

– Zatem dla ciebie to bardzo dobrze – odpowiedział Medivh. – Dobrze, że to wyczułeś. Dobrze, że wytrzymałeś. Magia została tutaj szczególnie wypaczona. Jest to skutek tego, co wydarzyło się tu wcześniej.

– Chodzi o to, że komnata jest nawiedzona? – spytał Khadgar. – Nawet w Karazhanie nigdy nie…

– Nie, nic takiego – przerwał mu Medivh. – Chodzi o coś znacznie gorszego. Ci dwaj martwi magowie przyzywali demony. To tę skazę czujesz, dlatego magia tu ma taki ciężar. W komnacie zjawił się demon. I to on właśnie zabił Huglara i Hugarina, biednych, potężnych idiotów.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym odezwał się Lothar.

– Demony? W królewskich wieżach? Nie wierzę…

– Och, uwierz w to – wszedł mu w słowo Medivh. – Niezależnie od tego, jak

wykształconym i pełnym wiedzy, mądrym i zdolnym do czynienia cudów, potężnym i światłym byłby mag, zawsze jest jeszcze ta drobina mocy, ten okruch wiedzy, ta jedna tajemnica więcej, którą może posiąść. Myślę, że ci dwaj wpadli w tę pułapkę, wezwali moce spoza Bezkresnej Ciemności i zapłacili za to. Głupcy. Byli moimi przyjaciółmi i kolegami po fachu, ale jednocześnie byli idiotami.

– Ale jak? – spytał Lothar. – Muszą być tu jakieś środki zapobiegawcze. Zaklęcia ochronne. Przecież to jest krąg mocy tajemnej.

– Łatwo go naruszyć, łatwo przerwać – stwierdził Medivh i pochylił się nad kręgiem, lśniącym zaklętą krwią obu magów. Wyciągnął rękę i podniósł cienkie źdźbło, które leżało na kamieniach. – No i proszę! Źdźbło z miotły. Jeśli leżało tu, gdy zaczęli przyzywanie, nie mogły ich ochronić żadne zaklęcia i żadne talizmany. Dla demona krąg stał się zaledwie łukiem, bramą do tego świata. Wyszedł, płonąc piekielnym ogniem, i zaatakował biednych głupców, którzy sprowadzili go do tego świata. Widziałem to już wcześniej.

Khadgar potrząsnął głową. Gęsta ciemność, która napierała nań ze wszystkich stron, teraz ustąpiła z jakiegoś powodu i znów mógł zebrać myśli. Rozejrzał się po komnacie. Była zrujnowana – demon podczas ataku zniszczył wszystko. Jeśli to kawałek słomy z miotły przerwał krąg, to niewątpliwie podczas bitwy zostałby przesunięty w inne miejsce.

– Jak leżały ciała, gdy je znaleziono? – spytał Khadgar.

– Co?! – ton Medivha był tak ostry, że Khadgar niemal podskoczył.

– Przepraszam – odpowiedział szybko. – Powiedziałeś, że mogę zadawać pytania.

– Tak, tak, oczywiście – przyznał Medivh zaledwie odrobinę łagodniej. – Anduinie Lotharze, jak ułożone były ciała? – zwrócił się do królewskiego czempiona.

– Kiedy się tu zjawiłem, leżały na podłodze. Służba ich nie tknęła – odparł Lothar.

– Twarzą do góry czy do dołu, panie? – spytał Khadgar najspokojniej, jak potrafił. Czuł lodowate spojrzenie starszego maga. – Głowami w stronę kręgu czy w stronę okna?

Lothar spochmurniał na to wspomnienie.

– W stronę kręgu. I twarzą do dołu. Tak, zdecydowanie. Obaj byli porządnie popaleni ze wszystkich stron i musieliśmy ich odwrócić, żeby upewnić się, że to Huglar i Hugarin.

– Do czego zmierzasz, Młody Powierniku? – spytał mag, usiadł przy otwartym oknie i powoli gładził brodę.

Khadgar popatrzył na dwa ślady spalenizny pomiędzy kręgiem ochronnym a oknem i spróbował myśleć o zmarłych jak o ciałach, a nie magach, którzy niedawno jeszcze cieszyli się życiem.

– Jeśli uderzycie kogoś od przodu, upada do tyłu. Jeśli uderzycie kogoś od tyłu, upada do przodu. Czy okno było otwarte, kiedy tu wszedłeś, panie?

Lothar popatrzył na otwarte okno, teraz nikt z nich nie myślał o wspaniałym mieście rozciągającym się poniżej.

– Tak. Nie. Tak, tak sądzę. Ale mógł je otworzyć służący. Smród był straszliwy. To zresztą zwróciło jego uwagę. Mogę go spytać.

– Nie trzeba – wtrącił Medivh. – Okno najpewniej było otwarte, gdy służący tu wszedł. – Mag wstał i podszedł do śladów spalenizny. – Tak więc sądzisz, Młody Powierniku, że Huglar i Hugarin stali tutaj, obserwując magiczny krąg, a wtedy coś wleciało przez okno i uderzyło ich od tyłu. – Dla efektu sam klepnął się otwartą dłonią w tył głowy. – Wtedy oni obaj się przewrócili i tak zostali spaleni.

– Tak, panie – odpowiedział Khadgar. – To znaczy: taka jest moja teoria.

– Teoria jest dobra – stwierdził Medivh – ale niestety błędna. Po pierwsze magowie stali tam, przodem do niczego, chyba że wpatrywali się w magiczny krąg. W takim razie przyzywali demona. Takich kręgów nie wykorzystuje się do innych celów.

– Ale… – zaczął Khadgar, lecz głos uwiązł mu w gardle pod wpływem lodowatego spojrzenia Medivha.

– A – kontynuował starszy mag – to, co sprawdziłoby się w wypadku pojedynczego napastnika z pałką czy maczugą, nie sprawdziłoby się równie dobrze w odniesieniu do mrocznych energii demonów. Gdyby bestia dyszała ogniem, podpaliłaby obu stojących mężczyzn i zabiła ich, a ich ciała dopiero po

podpaleniu upadłyby do przodu. Powiedziałeś, że ciała były spalone z obu stron? – zwrócił się do Lothara.

– Tak – potwierdził czempion.

Medivh uniósł dłoń przed sobą.

– Demon dyszy ogniem. Pali od przodu. Huglar, lub Hugarin, pada przodem na ziemię, a płomienie rozprzestrzeniają się na plecy. Chyba że demon uderzył Hugarina, lub Huglara, od tyłu, a potem przewrócił ich, żeby upewnić się, że przód też jest spalony, a później obrócił raz jeszcze. A to akurat mało prawdopodobne, demony nie są tak metodyczne.

Khadgar czuł, że rumieni się ze wstydu.

– Przepraszam. To była tylko teoria.

– I to dobra – powiedział szybko Medivh. – Po prostu się pomyliłeś. Miałeś rację, okno było otwarte, ponieważ demon tak właśnie opuścił wieżę. Teraz jest na wolności w mieście.

Lothar zaklął krótko i spytał:

– Jesteś pewien?

Medivh pokiwał głową.

– Całkowicie. Ale prawdopodobnie się przyczaił. Nawet zabicie takich dwóch głupców jak Huglar i Hugarin musiało osłabić moce każdej istoty, poza najpotężniejszymi.

– W ciągu godziny mogę zorganizować drużyny poszukiwaczy – powiedział Lothar.

– Nie – sprzeciwił się Medivh. – Chcę zrobić to sam. Nie ma sensu narażać życia dobrych w pogoni za złymi. Oczywiście będę chciał zobaczyć zwłoki. To powie mi, z czym mamy do czynienia.

– Przenieśliśmy je w chłodniejsze miejsce, do piwnicy na wina – poinformował maga Lothar. – Mogę was tam zaprowadzić.

– Za chwilę – odpowiedział Medivh. – Chcę się jeszcze tu rozejrzeć. Zostawisz mnie tu samego z uczniem na chwilę?

Lothar wahał się przez chwilę, po czym stwierdził:

– Oczywiście. Będę za drzwiami. – Powiedziawszy to, spojrzał bystro na Khadgara i wyszedł.

Drzwi zamknęły się i w komnacie zapadła cisza. Medivh podszedł do stołu i zaczął przeglądać podarte księgi i papiery. Podniósł fragment listu z fioletową pieczęcią i potrząsnął głową. Powoli zmiął papier.

– W cywilizowanych krajach – zaczął, a w jego głosie słychać było odrobinę napięcia – uczniowie nie podważają zdania mistrza. A przynajmniej nie publicznie. – Odwrócił się do Khadgara, w zielonych oczach znów szalał sztorm.

– Przepraszam – odparł Khadgar. – Powiedziałeś, że mam zadawać pytania, a pozycja ciał nie wydawała mi się właściwa, póki nie wyjaśniłeś, jak ciała zostały spalone…

Medivh uniósł dłoń i Khadgar zamilkł posłusznie.

Starszy z magów milczał przez chwilę, po czym odetchnął głęboko.

– Wystarczy. Zrobiłeś właściwą rzecz, ani mniej, ani więcej, niż od ciebie żądałem. A gdybyś się nie odezwał, pewnie nie uświadomiłbym sobie, że demon zszedł po murze wieży, i zmarnowałbym sporo czasu, szukając go na terenie zamku. Ale zadawałeś pytania, ponieważ nie wiesz zbyt wiele o demonach, a to ignorancja. Zaś ignorancji nie będę tolerować.

Medivh popatrzył na Khadgara surowo, lecz w kącikach jego ust czaił się uśmiech. Khadgar, pewien, że burza minęła, opadł na stołek.

– Lothar… – przypomniał mimowolnie.

– Poczeka – Medivh kiwnął głową. – On umie czekać, ten Anduin Lothar. A teraz powiedz mi, czego dowiedziałeś się o demonach podczas pobytu w Purpurowej Cytadeli.

– Słyszałem legendy. W Pierwszych Dniach demony chodziły po świecie i powstali bohaterowie, by je wygnać. – Pomyślał o wizji matki Medivha rozrywającej demony na strzępy i stawiającej czoła ich panu, ale nic nie powiedział. Nie chciał ponownie rozgniewać swego mistrza.

– To podstawowe wiadomości – skomentował Medivh. – To mówimy całemu pospólstwu. Co jeszcze wiesz?

Khadgar odetchnął głęboko.

– Zgodnie z oficjalnym stanowiskiem Purpurowej Cytadeli i Kirin Toru demonologię należy odrzucać, potępiać i jej unikać. Każdą próbę wezwania

demonów należy wytropić i udaremnić, zaś winni mają być wygnani. Albo i gorzej. Kiedy dorastałem, wśród młodszych studentów krążyły różne opowieści.

– Opowieści mające oparcie w faktach – powiedział Medivh. – Ale jesteś młodzieńcem o ogromnej ciekawości i, jak zakładam, wiesz więcej, prawda?

Khadgar przechylił głowę i starannie dobierał słowa.

– Korrigan, bibliotekarz naszej akademii, miał wielką kolekcję… dodatkowych materiałów w swoim posiadaniu.

– I potrzebował kogoś, kto pomógłby ją uporządkować – stwierdził sucho Medivh. Khadgar musiał drgnąć nieświadomie, gdyż Medivh dodał: – Tylko zgadywałem, Młody Powierniku.

– Te materiały to głównie ludowe opowieści i raporty miejscowych władz dotyczące wyznawców demonów. Większość z nich opisywała po prostu osobników dopuszczających się ohydnych czynów w imieniu takiego czy innego demona ze starych legend. Nic o tym, jak naprawdę wzywa się demona. Żadnych zaklęć czy notatek. – Khadgar wskazał na ochronny krąg. – Żadnych opisów ceremonii.

– Oczywiście – powiedział Medivh. – Nawet Korrigan nie pozwoliłby, aby coś takiego wpłynęło na uczniów. Jeśli ma takie materiały, to trzyma je osobno.

– Poza tym wszyscy sądzą, że kiedy demony pokonano, zostały całkowicie wygnane z naszego świata. Wypchnięto je ze świata światła i życia do ich własnej domeny.

– Wypaczonej Otchłani – uzupełnił Medivh, jakby intonował fragment modlitwy.

– Wciąż tam są, tak w każdym razie mówią legendy – podjął Khadgar. – I chcą powrócić. Niektórzy mówią, że odnajdują ludzi o słabej woli i we śnie nakłaniają ich do wyszukiwania starych zaklęć i składania ofiar. Czasem chodzi o to, by otworzyć im drogę powrotu. Inni mówią, że demony chcą, by ich wyznawcy i ofiary uczynili świat takim, jakim był wcześniej, krwawym i pełnym przemocy, a dopiero wtedy powrócą.

Medivh milczał przez chwilę, gładząc brodę.

– Coś jeszcze? – spytał po chwili.

– Owszem. Szczegóły i konkretne historie. Widziałem rzeźby demonów, rysunki, diagramy. – Khadgar znów poczuł chęć, by opowiedzieć Medivhowi o swojej wizji. Miast tego dodał: – I jeszcze ten stary poemat epicki, ten o Egwinie walczącej z hordą demonów na krańcu świata.

Ta wzmianka sprawiła, że na twarzy Medivha pojawił się łagodny uśmiech.

– Ach, tak. *Pieśń o Egwinie*. Ten poemat znajdziesz w komnatach wielu potężnych magów.

– Mój nauczyciel, lord Guzbah, był nim bardzo zainteresowany.

– Naprawdę? – spytał z uśmiechem Medivh. – Z całym szacunkiem, ale nie sądzę, by Guzbah był na niego gotów, a zwłaszcza w prawdziwej postaci. – Uniósł brwi. – To, co wiesz, jest, ogólnie rzecz biorąc, prawdą. Wielu ludzi traktuje to jak legendy lub baśnie, lecz ty wiesz chyba równie dobrze jak ja, że demony istnieją, żyją w swojej domenie, i owszem, są zagrożeniem dla tych z nas, którzy chodzą po tym świecie, jak również dla innych światów. Uważam, tak, uważam, że twój świat z czerwonym słońcem był innym światem na dalekim krańcu Wypaczonej Otchłani, która jest więzieniem dla demonów, miejscem bez światła i wytchnienia, i dlatego są one bardzo, ale to bardzo zazdrosne i bardzo, ale to bardzo pragną powrócić.

Khadgar pokiwał głową, a Medivh mówił dalej.

– Ale twoje założenie, że ofiary demonów są ludźmi słabej woli, jest błędne, choć i tym razem błąd ten ma swoje przyczyny. Na świecie jest więcej niż pod dostatkiem durnych parobków, którzy wzywają demoniczne siły, by zemścić się na dawnej kochance, czy głupich kupców, którzy palą weksel w płomieniu czarnej świecy, koszmarnie kalecząc imię niegdyś potężnego demona. Ale równie często zdarzają się ci, którzy z własnej woli i świadomie chcą wkroczyć do otchłani, którzy czują się bezpieczni i pewni, że im nic nie grozi, że są na tyle potężni, by ujarzmić demoniczne moce wygnane poza mury tego świata. Są oni bardziej niebezpieczni niż zwykłe pospólstwo, gdyż, jak wiesz, w rzucaniu czarów połowiczny sukces jest o wiele gorszy niż zupełna porażka.

Khadgar mógł tylko pokiwać głową. Zastanawiał się, czy Medivh umie czytać w myślach.

– Ale to byli potężni magowie… to znaczy Huglar i Hugarin.

– Najpotężniejsi w całym królestwi – zgodził się Medivh. – Najmądrzejsi i najlepsi czarodzieje, doradcy samego króla Llane'a. Mądrzy i na stanowisku!

– Oni z pewnością wiedzieli, czym to grozi – nie ustawał Khadgar.

– Tak by się mogło wydawać – przyznał Medivh. – A jednak stoimy wśród ruin ich komnaty, a spalone przez demona ciała leżą w piwnicy na wino.

– Czemu więc to zrobili? – Khadgar zmarszczył czoło, próbując nikogo nie obrazić. – Skoro wiedzieli tak wiele, czemu próbowali przyzwać demona?

– Wiele powodów – westchnął Medivh. – Pycha, ta fałszywa duma, która poprzedza upadek. Nadmierna pewność siebie każdego z nich z osobna, jeszcze podwojona, gdyż pracowali razem. A przede wszystkim, jak sądzę, strach.

– Strach? – Khadgar spojrzał pytająco na Medivha.

– Strach przed nieznanym – powiedział Medivh. – Strach przed znanym. Strach przed potężniejszymi od nich.

Khadgar potrząsnął głową.

– Cóż może być potężniejszego od dwóch najpotężniejszych i najbardziej uczonych magów w całym królestwie?

– Ach. – W gęstwinie brody Medivha błysnął uśmiech. – Chodzi o mnie. Zabili się, wzywając demona, bawiąc się mocami, które lepiej pozostawić w spokoju, ponieważ bali się mnie.

– Ciebie? – spytał Khadgar, a zaskoczenie w jego głosie było większe, niż chciał. Przez chwilę obawiał się, że znów obrazi swego mentora.

Ale Medivh tylko odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Mnie. Byli głupcami, ale ja też czuję się winien. Chodź, chłopcze, Lothar może poczekać. Najwyższy czas, bym opowiedział ci historię Strażników i Zakonu Tirisfal, bowiem tylko to stoi między nami a Mrokiem.

Rozdział 8

Lekcje

– Aby zrozumieć Zakon – powiedział Medivh – musisz zrozumieć demony. Musisz też zrozumieć magię. – Usiadł w jednym cudem ocalałym fotelu. Nawet leżała na nim jedna z niepodartych poduszek.

– Lordzie Medivhie… Wielki magu… – zaczął Khadgar. – Skoro w Wichrogrodzie grasuje demon, to powinniśmy chyba skoncentrować się na nim, a nie na lekcji historii, która mogłaby poczekać.

Medivh opuścił wzrok i głowę na pierś, a Khadgar nieco się wystraszył, że spowodował kolejny wybuch gniewu swego nauczyciela. Ale mag tylko zaprzeczył ruchem głowy.

– Twoje obawy nie byłyby bezpodstawne, gdyby ów demon stanowił zagrożenie dla wszystkich wokół – powiedział z uśmiechem. – A uwierz mi na słowo, że tak nie jest. Demon, nawet jeśli jest jednym z najpotężniejszych dowódców Płonącego Legionu, wykorzystał większość mocy w starciu z dwoma potężnymi magami, którzy go przywołali. Nie jest groźny, przynajmniej nie w tej chwili. Ważne jest, byś zrozumiał, czym jest Zakon, kim ja jestem i dlaczego inni tak bardzo interesują się tą kwestią.

– Ale panie… – nie ustępował Khadgar.

– Im wcześniej skończę, tym wcześniej będę wiedział, że mogę powierzyć ci te informacje, i tym szybciej ruszę rozprawić się z tym żałosnym demonem, więc jeśli chcesz, bym to zrobił, powinieneś pozwolić mi skończyć, czy nie? – Medivh uśmiechnął się z wyższością.

Khadgar już otworzył usta, by zaprotestować, ale się zreflektował. Rozsiadł się na szerokim parapecie przy otwartym oknie. Choć służący pospieszyli się

z wynoszeniem ciał, duszący smród śmierci nadal wisiał w powietrzu.

– Dobrze. Czym jest magia? – spytał Medivh tonem nauczyciela.

– Otaczającym nas polem rozproszonej energii, która przenika cały świat – odpowiedział Khadgar odruchowo. To była najbardziej podstawowa wiedza. – W niektórych miejscach to pole jest mocniejsze niż w innych, ale jest wszędzie.

– Tak jest, a przynajmniej teraz tak jest. Ale wyobraź sobie czasy, gdy tak nie było.

– Magia jest powszechna, występuje wszędzie – zaoponował Khadgar, ale wiedział, że zaraz dowie się, jak bardzo się mylił. – Jak powietrze albo woda.

– Owszem, jak woda – zgodził Medivh. – Teraz wyobraź sobie początek świata, początek wszystkiego, gdy wszelka woda była w jednym miejscu. Rzeki, potoki, morza i strumyki, wszystkie deszcze i mżawki, a nawet łzy, wszystko w jednym miejscu, w jednej studni.

Khadgar powoli pokiwał głową.

– Tylko że nie mówimy o wodzie, lecz o magii – kontynuował Medivh. – O magicznej studni, źródle, o furtce do innych wymiarów, migoczącej bramie do krain poza Bezkresną Ciemnością, poza murami świata. Pierwsi, którzy umieli rzucać zaklęcia, zamieszkali wokół studni i zmieniali jej surową moc w magię. Wówczas zwano ich *kaldorei*. Nie wiem, jak nazywa się ich teraz. – Medivh spojrzał na swego ucznia, lecz młodzieniec milczał.

– *Kaldorei* stali się potężni dzięki magii, lecz nie pojmowali jej natury – podjął swój wywód Medivh. – Nie wiedzieli, że w Bezkresnej Ciemności istniały inne, potężne moce, poruszające się w przestrzeni między światami, spragnione magii ponad wszystko i bardzo zainteresowane tymi, którym udało się ją okiełznać i wykorzystać dla swoich celów. Te złe siły były plugastwem, bezmyślnie niszczącym i najgorszym koszmarem setek światów, lecz my zwiemy je po prostu demonami. Próbowały one zdobyć każdy świat, gdzie wykorzystywano i pielęgnowano magię, i zniszczyć go, zatrzymując dla siebie moce. Największym z nich, panem Płonącego Legionu, był demon imieniem Sargeras.

Khadgar wspomniał wizję, w której widział walkę Egwiny, i stłumił drżenie. Nawet jeśli Medivh zauważył reakcję młodego maga, nic nie powiedział.

– Pan Płonącego Legionu był jednocześnie potężny i subtelny. Postanowił zdeprawować pierwszych magów, *kaldorei*. Udało mu się, na ich serca padł cień i *kaldorei* zniewolili inne rasy, w tym młodą rasę ludzi, by stworzyć swoje imperium. – Medivh westchnął. – W czasach gdy *kaldorei* stali się panami niewolników, byli wśród nich i tacy, którzy widzieli więcej niż ich bracia, którzy byli gotowi sprzeciwić się *kaldorei* i zapłacić wysoką cenę za możliwość urzeczywistnienia swojej wizji. Te dzielne jednostki, zarówno *kaldorei*, jak i inne rasy, widziały, jak serca władców stają się zimne i mroczne, a moc demonów wzrasta. Nadszedł więc czas, gdy *kaldorei* zostali tak zdeprawowani przez Sargerasa, że niemal skazali na zagładę ten świat, który ledwie co się narodził. Ignorowali tych, którzy im się sprzeciwiali, i otworzyli bramę, przez którą najpotężniejsze demony, Sargeras i jego pobratymcy, mogły wkroczyć do naszego świata. Tylko dzięki bohaterskim czynom tej garstki świetlista brama prowadząca do Wypaczonej Otchłani została zamknięta, a Sargeras i jego wyznawcy wygnani. Zwycięstwo zostało jednak straszliwie opłacone. Studnia Wieczności eksplodowała w momencie zapieczętowania bramy, a wybuch ten rozerwał serce naszego świata, niszcząc ziemie *kaldorei* i sam kontynent, na którym się znajdowały. Tych, którzy zdołali zamknąć wrota, nie zobaczono już żywych.

– Kalimdor! – powiedział Khadgar mimowolnie.

Medivh spojrzał na niego, więc młodzieniec poczuł się zobowiązany wyjaśnić.

– To stara legenda z Lordaeronu! Kiedyś żyła na tym świecie zła rasa, która nieostrożnie igrała z wielką mocą. Jako kara za grzechy ich ziemie zostały zniszczone i pogrzebane w falach. Nazwano to Wielkim Rozdarciem. Ich ziemie nazywały się Kalimdor.

– Kalimdor – powtórzył Medivh. – Aczkolwiek poznałeś tylko wersję historii przeznaczoną dla dzieci, fragmenty, które opowiadamy, by unaocznić adeptom, jak niebezpieczna może być magia i z jakimi mocami igrają. *Kaldorei* byli głupi i zniszczyli siebie, niewiele brakowało, a zniszczyliby też i cały świat. A gdy Studnia Wieczności wybuchła, zgromadzona w niej magiczna energia rozproszyła się na wszystkie strony świata, opadła na wszystkie ziemie

wiecznym deszczem. Od tego dnia magia jest wszechobecna, taką moc miała agonia studni.

– Ale mistrzu – zdumiał się Khadgar – to było tysiące lat temu.

– Dziesięć tysięcy lat temu – uświadomił go Medivh – plus minus dwadzieścia.

– Jak to możliwe, że ta legenda ma coś wspólnego z nami? Historia Dalaranu sięga dwa tysiące lat wstecz, a i te początki znamy tylko z legend.

Medivh pokiwał głową i zaczął opowiadać dalej.

– Wielu zginęło podczas zatopienia Kalimdoru, ale byli i tacy, którzy przeżyli katastrofę, a wraz z nimi przetrwała wiedza. Część z ocalałych, powołała później Radę Tirisfal. Nawet ja nie wiem, czy Tirisfal było osobą, miejscem, rzeczą czy też ideą. Założyciele wiedzieli dokładnie, co się wydarzyło, i przysięgli, że nie dopuszczą, by to się powtórzyło. I ta przysięga stała się fundamentem zakonu. Rasa ludzka również przeżyła te mroczne dni i kwitła. A ponieważ energia magiczna była teraz wpleciona w samą osnowę wszechświata, ludzie też zaczęli skrobać bramy rzeczywistości; poczęli przyzywać istoty z Wypaczonej Otchłani, próbując otworzyć zamknięte wrota więzienia Sargerasa. Wówczas ci z *kaldorei*, którzy przeżyli i zmienili swój sposób życia, ujawnili się i opowiedzieli historię o tym, jak to ich przodkowie niemal zniszczyli świat. Pierwsi ludzcy magowie rozważyli to, czego dowiedzieli się od ocalałych *kaldorei*, i uświadomili sobie, że nawet gdyby na zawsze odrzucili różdżki, grimuary i wyliczenia, inni zaczęliby szukać, nieświadomie lub świadomie, sposobów na ponowne otwarcie demonom drogi do naszych zielonych krain. Dlatego też zadbali, by Zakon Tirisfal trwał dalej, jako tajne stowarzyszenie najpotężniejszych spośród wszystkich magów. Członkowie zakonu wybierali spośród siebie jednego, który miał pełnić służbę Strażnika *Tirisfalen*. Ów Strażnik obdarowywany był największą potęgą i miał stać na straży bram rzeczywistości. Brama jednak nie była już jedną wielką studnią mocy, lecz raczej nieskończonym deszczem, który pada po dziś dzień. Wierz mi, to najcięższy obowiązek na całym świecie. – Medivh umilkł, a jego oczy na chwilę zamgliły się, jakby nagle pochłonęła go przeszłość. Potem potrząsnął głową, otrząsając się z tego zamyślenia, wciąż jednak milczał.

– Ty jesteś Strażnikiem – stwierdził Khadgar, nie siląc się na omówienia.

– Tak – odpowiedział Medivh. – Jestem dzieckiem największej Strażniczki wszech czasów, a moc otrzymałem wkrótce po narodzinach. Okazała się dla mnie… zbyt wielka i zapłaciłem za to sporą częścią swej młodości.

– Ale powiedziałeś przecież, że magowie wybierali spośród siebie – zaprotestował Khadgar. – Czy Egwina Wielka nie mogła wybrać starszego kandydata? Czemu wybrała dziecko, w dodatku własne?

Medivh odetchnął głęboko.

– Pierwsi Strażnicy przez pierwsze tysiąclecie wybierani byli z wyselekcjonowanej grupy. Samo istnienie Zakonu utrzymywano w tajemnicy zgodnie z życzeniem jego założycieli. Jednak z upływem czasu w grę zaczęły wchodzić osobiste interesy i polityka, skutkiem czego Strażnik wkrótce stał się niewiele więcej niż służącym, chłopcem na posyłki o magicznych zdolnościach. Niektórzy z bardziej potężnych magów uważali, że zadaniem Strażnika jest powstrzymywanie wszystkich innych przed korzystaniem z mocy, którą oni sami władali bez przeszkód. Podobnie jak w wypadku *kaldorei*, cień deprawującej mocy legł na sercach członków Zakonu. Coraz więcej demonów przedostawało się do naszego świata, nawet sam Sargeras zdołał przesłać tu swojego awatara zawierającego fragmenty jego istoty. Awatar posiadał ledwie ułamek jego mocy, ale to wystarczyło, by zabijać armie i niszczyć narody.

Khadgar pomyślał o Sargerasie, którego widział w swej wizji.

– Egwina Wielka – Medivh wypowiedział to miano i zamilkł, jakby nie był przyzwyczajony do wymawiania matczynego imienia. – Ta, która mnie zrodziła, sama urodziła się niemal tysiąc lat temu. Była niezwykle utalentowana i wybrana przez innych członków Zakonu na Strażnika. Podejrzewam, że najmądrzejsi z mądrych tamtych czasów sądzili, iż będą w stanie ją kontrolować, a w ten sposób nadal używać Strażnika jako pionka w swych politycznych rozgrywkach. Zaskoczyła ich – z tymi słowy Medivh się uśmiechnął. – Nie pozwoliła, by nią manipulowano, i nawet walczyła z kilkoma najpotężniejszymi magami swoich czasów, gdy tych skusiła wiedza demonów. Niektórzy myśleli, że jej niezależność to raczej chwilowy kaprys, a gdy nadejdzie jej czas, będzie musiała przekazać moc bardziej uległemu

kandydatowi. Ponownie ich zaskoczyła, gdyż wykorzystała drzemiącą w niej magię, by żyć przez tysiąc lat, wciąż młoda, i władać magią z mądrością i przyzwoitością. Tak oto Zakon i Strażnik się rozstali. Ten pierwszy może doradzać temu drugiemu, ale drugi musi być w stanie rzucić wyzwanie pierwszemu, by uniknąć tego, co stało się z *kaldorei*. Przez tysiąc lat walczyła z istotami z Wypaczonej Otchłani, nawet rzuciła wyzwanie awatarowi samego Sargerasa, który przedostał się do tego świata i próbował zniszczyć mityczne smoki, by przejąć ich moc. Egwina spotkała się z nim i pokonała go, a ciało pogrzebała w nieznanym nikomu miejscu, na zawsze oddzielając go od Wypaczonej Otchłani, a więc i od jego mocy. To opisano w eposie *Pieśń o Egwinie*, którego tak pożąda Guzbah. Ale nie mogła robić tego bez końca, musiała znaleźć następcę, bo zawsze musi istnieć Strażnik. Wtedy… – Głos Medivha znów się załamał. – Miała jeszcze jednego asa w rękawie. Choć potężna, nadal była śmiertelniczką. Spodziewano się, że przekaże swoją moc. Miast tego zrodziła dziedzica mistrzowi przywołań z Dworu Wichrogrodu i to dziecko wyznaczyła na swojego następcę. Zagroziła Zakonowi, że jeśli jej wybór nie zostanie uszanowany, nie zrezygnuje i prędzej zabierze moc Strażnika do grobu, niż odda ją komuś innemu. Członkowie Zakonu uznali, że dzieckiem… mną łatwiej im będzie manipulować… i wyrazili zgodę. Jednak moc okazała się zbyt wielka. Gdy byłem młodym mężczyzną, młodszym od ciebie, obudziła się we mnie i spałem przez ponad dwadzieścia lat. Egwina miała tak długie życie, a ja większość swojego straciłem. – Znów zadrżał mu głos. – Egwina… moja matka… – zaczął, ale najwyraźniej zabrakło mu słów.

Khadgar przez chwilę siedział w milczeniu. Medivh wyprostował się, po chwili potrząsnął grzywą siwych włosów.

– A kiedy spałem, zło znów wkradło się do naszego świata. Jest coraz więcej demonów i coraz więcej orków. A teraz członkowie mojego własnego Zakonu po raz kolejny wybrali drogę mroku. Tak, Huglar i Hugarin byli członkami Zakonu, podobnie jak inni, na przykład stary Arrexis z Kirin Toru. Tak, jemu przytrafiło się coś podobnego, a choć ładnie to zatuszowano, usłyszałeś coś na ten temat. Obawiali się mocy mojej matki i obawiają się mnie, a ja muszę pilnować, by strach ich nie zniszczył. Takie zadanie spoczywa na barkach

Strażnika Tirisfal. – Poderwał się. – Muszę ruszać!

– Ruszać? – spytał Khadgar, nagle zaskoczony, jak wiele energii kryło się w tym chudym ciele.

– Jak słusznie zauważyłeś, mamy demona na wolności – stwierdził Medivh z nowym uśmiechem. – Dmijcie w myśliwskie rogi, muszę go odnaleźć, nim odzyska rozum i moc i zacznie zabijać innych!

Khadgar wyprostował się natychmiast.

– Gdzie zaczynamy?

Medivh zatrzymał się i odwrócił, po czym spojrzał na młodzieńca z zakłopotaniem.

– Ach. My nigdzie nie zaczynamy. Ja zaczynam. Jesteś utalentowany, ale demonowi jeszcze nie dasz rady. Ta bitwa będzie tylko moja, Młody Powierniku.

– Mistrzu, jestem pewien, że…

Ale Medivh uciszył ucznia gestem.

– Potrzebuję też, byś został tutaj i miał uszy szeroko otwarte – dodał półgłosem. – Nie wątpię, że stary Lothar spędził ostatnie dziesięć minut z uchem przy drzwiach i gdy wyjdziemy, zobaczymy na jego twarzy odcisk w kształcie dziurki od klucza. – Medivh się uśmiechnął. – Wie wiele, ale nie wszystko. Dlatego musiałem ci powiedzieć, żeby zbyt wiele z ciebie nie wyciągnął. Potrzebuję kogoś, by strzegł Strażnika.

Khadgar spojrzał na Medivha, a ten wtedy przymrużył jedno oko. Potem podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Lothar nie wpadł do komnaty, ale stał tam, zaraz po drugiej stronie. Mógł podsłuchiwać albo tylko stać na straży.

– Med – powiedział Lothar z przebiegłym uśmiechem. – Jego Wysokość…

– Jego Wysokość doskonale mnie zrozumie – przerwał mu Medivh i wyminął pospiesznie. – Zrozumie, że wolę raczej spotkać szalejącego demona niż przywódcę kraju. Priorytety i tak dalej. Czy zadbasz w tym czasie o mego ucznia?

Powiedział to na jednym oddechu, po czym wyszedł, minął korytarz i znikł na schodach, pozostawiając Lothara w pół słowa.

Królewski czempion ponownie przetarł łysinę i westchnął teatralnie. Potem

spojrzał na Khadgara i westchnął ponownie, jeszcze głębiej.

– Zawsze taki był – rzucił takim tonem, jakby Khadgar mógł mieć o tym jakieś pojęcie. – Pewnie jesteś głodny. Zobaczmy, czy znajdę nam coś do zjedzenia.

Posiłek składał się z kuraka zagarniętego ze spiżarni, którego Lothar przytrzymywał łokciem, oraz dwóch kufli piwa wielkości dzbanów, które przyniósł po jednym w każdej ręce. Biorąc pod uwagę sytuację, królewski czempion był zadziwiająco spokojny. Zaprowadził Khadgara na jeden z wysokich balkonów, skąd rozciągał się widok na miasto.

– Mój panie – odezwał się Khadgar. – Mimo prośby mistrza Medivha rozumiem, że masz inne zadania.

– Mam – przyznał Lothar – a większością zająłem się, gdy rozmawiałeś z Medem. Jego wysokość król Llane jest w swoich komnatach, podobnie jak większość dworzan, rozstawiono straże na wypadek, gdyby demon zdecydował się jednak poszukać kryjówki na zamku. Wysłałem również ludzi do miasta z rozkazami, by zawiadamiali mnie o wszystkich podejrzanych zdarzeniach, sami powstrzymując się od jakichkolwiek działań. Ostatnie, czego potrzebujemy, to wybuchu paniki z powodu demona. Zrobiłem, co mogłem, i teraz pozostało mi tylko czekać. – Zerknął na swego młodszego towarzysza. – A moi porucznicy wiedzą, że będę na tym balkonie, ponieważ zawsze tu jadam.

Khadgar rozważył słowa Lothara i pomyślał, że królewski czempion bardzo przypomina Medivha. Nie tylko znajdował przyjemność w planowaniu wszystkiego kilka kroków naprzód, ale i w opowiadaniu innym, jak wszystko zaplanował. Uczeń wziął pokrojone w plastry mięso z piersi, zaś Lothar wgryzł się w udko.

Przez dłuższą chwilę jedli w milczeniu. Ptak był całkiem niezły, ponieważ nadziano go mieszaniną rozmarynu, bekonu i owczego masła. Nawet na zimno rozpływał się w ustach. Piwo z kolei było cierpkie w smaku, o bogatym aromacie nizinnego chmielu.

Z balkonu mieli doskonały widok na panoramę miasta. Sama forteca znajdowała się na skale, która oddzielała króla od jego poddanych, a z wieży

mieszkańcy Wichrogrodu wyglądali niczym niewielkie lalki spieszące po zatłoczonych ulicach. Khadgar przyglądał się miastu; najpewniej był to dzień targowy, bowiem na progach sklepów pod barwnymi parasolami stali sprzedawcy, zachwalając (bardzo cicho, jak wydawało się Khadgarowi na tej wysokości) sprzedawane towary.

Khadgar na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje, co widział i dlaczego w ogóle tutaj trafił. Miasto było piękne. Dopiero głęboki głos Lothara wyrwał go z zadumy.

– No i? – odezwał się czempion, jakby wracając do ich rozmowy. – Co z nim?

Khadgar zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Jest w dobrym zdrowiu. Widziałeś to sam, panie.

– Ba! – prychnął Lothar, a Khadgar miał przez chwilę ważnie, że rycerz zakrztusił się dużym kawałkiem mięsa. – Widzę to i wiem, że Med potrafi oszukać i omamić właściwie każdego. Chciałem cię spytać, jaki jest.

Khadgar znów popatrzył na miasto, zastanawiając się, czy potrafi tak jak Medivh zagadać czempiona, odmówić odpowiedzi, nie obrażając go jednocześnie.

Nie, uznał, *Medivh wykorzystuje lojalność i przyjaźń, które trwają dłużej niż ja żyję*.

Musiał znaleźć inny sposób. Westchnął.

– Wymagający. Jest bardzo wymagający. I inteligentny. I zaskakujący. Czasem wydaje mi się, że jestem uczniem trąby powietrznej. – Spojrzał na Lothara, unosząc brwi, z nadzieją, że to wystarczy.

Lothar pokiwał głową.

– Trąba powietrzna, zgadza się. I burza z piorunami do kompletu, jak podejrzewam.

Khadgar niezręcznie wzruszył ramionami.

– Ma swoje humory, jak każdy.

– Hm – skwitował czempion. – Stajenny ma humory, więc kopie psa. Mag ma humory, więc znika miasto. Bez obrazy.

– Nie czuję się urażony, panie – odpowiedział Khadgar, myśląc o martwych

magach w komnacie na wieży. – Pytałeś, jaki on jest. Taki, jak opisałem.

– Hm – mruknął znów Lothar. – Jest bardzo potężną osobą.

A ty obawiasz się go, jak inni magowie, pomyślał Khadgar. Powiedział jednak tylko:

– On dobrze o tobie mówi, panie.

– Co powiedział? – spytał Lothar szybciej, niż zapewne chciał.

– Tylko – Khadgar starannie dobierał słowa – że bardzo mu pomogłeś, kiedy był chory.

– Zgadza się – mruknął czempion i skupił się na drugim udku.

– I że jesteś wyjątkowo spostrzegawczy – dodał Khadgar, czując, że wystarczająco rozcieńczył opinię Medivha, by nie była obelżywa.

– Miło wiedzieć, że to zauważa – powiedział Lothar z pełnymi ustami. Przez chwilę żuł i łykał w milczeniu. – Czy wspomniał ci o Strażniku?

– Rozmawialiśmy o tym – odpowiedział Khadgar, czując, że nagle znalazł się na cienkim lodzie. Medivh nie powiedział mu, ile wie Lothar. Khadgar uznał, że milczenie jest najlepszą odpowiedzią, i pozwolił, by jego stwierdzenie zawisło w powietrzu.

– A nie jest sprawą ucznia dyskutowanie o działaniach mistrza, co? – uśmiechnął się Lothar nieco chyba na siłę. – No dalejże, jesteś przecież z Dalaranu. W tym gnieździe magów żmij jest więcej tajemnic na stopę kwadratową niż na całym kontynencie razem wziętym. Ponownie, bez urazy.

Khadgar skwitował to stwierdzenie wzruszeniem ramion.

– Zauważyłem, że tutaj rywalizacja między magami jest istotnie mniej intensywna – dodał dyplomatycznie.

– I chcesz mi powiedzieć, że twoi mistrzowie nie posłali cię z całą listą pytań, na które odpowiedzi masz wyciągnąć z wielkiego maga? – Lothar uśmiechnął się szerzej, niemal ze współczuciem.

Khadgar poczuł ciepło rumieńca na policzkach. Wojownik trafiał coraz celniej.

– Wszelkie prośby z Purpurowej Cytadeli zostały przekazane Medivhowi pod rozwagę. Dotychczas był bardzo chętny do współpracy.

– Hmf – prychnął Lothar. – To musi znaczyć, że nie pytają o to, co trzeba.

Wiem, że tutejsi magowie, włączając w to Huglara i Hugarina, niechaj święci mają w opiece ich dusze, ciągle wypytywali go o to albo tamto i uskarżali się do mnie albo do jego wysokości, gdy nie dostali od Medivha tego, czego akurat chcieli. Jakbyśmy mogli mu mówić, co ma robić!

– Nie sądzę, by ktokolwiek mógł – stwierdził Khadgar, a ewentualne dalsze komentarze utopił w kuflu z piwem.

– Nawet jego własna matka, jak mniemam – dodał Lothar. Była to uwaga poczyniona mimochodem, a jednak zatonęła w sercu Khadgara niczym sztylet. Młodzieniec bardzo chciał dowiedzieć się, wypytać Lothara na temat czarodziejki, ale się powstrzymał.

– Obawiam się, że jestem zbyt młody, by o tym wiedzieć – odpowiedział. – Czytałem trochę na jej temat. Chyba była bardzo potężna.

– A ta cała moc jest teraz w nim – stwierdził Lothar. – Spłodziła go z magiem z tego właśnie dworu, karmiła go czystą magią i wlała w niego swoją moc. Tak, wiem o tym wszystkim, poskładałem elementy tej układanki, gdy zapadł w śpiączkę. Zbyt wiele, zbyt wcześnie. Nawet teraz się martwię.

– Obawiasz się, że jest zbyt potężny – stwierdził Khadgar, a Lothar przeszył go nagłym przenikliwym spojrzeniem. Młodzieniec skarcił się w duchu solidnie za to, że powiedział głośno, co myślał, praktycznie obrażając gospodarza zarzutem.

Lothar uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Wręcz przeciwnie, chłopcze, martwię się, że nie jest wystarczająco potężny. W królestwach dzieją się straszliwe rzeczy. Ci tam… orkowie, których widziałeś w zeszłym miesiącu, mnożą się niczym grzyby po deszczu. A trolle, jeszcze niedawno prawie całkiem wymarłe, teraz pojawiają się coraz częściej. Do tego, kiedy my sobie rozmawiamy, Medivh poluje na demona. Nadchodzą złe czasy, a ja mam nadzieję… Nie, modlę się, żeby wystarczyło mu na to sił. Przez ponad dwadzieścia lat, gdy był w śpiączce, musieliśmy sobie radzić bez Strażnika. Nie chcę, byśmy musieli żyć bez niego przez kolejne dwadzieścia, szczególnie w takich czasach.

Khadgar poczuł się zawstydzony.

– Czyli kiedy pytasz, panie: „Co z nim?”, chodzi ci o to…

– Co z nim? – dokończył Lothar. – Nie chcę, by w takim momencie osłabł. Orkowie, trolle, demony, a poza tym… – Lothar umilkł i spojrzał na Khadgara. – Mogę przypuszczać, że wiesz już o Strażniku?

– Możesz przypuszczać, panie – potwierdził Khadgar.

– O Zakonie też? – spytał ponownie Lothar, po czym uśmiechnął się. – Nie musisz nic odpowiadać, chłopcze, twoje oczy cię zdradziły. Lepiej nie siadaj ze mną nigdy do kart.

Khadgar miał wrażenie, że balansuje na krawędzi przepaści. Medivh ostrzegał go, by młodzieniec nie mówił zbyt wiele czempionowi, ale Lothar najwyraźniej wiedział tyle co Khadgar. Jeśli nie więcej.

– Nie wzywalibyśmy Meda, gdyby chodziło o zaklęcie, które poszło nie tak jak trzeba. A nawet gdyby dwóch specjalistów od przywołań padło ofiarą swoich zaklęć. Huglar i Hugarin należeli do naszych najlepszych magów, byli z nich najpotężniejsi. Szczególnie że jedyna osoba przerastająca ich mocą też zginęła w wypadku dwa miesiące temu. Wszyscy trzej, jak mniemam, byli członkami waszego Zakonu.

Khadgarowi zimny dreszcz przebiegł po plecach.

– Chyba nie powinien rozmawiać na ten temat – wykrztusił.

– To nie rozmawiaj – odpowiedział Lothar, czoło miał tak zmarszczone, że przypominało pogórze jakichś starożytnych gór. – Trzech potężnych magów, najpotężniejszych w królestwie. Oczywiście nie tak potężnych jak Med czy jego matka, niemniej wciąż potężnych. Wszyscy martwi. Mogę uwierzyć, że jeden mag miał pecha albo nie uważał należycie, ale trzech? Wojownik nie wierzy w aż taki zbieg okoliczności. A to nie wszystko. Mam swoje sposoby, by dowiadywać się różnych rzeczy. Kupcy z karawan, najemnicy i poszukiwacze przygód, którzy przybywają do miasta, często znajdują chętnego słuchacza w starym Lotharze. Przynoszą wieści z Żelaznej Kuźni i Alteraku, a nawet z samego Lordaeronu. Była plaga takich wypadków, i to wszędzie. Myślę, że ktoś, a nawet gorzej: coś poluje na wielkich magów z tego tajemnego Zakonu. Tutaj i zapewne w samym Dalaranie.

Khadgar uświadomił sobie, że wojownik mówiąc, wpatrywał się badawczo w twarz młodzika, a jednocześnie nagle przypomniał sobie o plotkach, które

słyszał przed opuszczeniem Purpurowej Cytadeli. Starożytni magowie, którzy nagle znikali, a członkowie Kirin Toru natychmiast wszystko wyciszali. Tajemnice były częścią większego problemu.

Wbrew sobie Khadgar odwrócił się i spojrzał na miasto.

– Tak, Dalaran najwyraźniej też padł ofiarą plagi wypadków – powiedział Lothar. – Stamtąd nie przychodzi zbyt wiele wieści, ale założyłbym się, że są podobne, co?

– Sądzisz, panie, że mój mistrz jest w niebezpieczeństwie? – spytał Khadgar. Jego pragnienie, by niczego Lotharowi nie zdradzić, ustępowało powoli, osłabione wyraźną troską czempiona.

– Sądzę, że Medivh sam jest ucieleśnieniem niebezpieczeństwa – odpowiedział Lothar. – I podziwiam każdego, kto odważył się mieszkać z nim pod jednym dachem. – Brzmiało to jak żart, lecz czempion jakoś się nie śmiał. – Ale owszem, coś się dzieje, i może to mieć jakiś związek z demonami, orkami albo jeszcze czymś innym. A za nic nie chciałbym utracić naszej najpotężniejszej broni w tak niespokojnych czasach.

Khadgar spojrzał na Lothara, próbując znaleźć odpowiedzi w pobrużdżonej zmarszczkami twarzy. Czy stary wojownik martwi się o przyjaciela, czy też o możliwość utraty ochrony, jaką zapewniała magia Strażnika? Czy obawia się o bezpieczeństwo Medivha, który mieszka sam w dziczy, czy też niepokoi go, że coś poluje na nich wszystkich? Twarz wojownika była jednak nieprzenikniona, a niebieskie jak morze oczy nie zdradzały, co Lothar naprawdę myśli. Khadgar spodziewał się, że czempion będzie prostym żołnierzem, rycerzem oddanym służbie królestwu, lecz czempion był kimś więcej. Testował Khadgara, szukając słabego punktu, próbując zdobyć informacje, ale w jakim celu?

Potrzebuję kogoś, żeby strzegł Strażnika, powiedział Medivh.

– Mistrz ma się dobrze – rzekł Khadgar. – Martwisz się o niego, panie, i podzielam twą troskę. Ale on dobrze sobie radzi i wątpię, by cokolwiek mogło mu zaszkodzić.

Nieodgadnione oczy Lothara przestały połyskiwać pewnością siebie, ale tylko na moment. Czempion zamierzał powiedzieć coś więcej, wznowić to przyjacielskie przesłuchanie, gdy nieoczekiwanie coś wewnątrz wieży

odciągnęło ich uwagę od rozmowy, od osuszonych kufli i nagich kości kuraka.

W ich polu widzenia pojawił się Medivh, a za nim całe stado służących i strażników. Wszyscy narzekali na jego obecność, lecz żaden (i słusznie) nie odważył się mu sprzeciwić; w efekcie podążali za nim niczym żywy i utyskujący ogon komety.

– Wiedziałem, że nie odstępujesz od swych zwyczajów, Lotharze – stwierdził Medivh. – Wiedziałem, że będziesz tu popijał popołudniową herbatkę! – Mag uśmiechnął się ciepło, lecz Khadgar widział, że zatacza się lekko, niczym pijany. Medivh trzymał jedną rękę za plecami. Lothar wstał, a jego głos był zatroskany.

– Medivh, wszystko w porządku? Demon…

– Ach, tak, demon – uśmiechnął się radośnie Medivh i wyciągnął zza pleców okrwawione trofeum. Rzucił je od niechcenia i bez wysiłku w stronę Lothara i Khadgara.

Czerwona kula obracała się w locie, rozchlapując ostatki krwi i mózgu, po czym wylądowała u stóp czempiona. Czerep demona, z ostrzem potężnego topora wrażonym głęboko między zakręconymi jak u barana rogami. Na martwej twarzy, zdaniem Khadgara, malowała się mieszanina podziwu i oburzenia.

– Może każesz go sobie wypchać – zaproponował Medivh, prostując się z powagą. – Oczywiście resztę musiałem spalić. Nie wiadomo, co ktoś niedoświadczony mógłby zrobić z flakonem demoniej krwi.

Khadgar zauważył, że twarz Medivha jest bardziej ściągnięta niż zwykle, a zmarszczki wokół oczu wyraźniejsze. Lothar również mógł dostrzec te zmiany, nawet jeśli nie dał tego po sobie poznać.

– Szybko go złapałeś – stwierdził jedynie.

– To dziecinnie proste! – odpowiedział Medivh. – Kiedy Młody Powiernik wskazał, jak demon uciekł z zamku, nie miałem problemów by go wytropić. Nawet nie zauważyłem, kiedy było po wszystkim. On też nie. – Mag zachwiał się lekko.

– Chodź więc – powiedział Lothar z ciepłym uśmiechem. – Powinniśmy powiedzieć królowi. Na twoją cześć zostanie wydana uczta, Med!

Medivh uniósł dłoń.

– Obawiam się, że będziecie ucztować beze mnie. Powinniśmy wracać. Wiele mil dzieli nas od miejsca odpoczynku. Nieprawdaż, uczniu?

Lothar spojrzał na Khadgara, ponownie na wpół pytająco, na wpół błagalnie. Medivh wyglądał na spokojnego, ale zmęczonego. I on spoglądał na Khadgara, z tym że wyczekując wsparcia.

Młodzieniec odkaszlnął.

– Oczywiście. Zostawiliśmy przecież rozpoczęty eksperyment.

– Tak! – Medivh natychmiast podchwycił kłamstwo. – Tak się tu spieszyliśmy, że prawie o nim zapomniałem. Powinniśmy się pospieszyć. – Mag obrócił się na pięcie i ryknął w stronę zebranych dworzan. – Przygotujcie nasze wierzchowce! Natychmiast ruszamy!

Służący rozpierzchli się niczym stadko przepiórek. Medivh odwrócił się z powrotem do Lothara.

– Oczywiście przekażesz nasze przeprosiny Jego Wysokości.

Lothar spojrzał na Medivha, później na Khadgara, a potem znów na Medivha. W końcu westchnął z rezygnacją.

– Oczywiście. Pozwól, że chociaż odprowadzę was na wieżę.

– Prowadź – stwierdził Medivh. – Nie zapomnij zabrać swojej czaszki. Sam bym ją zatrzymał, ale już jedną taką mam.

Lothar uniósł łeb z baranimi rogami, po czym minął Medivha i zszedł z balkonu. Gdy tylko minął maga, ten zaczął sprawiać wrażenie, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Zdawał się bardziej zmęczony i jeszcze mocniej posiwiały niż przed chwilą.

Westchnął ciężko i sam ruszył w stronę drzwi. Khadgar dogonił go i dotknął jego łokcia. Delikatnie. Jednak mag wyprostował się nagle i drgnął, jakby w odpowiedzi na cios. Odwrócił się do Khadgara, a gdy spojrzał na młodzieńca, jego oczy zamgliły się.

– Mistrzu – zaczął Khadgar.

– Co tym razem? – spytał Medivh syczącym szeptem. Khadgar przez moment dobierał słowa, by nie wzbudzić gniewu nauczyciela.

– Nie czujesz się najlepiej – stwierdził po prostu. Były to właściwe słowa.

Medivh pokiwał głową niczym starzec.

– Bywało lepiej – przyznał. – Lothar też to chyba wie, ale nie będzie mi się sprzeciwiał. Wolę być w domu niż w tym miejscu. – Zatrzymał się na chwilę i zacisnął wargi. – Tutaj byłem przez bardzo długi czas chory. Nie chcę powtarzać tego doświadczenia.

Khadgar nie odpowiedział, tylko pokiwał głową. Lothar stał przy drzwiach i czekał na nich.

– Teraz ty poprowadzisz nas do Karazhanu – powiedział Medivh tak głośno, by usłyszeli wszyscy zebrani wokół. – Miejskie życie jest stanowczo zbyt wyczerpujące i przyda mi się drzemka!

Rozdział 9

Drzemka Medivha

– To bardzo ważne. – Medivh zsunął się z grzbietu gryfa i teraz chwiał się lekko. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, więc Khadgar doszedł do wniosku, że bitwa z demonem była trudniejsza, niż mag przyznawał.

– Przez kilka dni będę… niedostępny – kontynuował Strażnik. – Jeśli w tym czasie przybędzie jakiś posłaniec, przynosząc wieści, ty zajmiesz się korespondencją.

– Poradzę sobie z tym – zapewnił Khadgar – bez trudu.

– Nie, wcale nie – osądził go Medivh i ruszył w dół schodów. – Dlatego muszę ci powiedzieć, jak czytać te z purpurową pieczęcią. Purpurowa pieczęć to zawsze sprawy Zakonu.

Tym razem Khadgar tylko pokiwał głową.

Medivh poślizgnął się na krawędzi schodów i poleciał głową naprzód. Khadgar rzucił się, by go pochwycić, lecz mistrz przytrzymał się ściany i wyprostował. Nawet na moment nie przerwał wypowiedzi.

– W bibliotece jest zwój. *Pieśń o Egwinie*. Opowiada o bitwie mojej matki z Sargerasem.

– Epos, którego kopię pragnął otrzymać Guzbah – powiedział Khadgar, czujnym spojrzeniem śledząc schodzącego przed nim maga.

– Ten właśnie – odpowiedział Medivh. – I dlatego właśnie nie może go dostać… używamy go do szyfrowania korespondencji Zakonu. To jest klucz. Każdy z członków Zakonu ma identyczną kopię. Przesuwasz litery w standardowym alfabecie tak, że czwarta albo dziesiąta, albo dwudziesta staje się pierwszą. To prosty kod. Rozumiesz?

Khadgar chciał potwierdzać, ale Medivh nie czekał na jego odpowiedź, jakby nie mógł opanować potrzeby wyjaśniania.

– Zwój jest kluczem – powtórzył. – Na górze wiadomości zobaczysz cyfry, które wyglądają jak data. Ale nie są datą. To oznaczenie zwrotki, linijki i słowa, od którego zaczynasz. Pierwsza litera tego słowa staje się pierwszą literą alfabetu w tym kodzie. Potem już wszystko idzie normalnie, litera, która występuje w alfabecie po tej nowej pierwszej, jest nową drugą i tak dalej.

– Rozumiem.

– Nie, wcale nie – zaoponował Medivh ponownie, teraz zaczerwieniony i zmęczony. – To klucz tylko dla pierwszego zdania. Gdy trafiasz na kropkę, druga litera w słowie, które wskazała ci niby-data, przeradza się w pierwszą literę alfabetu. Ona staje się odpowiednikiem pierwszej litery alfabetu w szyfrze dla tego zdania. Interpunkcja jest normalna. Liczby też, ale oni mają zapisywać je słownie, nie używać cyfr. Jest coś jeszcze, ale nie mogę sobie przypomnieć.

Znaleźli się przed drzwiami osobistej komnaty Medivha. Morios już tam czekał, z szatą przewieszoną przez ramię i zakrytą misą spoczywającą na kunsztownie zdobionej tacy. Khadgar z daleka czuł aromat bulionu unoszący się znad miski.

– Co mam zrobić, kiedy już rozszyfruję wiadomość? – spytał Khadgar.

– Racja! – powiedział Medivh, jakby w jego głowie właśnie zatrzasnęło się jakieś fundamentalne połączenie. – Zwlekaj. Najpierw zwlekaj. Dzień albo dwa, może uda mi się do tej pory wstać. Potem odpowiadaj wymijająco. Wyjechałem w ważnych sprawach, mogę wrócić w każdej chwili. Użyj tego samego szyfru, który otrzymałeś, ale upewnij się, że wpiszesz odpowiednią datę. Jeśli wszystko zawiedzie, spróbuj przekazać zadanie komuś innemu. Powiedz posłańcowi, aby sam ocenił powagę sytuacji, a ja udzielę takiej pomocy, jakiej zdołam i jak najszybciej. Uwielbiają to. Nie mów, że jestem niedysponowany; kiedy ostatnio wymknęło mi się coś takiego, zjawiła się cała horda niedoszłych kapłanów, aby zadbać o moje potrzeby i stan zdrowia. Od tamtej wizyty wciąż nie mogę się doliczyć srebrnych sztućców.

Medivh nabrał głęboko powietrza, a jednak wyglądał tak, jakby ono z niego uchodziło, dla równowagi cały czas trzymał się futryny.

Morios ani drgnął, za to Khadgar zrobił krok w stronę nauczyciela.

– Walka z demonem – zaczął. – Była trudna, nieprawdaż?

– Walczyłem z gorszymi. Demony! Brutale o garbatych grzbietach i rogatych łbach. Zrobione pół na pół z cienia i ognia. Bardziej zwierzęta niż ludzie, a żółci mają więcej niż jedni i drudzy razem wzięci. Paskudne pazury. Na to należy uważać, na te ich szpony.

Khadgar pokiwał głową.

– Jak udało ci się go pokonać?

– Potężny uraz zwykle uwalnia życiową esencję – powiedział Medivh. – W tym wypadku pozbawiłem go głowy.

Khadgar zamrugał zaskoczony.

– Nie miałeś miecza.

Medivh uśmiechnął się słabo.

– Czy powiedziałem, że miecz był mi potrzebny? Wystarczy. Następne pytania, gdy będę miał na nie siłę – uciął i przekroczył próg komnaty, a zawsze wierny Morios zamknął drzwi przed nosem Khadgara. Ostatnim dźwiękiem, jaki młodzieniec usłyszał, było stęknięcie starego człowieka, który wreszcie znalazł miejsce do odpoczynku.

Minął tydzień, a Medivh nie wyłonił się ze swych komnat. Morios codziennie wchodził po schodach z miską bulionu. W końcu Khadgar zebrał w sobie tyle odwagi, by zajrzeć za wchodzącym do komnaty sługą. Kasztelan nie próbował mu przeszkodzić, mruknął tylko na znak, że zauważył młodzieńca.

Odpoczywający Medivh wyglądał strasznie. Zniknął blask oczu ukrytych pod powiekami, twarz pozbawiona była wszelkich oznak życia. Odziany w długą nocną koszulę, półsiedział, półleżał oparty o zagłówek i poduszki. Usta miał rozchylone, ciało chude i noszące wszelkie oznaki wycieńczenia. Po ruchliwym magu nie pozostał ślad.

Morios ostrożnie wlewał rosół do rozchylonych ust, a Medivh przełykał, ale poza tym się nie budził. Kasztelan zmieniał pościel i wracał do swego pana dopiero następnego dnia.

Khadgara dźgnęło skojarzenie i zaczął zastanawiać się, czy tak samo to

wyglądało, gdy po raz pierwszy objawiła się moc Medivha i gdy Lothar opiekował się przyjacielem. Khadgar nie potrafił nawet odgadnąć, ile czasu mag będzie nieprzytomny. Jak dużo energii kosztowała go walka z demonem?

Do wieży docierała zwyczajna korespondencja, listy pisane zwykłą dłonią, zrozumiałym językiem. Niektóre przynosili jeźdźcy gryfów, inne konni, a więcej niż kilka przybyło z wozami dostarczającymi zaopatrzenie do spiżarni Moriosa. Większość z nich zawierała zupełnie przyziemne treści – ruchy statków i wojsk. Raporty o gotowości. Czasem odkrycie jakiegoś starożytnego grobowca lub zapomnianego artefaktu, a czasem zagubionej w czasie legendy. Opisy zaobserwowanej trąby wodnej, wielkiego morskiego żółwia albo karmazynowego przypływu. Obrazki zwierząt, które obserwatorowi mogły wydawać się nieznane i widziane po raz pierwszy, tymczasem w bestiariuszach w bibliotece widniały ich daleko lepsze wizerunki.

I wieści o oddziałach orków, ich rosnącej liczbie, szczególnie na wschodzie. Coraz częściej donoszono o tym, że widziano orków w okolicach Czarnych Mokradeł, o wzmocnionej straży karawan, o lokalizacjach tymczasowych obozów. Powtarzały się raporty o napaściach, rabunkach i tajemniczych zniknięciach. Pisano o coraz liczniejszych uchodźcach szukających schronienia za murami miast i miasteczek. Pojawiały się wykonane przez ocalałych szkice przedstawiające stwory o niskich czołach i wielkich szczękach, w tym dokładny opis potężnego układu mięśniowego, który, jak uświadomił sobie Khadgar, mógł powstać jedynie po rozkrojeniu obiektu badań.

Khadgar zaczął czytać śpiącemu magowi jego korespondencję, wybierając co ciekawsze lub zabawniejsze fragmenty. Medivh nie reagował w żaden sposób, nie dał znaku, że podoba mu się to, co robi jego uczeń, ale też w żaden sposób tego nie zabronił.

Kiedy nadszedł pierwszy list z fioletową pieczęcią, Khadgar natychmiast stracił głowę i się pogubił. Kilka słów miało sens, reszta tworzyła bezsensowny bełkot. Początkowo młody mag wpadł w panikę, pewien, że nie zrozumiał instrukcji udzielanych przez Medivha. Po całym dniu zaśmiecania komnat notatkami z nieudanych prób Khadgar uświadomił sobie, że przerwa między wyrazami była w szyfrze traktowana jako kolejna litera, w rezultacie wszystkie

inne litery przesuwały się w zaszyfrowanym alfabecie o jedno miejsce. Gdy Khadgar to zrozumiał, szybko odszyfrował wiadomość.

Okazała się daleko mniej imponująca niż wtedy, gdy zaszyfrowane słowa tworzyły bełkot. Była to krótka notka z dalekiego południa, z półwyspu Ulmat Thondr, informująca, że wszystko w porządku, ani śladu orków (choć ostatnio zwiększyła się liczba dżunglowych trolli), za to nad południowym horyzontem pojawiła się nowa kometa, którą opisano szczegółowo (słownie, nie cyframi). List nie wymagał żadnej odpowiedzi, więc Khadgar odłożył go na bok wraz ze swoim tłumaczeniem.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego Zakon nie wykorzystywał magicznego kodowania lub pisma opartego na zaklęciach. Może nie wszyscy członkowie Zakonu Tirisfal byli czarodziejami? A może próbowali ukryć się przed innymi magami, takimi jak Guzbah, a użycie magicznego pisma sprawiłoby, że inni magowie zlecieliby się jak pszczoły do nektaru? Najpewniej, jak uznał Khadgar, była to po prostu złośliwość Medivha, który zmusił innych członków Zakonu do wykorzystania jako klucza poematu sławiącego jego matkę.

Od Lothara przyszła spora przesyłka. Wojownik zebrał wszystkie raporty o napotkanych orkach i potyczkach z nimi, po czym zobrazował je na mapie. Istotnie, wyglądało to tak, jakby armie orków wylewały się z Czarnych Mokradeł. I tym razem nadawca nie prosił o odpowiedź. Khadgar rozważał wysłanie Lotharowi informacji o stanie zdrowia Medivha, ale odstąpił od tego pomysłu. Bo cóż mógłby zrobić czempion w tej sytuacji? Tylko się martwić. Odpisał jednak Lotharowi we własnym imieniu, dziękując za informacje o orkach i prosząc o kolejne.

Minął drugi tydzień i zaczął się trzeci, a w wieży nic się nie zmieniło. Medivh trwał w śpiączce, a uczeń szukał. Uzbrojony w odpowiedni klucz, Khadgar zaczął przeglądać starsze listy, niektóre nadal zamknięte kroplami fioletowego wosku. Przeglądając korespondencję, Khadgar zaczął rozumieć ambiwalentne uczucia Medivha względem jego braci z Zakonu. Listy magów były często słabo zawoalowanymi żądaniami zaklęcia czy konkretnej informacji lub wezwaniami do natychmiastowego przybycia, bo krowy nie chcą jeść albo ich mleko skwaśniało. Nawet zgrabniej ułożone listy zwykle kryły w sobie jakiś

haczyk – prośbę o pożądane zaklęcie lub zaginiony tom, owiniętą w kwieciste pochlebstwa. Inne zawierały drobiazgowe sugestie, ze szczegółami informujące Medivha, dlaczego ten lub inny kandydat byłby doskonałym uczniem (jak zauważył Khadgar, te zwykle pozostawały zapieczętowane). Niezliczone donosiły o braku wydarzeń godnych zaraportowania, braku zmian godnych zaraportowania lub o tym, że nie wydarzyło się absolutnie nic niezwykłego.

Te przestały przychodzić ostatnimi czasy (nie były datowane, ale Khadgar zaczął układać je chronologiczne, kierując się stopniem zżółknięcia pergaminu oraz coraz bardziej gorączkowym tonem wyrażania żądań i rad). Wraz z nagłym pojawieniem się orków ton listów stawał się coraz bardziej pojednawczy, szczególnie gdy stwory zaczęły napadać na karawany. Jednak mniej lub bardziej zawoalowane żądania, by Medivh poświęcił swój czas, stały się jeszcze częstsze.

Khadgar patrzył na starego mężczyznę w pościeli i zastanawiał się, co skłaniało go do pomagania tym ludziom, i to regularnie.

Osobną kategorię tworzyły listy o tajemniczej treści: jakieś podziękowanie, odniesienia do jakiegoś tajemnego tekstu, odpowiedzi na nieznane pytania: „tak”, „nie” i „oczywiście temu”. W czasie gdy Khadgar pełnił swoją wartę przy łożu Medivha, przybył jeden tajemniczy list, bez podpisu. Brzmiał on: „Przygotuj kwatery. Wkrótce przybędzie emisariusz”.

Pod koniec trzeciego tygodnia wraz z wędrującym kupcem nadeszły dwa listy, jeden z fioletową pieczęcią, drugi ze zwykłą, czerwoną, adresowany do samego Khadgara. Oba pochodziły z Purpurowej Cytadeli Kirin Toru.

List do Khadgara, skreślony wątłą i drżącą dłonią, zaczynał się słowami:

„Z przykrością zawiadamiamy o nagłej i niespodziewanej śmierci maga nauczyciela – Guzbaha. Jak wnosimy, korespondowałeś z zeszłym tragicznie magiem i wyrażamy współczucie w tej smutnej chwili. Jeśli jesteś w posiadaniu korespondencji, pieniędzy lub informacji, które miałeś przesłać Guzbahowi, lub też jakiejkolwiek jego własności (szczególnie wypożyczonych od niego ksiąg), docenilibyśmy zwrot każdego z powyższych na poniższy adres”.

Na dole listu znajdował się szereg liczb i leniwy, nieczytelny podpis.

Khadgar miał wrażenie, jakby ktoś uderzył go prosto w brzuch. Guzbah nie

żyje? Odwrócił kartkę, ale nie znalazł już żadnych dodatkowych informacji. Otępiały sięgnął po list z fioletową pieczęcią. Napisano go tym samym pismem, lecz zawierał dodatkowe treści. Guzbah został znaleziony zamordowany w bibliotece, w wigilię Święta Skrybów, podczas czytania rozprawy Denbrawna traktującej o *Pieśni o Egwinie* (Khadgar poczuł ukłucie winy, że ostatecznie nie przysłał swojemu dawnemu nauczycielowi kopii poematu). Najwyraźniej został zaskoczony przez bestię (najpewniej przyzwaną), która rozerwała go na strzępy. Śmierć była szybka, lecz bolesna, a sprawozdanie, jak wyglądało ciało po znalezieniu, było szczegółowe aż do przesady. Z opisu ciała i zniszczeń w bibliotece Khadgar wywnioskował, że „przyzwana bestia" była demonem tego samego gatunku co przeciwnik Medivha z Wichrogrodu.

Dalsza część listu pisana była w zimny, analityczny sposób, który Khadgar uznał za przesadzony. Piszący zauważył, że była to siódma śmierć maga z Purpurowej Cytadeli w przeciągu roku, włączając w to arcymaga Arrexisa. Dalej zauważał, że był to pierwszy wypadek tego rodzaju, gdy ofiara nie była członkiem Zakonu. Piszący chciał wiedzieć, czy Medivh kontaktował się z Guzbahem bezpośrednio czy też przez swojego ucznia (Khadgar poczuł się dziwnie, widząc swoje własne imię w liście). Nieznany autor spekulował dalej, że skoro Guzbah nie był członkiem Zakonu, mógł być odpowiedzialny za wezwanie bestii z innych powodów, a jeśli tak było, Medivh powinien mieć świadomość, że Khadgar przez pewien czas był uczniem Guzbaha.

Khadgarem szarpnął nagły gniew. Jak ten tajemniczy nadawca (musiał to być ktoś wysoko postawiony w hierarchii Kirin Toru, ale Khadgar nie miał pojęcia kto) śmiał oskarżać Guzbaha i samego Khadgara?! Przecież Khadgar nie był nawet obecny przy śmierci Guzbaha! Może to właśnie ów nadawca był odpowiedzialny, albo ktoś taki jak Korrigan – bibliotekarz badał przecież wyznawców demonów. No żeby w taki sposób rzucać oskarżenia!

Khadgar pokręcił głową i odetchnął głęboko. Nie, tego typu spekulacje nie miały sensu, brały się po prostu z osobistego oburzenia Khadgara, z jego zranionej dumy, z tego samego wynikała znaczna część polityki Kirin Toru. Gniew rozwiał się i ustąpił miejsca smutkowi, Khadgar uświadomił sobie, że potężni magowie z Purpurowej Cytadeli nie byli w stanie zapobiec śmierci

siedmiu ze swych konfratrów (z których sześciu było członkami tego ponoć tajemnego i wpływowego zakonu), a nadawca listu mógł tylko rzucać oszczerstwa w rozpaczliwej nadziei, że nikt więcej nie zginie. Khadgar wrócił myślą do szybkich i zdecydowanych działań Medivha w Twierdzy Wichrogród. Zdało mu się zdumiewające, że w społeczności magów nie znalazł się nikt dorównujący Medivhowi błyskotliwością, zdecydowaniem i inteligencją.

Młody mag podniósł zaszyfrowany list i ponownie przyjrzał mu się w blasku świecy. Święto Skrybów miało miejsce półtora miesiąca wcześniej. Tyle czasu trzeba było, by wiadomość przepłynęła morze i dotarła do wieży. Półtora miesiąca. Zanim jeszcze Huglar i Hugarin zginęli w Wichrogrodzie. Jeśli zamieszany był w to ten sam demon albo ten sam przywoływacz, musiał bardzo szybko poruszać się między dwoma punktami. Khadgar pamiętał, że w wizji o Egwinie pojawiły się skrzydlate demony. Czy możliwe, by taka bestia przeleciała między dwoma miejscami i nikt jej nie zauważył?

Przez komnatę przemknął zabłąkany i całkowicie nieoczekiwany powiew. Khadgar poczuł, że włoski na karku stają mu dęba, i podniósł wzrok na czas, by zauważyć postać materializującą się w pomieszczeniu.

Najpierw zobaczył dym, czerwony jak krew, wypływał, jakby wrząc, z maleńkiej dziurki w materii wszechświata. Warkocz dymu skręcał się i zwijał, tworzył szybko skłębiony i kipiący obłok, z którego wyszła straszliwa postać wielkiego demona.

Był mniejszy niż wówczas, gdy ujrzał go Khadgar na śnieżnej równinie w zagubionej w czasie wizji. Musiał pomniejszyć swe gabaryty, by zmieścić się w ograniczonej przestrzeni komnaty. Ciało jego nadal składało się z brązu, okryte zbroją czarną jak najczarniejsze żelazo, a broda i włosy z ożywionego ognia, nad potężną brwią zaś zakręcały w górę gigantyczne rogi. Nie miał broni, ale i żadna nie zdawała się mu potrzebna, w każdym jego ruchu była pewność i gracja drapieżnika, który nie boi się niczego.

Sargeras.

Osłupienie odebrało Khadgarowi zdolność mowy i ruchu. Zaklęcia ochronne, które Medivh nałożył na swą siedzibę, powinny zatrzymać tego potwora. A jednak był tutaj, wszedł do wieży i dalej – do osobistych komnat

maga. Wszedł tak łatwo, jak szlachcic wkracza do chłopskiej chaty.

Pan Płonącego Legionu nie rozglądał się po komnacie, ruszył prosto do stóp łóżka. Stał tam przez dłuższą chwilę, a płomienie jego brody i włosów migotały bezgłośnie, podczas gdy demon wpatrywał się w nieruchomą postać maga.

Khadgar powstrzymał oddech i obrzucił gorączkowym spojrzeniem stół, przy którym pracował. Kilka ksiąg, świeca w świeczniku z lustrem odbijającym światło płomienia. Nożyk do listów używany do łamania fioletowych pieczęci. Młody mag sięgnął powoli po nożyk, ostrożnie, by nie przyciągnąć uwagi demona. Jego palce zamknęły się na rękojeści, tak mocno, że kłykcie mu pobielały.

Sargeras nadal stał u stóp łóżka. Khadgar próbował się zmusić do wykonania jakiegokolwiek ruchu – do ucieczki czy ataku. Ale był jak sparaliżowany.

Medivh poruszył się na łóżku i zamruczał coś niezrozumiałego. Władca demonów podniósł powoli dłoń, jakby chciał wypowiedzieć błogosławieństwo nad nieruchomym magiem. Ze zdławionym okrzykiem Khadgar zerwał się z fotela, z nożykiem do listów w dłoni. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że trzyma ów nożyk w niewłaściwej ręce.

Demon podniósł oczy na młodzieńca, a był to powolny, płynny ruch, jakby potwór spał albo znajdował się pod wodą. Spojrzał na szarżującego młodzika, na niezdarny atak krótkim, ostrym sztyletem. I uśmiechnął się. Medivh znów się poruszył, mamrocząc cicho. A Khadgar przebił nożykiem pierś demona.

Na wylot. Pęd ciosu poniósł Khadgara do przodu, przez niematerialnego Sargerasa, na przeciwległą ścianę. Młodzieniec nie zdołał się zatrzymać, rąbnął w ścianę z rozpędu, nożyk zabrzęczał na kamieniach posadzki.

Medivh gwałtownie otworzył oczy i usiadł.

– Morios? Khadgar? Jesteście tutaj?

Khadgar dźwignął się z ziemi i rozejrzał dookoła. Demon znikł, pękł niczym bańka mydlana przebita stalowym ostrzem. W komnacie pozostał jedynie Khadgar z Medivhem.

– Co robisz na podłodze, chłopcze? – zdziwił się Strażnik. – Morios mógł przynieść ci siennik.

– Panie, twoje zaklęcia ochronne! – wykrzyknął Khadgar. – Zawiodły. Był

tu… – zawahał się na chwilę, nie wiedząc, czy powinien wyjawić, że wie, jak wygląda sam władca demonów. Taka wiedza nie umknęłaby uwadze Medivha, który tak długo przepytywałby swego ucznia, aż ten wyjawiłby, jak wszedł w jej posiadanie. – Demon – wydusił Khadgar. – Był tu demon.

Medivh uśmiechnął się. Wyglądał na wypoczętego, kolory powróciły mu na twarz.

– Demon? Nie sądzę. Zaczekaj. – Mag zamknął oczy i pokiwał głową. – Nie, zaklęcia są wciąż na swoim miejscu. Żeby straciły moc, potrzeba więcej niż tylko drzemki. Co widziałeś?

Khadgar szybko opisał pojawienie się demona w chmurze kipiącego czerwonego dymu, to, jak stał przy łożu Medivha, jak uniósł dłoń. Strażnik potrząsnął głową.

– Sądzę, że była to kolejna twoja wizja – powiedział w końcu. – Jakiś obluzowany fragment czasu, który wpadł do wieży, a potem szybko został stąd wygnany.

– Ale demon… – zaczął Khadgar.

– Demon, którego opisałeś, już nie istnieje, przynajmniej w tym życiu – przerwał mu Medivh. – Został zabity jeszcze przed moim narodzeniem i pogrzebany głęboko pod morzem. Widziałeś Sargerasa z *Pieśni o Egwinie*. Masz tu zwoje. Odszyfrowywałeś wiadomości? Tak? Może to przyzwało do moich komnat tego zagubionego w czasie upiora. Nie powinieneś tu pracować, kiedy spałem. – Zmarszczył lekko brwi, jakby podejmował decyzję, czy złościć się z tego powodu, czy jednak nie.

– Przepraszam, myślałem… myślałem, że lepiej będzie nie zostawiać cię samego? – Khadgar powiedział to pytającym tonem, co zabrzmiało niemądrze.

Medivh zaśmiał się w odpowiedzi.

– Cóż, nie powiedziałem ci, że nie wolno tego robić, a nie sądzę, by Morios cię powstrzymał, zwłaszcza że dzięki temu sam nie musi tu siedzieć. – Wygładził wąsy nad górną wargą i przegarnął brodę palcami. – Chyba mam dość rosołu na całe życie. A żebyś miał pewność, sprawdzę magiczne zabezpieczenia wieży. I pokażę ci, jak to robić. A poza tym czy oprócz wizji demonów podczas mojej nieobecności coś się wydarzyło?

Khadgar streścił otrzymaną korespondencję. Przybierająca na sile fala wydarzeń związanych z orkami. Mapa Lothara. Tajemnicza wiadomość o wysłanniku. I wieści o śmierci Guzbaha.

Medivh chrząknął, słysząc opis zejścia swego konfratra.

– Czyli będą zrzucać winę na Guzbaha, aż kolejny biedny głupiec zostanie wypatroszony. – Potrząsnął głową, po czym dodał: – Święto Skrybów. To jeszcze przed śmiercią Huglara i Hugarina.

– Jakieś półtora tygodnia – odpowiedział Khadgar. – Wystarczająco dużo czasu, by demon przeleciał z Dalaranu do Wichrogrodu.

– Albo człowiek na grzbiecie gryfa – podsunął Medivh. – W tym świecie są nie tylko demony i magia. Czasem odpowiedź jest bardzo prosta. Coś jeszcze?

– Wygląda na to, że orkowie stają się coraz bardziej liczni i niebezpieczni – powiedział Khadgar. – Lothar mówi, że przeszły od napaści na karawany do ataków na osady. Na razie małe, ale w efekcie do Wichrogrodu i innych miast przez cały czas przybywają uciekinierzy.

– Lothar za bardzo się martwi – skrzywił się Medivh.

– Jest zatroskany – odparł Khadgar beznamiętnie. – Nie wie, czego się spodziewać.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedział Medivh z ponurym westchnieniem. – Jeśli wszystko, co mi powiedziałeś, jest prawdą, obawiam się, że wszystko idzie dokładnie tak, jak przewidywałem!

Rozdział 10

Emisariusz

Medivh wyzdrowiał i wszystko wróciło do normalności – na tyle, na ile życie w otoczeniu maga można było nazwać normalnym. Wyjeżdżając, Strażnik instruował swego ucznia, jak młodzieniec ma szlifować i doskonalić swe magiczne umiejętności, a gdy Medivh rezydował w wieży, młody mag miał na zawołanie prezentować to, czego się nauczył.

Khadgar szybko przyzwyczaił się i dostosował do oczekiwań swego mentora, miał takie wrażenie, jakby jego moc była zestawem ubrań, o jakieś dwa rozmiary za dużym, do których dopiero teraz zaczął dorastać. Kontrolował ogień, umiał przywołać błyskawicę z bezchmurnego nieba i siłą woli sprawiać, by małe przedmioty tańczyły na stole, jak sobie tego życzył. Nauczył się także innych zaklęć – umiał powiedzieć, kiedy i jak zginął człowiek, na podstawie pojedynczej kostki z jego szczątków. Skłonić mgłę, by podniosła się znad ziemi. Zostawiać innym magiczne wiadomości. Przywracać utracone lata przedmiotom nieożywionym, na przykład odnawiając stare krzesło. I na odwrót: odebrać całą młodość świeżo wyciosanej maczudze, która stawała się zakurzona i krucha. Poznał naturę zaklęć ochronnych i powierzono mu utrzymywanie ich w dobrym stanie. Nauczył się wiele o rodzaju demonów, choć Medivh nie zezwolił na przyzywanie żadnego z nich w swojej wieży. Zresztą Khadgar wcale nie miał ochoty łamać tego zakazu.

Medivh wyjeżdżał często, a to na kilka godzin, a to na kilka dni. Zawsze pozostawiał instrukcje, ale nigdy nie udzielał wyjaśnień. Po powrocie wyglądał na bardziej wychudzonego i zmęczonego. Testował Khadgara, by ocenić, jak uczeń opanował zadane umiejętności, oraz przepytywał z treści korespondencji,

która nadeszła w czasie jego nieobecności. Nie zapadł jednak już ani razu w przypominający śpiączkę sen i Khadgar doszedł do wniosku, że to, co robił jego mistrz, w żaden sposób nie wiązało się z demonami.

Pewnego wieczora, który Khadgar spędzał w bibliotece, usłyszał hałasy na dziedzińcu i w okolicy stajni. Krzyki, wezwania, odpowiedzi, a wszystko ciche i niewyraźne. Gdy dotarł do okna wychodzącego na tę część dziedzińca, ujrzał tylko grupę jeźdźców znikających za murem.

Khadgar zmarszczył brwi. Czy to jacyś ludzie przybyli o coś prosić i zostali odprawieni przez Moriosa? Czy też posłańcy ze złymi wieściami dla jego pana? Khadgar zszedł na dół, by się tego dowiedzieć.

Przybysza widział przez ułamek chwili – mignięcie czarnego płaszcza znikającego w pokoju gościnnym na jednym z niższych poziomów wieży. Był tam Morios ze świecą w dłoni i klapkami na swoim miejscu, a gdy Khadgar zszedł ostrożnie po kilku ostatnich stopniach, usłyszał, jak kasztelan mówi:

– …ci, co byli przed tobą, nie zachowali ostrożności. Już ich nie ma.

Odpowiedzi przybysza, jeśli jej w ogóle udzielił, Khadgar nie usłyszał, a gdy się zbliżył, Morios zamknął za przybyszem drzwi.

– Gość? – spytał Khadgar, zerkając ciekawie ponad ramieniem kasztelana, ale zobaczył jedynie zamknięte drzwi.

– Uhm – odpowiedział kasztelan.

– Mag czy kupiec? – dociekał młodzieniec.

– Nie wiem – Morios już sunął korytarzem. – Nie pytałem. Emisariusz nie mówił.

– Emisariusz – powtórzył Khadgar, przypomniał sobie jeden z tajemniczych listów, który przyszedł podczas śpiączki Medivha. – W takim razie to sprawa polityczna. Do mistrza.

– Tak sądzę – zaświszczał Morios. – Nie pytałem. Nie powinienem.

– Czyli to do mistrza – powtórzył Khadgar.

– Tak sądzę – potwierdził Morios z identycznie senną intonacją. – Będziemy mieli wiedzieć, to powiedzą. – I z tymi słowy odszedł, pozostawiając Khadgara wpatrzonego w zamknięte drzwi.

Następnego dnia w atmosferze czuło się obecność nowej osoby w wieży,

nowego ciała niebieskiego, którego grawitacja zmieniła orbity wszystkich innych. Nowa planeta sprawiła, że Kucharka wyciągnęła z kredensu większe patelnie, a Morios szurał po korytarzach w porach jeszcze bardziej przypadkowych niż dotychczas. Nawet sam Medivh nakazywał Khadgarowi załatwienie rozmaitych spraw, a gdy młodzieniec odchodził, słyszał za plecami szelest ciężkiego płaszcza na kamiennej posadzce.

Medivh sam z siebie o niczym nie wspomniał, a Khadgar czekał, aż nauczyciel mu wszystko powie. Rzucał sugestie. Czekał cierpliwie. Niestety, zamiast wyjaśnień doczekał się polecenia, by iść do biblioteki, kontynuować naukę i ćwiczyć zaklęcia. Khadgar zszedł do połowy poziomu kręconych schodów, zatrzymał się i cofnął. Ujrzał czarny płaszcz znikający za progiem laboratorium Medivha.

Khadgar zszedł po schodach, tupiąc ciężko. Próbował odgadnąć, kim był ów tajemniczy emisariusz. Szpiegiem Lothara? Jakimś tajnym członkiem Zakonu? Może jednym z członków Kirin Toru? Może tym, który słał listy skreślone drżącą dłonią i wypełnione jadowitymi teoriami? A może chodziło o coś całkowicie innego? Khadgara frustrował brak informacji w temacie, a brak zaufania ze strony maga jeszcze pogarszał sytuację.

– Będziemy mieli wiedzieć, to powiedzą – burknął, z hałasem wkraczając do biblioteki. Jego notatki i zapiski leżały na stołach, tam, gdzie je pozostawił. Spojrzał na nie i na schemat zaklęcia przywołującego wizje. Od czasu ostatniej próby wprowadził kilka poprawek, mając nadzieję na czasowe ulepszenie zaklęcia.

Khadgar uśmiechnął się do siebie. Potem zabrał flakoniki ze sproszkowanymi kamieniami i zszedł na dół. Chciał, by więcej pięter dzieliło go od komnaty audiencyjnej Medivha, udał się zatem do jednej z dawno opuszczonych jadalni.

Dwa piętra niżej wystarczało jak na jego potrzeby. Wybrał komnatę o kształcie elipsy, z kamiennym kominkiem na każdym z krańców. Wielki stół przeniesiono i wykorzystywano gdzie indziej, a wiekowe krzesła umieszczono wzdłuż ściany obok jedynego wejścia. Podłoga z białego marmuru była stara i popękana, lecz dzięki niestrudzonej pracowitości Moriosa nadal czysta.

Khadgar usypał magiczny krąg z ametystu i różowego kwarcu, uśmiechając się od ucha do ucha. Teraz wierzył już w swoje umiejętności zaklinania i nie potrzebował ceremonialnych szat czarodzieja na szczęście. Gdy usypał wzory ochronne, uśmiechnął się ponownie. Zaczął już kształtować zaklęcie w swoim umyśle, przywołując odpowiednie odcienie i typy magii, tworząc z nich wymagane kształty, trzymając ich energię pod kontrolą, póki nie stały się potrzebne.

Wszedł do wnętrza kręgu, wypowiedział właściwe słowa, wykonał harmonijnie odpowiednie gesty i uwolnił energię z wnętrza umysłu. Coś połączyło się w jego umyśle i duszy i Khadgar uwolnił zaklęcie.

– Pokaż mi, co się dzieje w komnatach Medivha – rozkazał, czując przy tym wewnętrzne drgnienie. Miał tylko nadzieję, że zaklęcia ochronne Strażnika nie odnosiły się do jego ucznia.

Od razu wiedział, że coś poszło nie tak. Nie był to jakiś wielki błąd, który mógłby spowodować implozję magicznych matryc, ale drobny niewypał. Być może jednak zaklęcia ochronne Medivha zadziałały przeciwko Khadgarowi i skierowały jego czar, ku innej wizji.

Khadgar zorientował się natychmiast. Po pierwsze, było jasno. Po drugie – ciepło. Przynajmniej miejsce wydawało się znajome.

Khadgar nigdy tam nie był, nie dokładnie, nie w tej konkretnej wieży, ale nie miał wątpliwości, że miasto, które widział w dole, to Wichrogród. Znajdował się w jednej z wyższych wież, a komnata przypominała tę, w której miesiąc wcześniej dwóch członków Zakonu Tirisfal pożegnało się z życiem, okna były jednak większe i otwierały się na biały krenelaż wieńczący mury. Ciepły, wonny wietrzyk poruszał niemal przezroczystymi draperiami. Wokół komnaty na złocistych kręgach siedziały wielobarwne ptaki.

Khadgar widział przed sobą nieduży stolik zastawiony białymi porcelanowymi talerzami ze złotym obramowaniem, przy których ułożono złote sztućce. W kryształowych miseczkach leżały owoce – świeże i ponętne. Na drobnych ziarenkach truskawek wciąż jeszcze lśniły kropelki rosy. Na ten widok Khadgar poczuł, że burczy mu w brzuchu.

Wokół stołu kręcił się szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy i szerokim

czole, z wąskim wąsikiem i elegancką kozią bródką. Na ramionach miał haftowaną i przeszywaną narzutę, która, jak uświadomił sobie Khadgar, musiała być szlafrokiem, w talii przytrzymywał ją złoty pas. Mężczyzna dotknął jednego z widelców, przesunął go o część włosa w bok i z satysfakcją pokiwał głową. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do Khadgara.

– Ach, już nie śpisz – powiedział i jego głos wydał się młodemu magowi znajomy.

Przez chwilę Khadgar myślał, że postać z wizji może go widzieć, ale nie, mężczyzna zwracał się do kogoś stojącego za nim. Młodzieniec odwrócił się i ujrzał Egwinę, równie młodą i piękną co w pierwszej wizji. (A może to ta była chronologicznie wcześniejsza? Czy jednak późniejsza? Khadgar nie potrafił tego ocenić po wyglądzie Egwiny). Miała na sobie białą pelerynę z zieloną podszewką, ale ta uszyta została z jedwabiu, a nie futra. Nie nosiła też wysokich butów, lecz proste sandały. Ale jasne włosy, tak jak na śnieżnym polu, podtrzymywał srebrny diadem.

– Zadałeś sobie wiele trudu – powiedziała. Khadgar nie potrafił niczego wyczytać w jej twarzy.

– Wszystko jest możliwe, gdy ma się wystarczająco potężne pragnienie i magię – odpowiedział mężczyzna i wyciągnął ku niej dłoń, odwróconą wnętrzem do góry. Unosił się nad nią biały kwiat orchidei.

Egwina wzięła kwiat, powąchała od niechcenia i odłożyła na stół.

– Nielasie… – zaczęła.

– Najpierw śniadanie – przerwał jej Nielas. – Popatrz lepiej, co królewski mistrz przywołań może wyczarować z samego rana. Te owoce zebrano w królewskich ogrodach nie dalej niż godzinę temu…

– Nielasie – spróbowała raz jeszcze.

– Dalej zaś plastry szynki z masłem i syrop – kontynuował mag.

– Nielasie – powtórzyła po raz trzeci.

– To może kilka jajek vroki, ugotowanych na stole w skorupkach dzięki prostemu zaklęciu, jakie poznałem na wyspach…

– Odchodzę – oznajmiła.

Spochmurniał.

– Odchodzisz? Już? Przed śniadaniem? To znaczy, miałem nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać.

– Odchodzę. Mam swoje zadania i mało czasu na uprzejmości na drugi dzień.

Dworski czarodziej sprawiał wrażenie zmieszanego.

– Sądziłem, że po ostatniej nocy zechcesz na dłużej pozostać w zamku, w Wichrogrodzie. Myliłem się?

– Owszem. Po ostatniej nocy nie ma powodu, bym tu pozostała. Osiągnęłam to, po co tu przybyłam. Nie ma potrzeby, bym przedłużała swój pobyt.

Khadgar skrzywił się, gdy nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsca. Nic dziwnego, że głos maga wydawał mu się znajomy.

– Ale sądziłem… – wyjąkał Nielas, lecz Strażniczka tylko pokręciła głową.

– Nielasie Aranie, jesteś idiotą – stwierdziła po prostu. – Jesteś jednym z najpotężniejszych magów w Zakonie Tirisfal, a jednak wciąż jesteś idiotą. To zresztą wiele mówi o pozostałych jego członkach.

Nielas Aran żachnął się na te słowa. Chciał wyglądać na zirytowanego, ale sprawiał wrażenie nadąsanego.

– Zaraz, zaczekaj…

– Z pewnością nie sądziłeś, że to twój wrodzony urok sprowadził mnie do twej alkowy ani że twój dowcip i fantazja odciągnęły mnie od dyskusji na temat rytuałów przyzywania? Niewątpliwie zdajesz sobie sprawę, że nie mogłeś zaimponować mi swoją pozycją na dworze jak jakiejś wiejskiej mleczarce? I z pewnością musisz sobie uświadamiać, że uwodzenie działa w obie strony? Nie jesteś aż tak wielkim idiotą, prawda, Nielasie?

– Oczywiście, że nie – odparł szybko, wyraźnie dotknięty jej słowami, i to bardziej, niż chciałby przyznać. – Sądziłem tylko, że jak cywilizowani ludzie zjemy wspólne śniadanie.

Egwina uśmiechnęła się, a Khadgar zobaczył okrucieństwo w tym uśmiechu.

– Jestem równie stara co niejedna dynastia i dałam sobie spokój z zaspokajaniem dziewczęcych kaprysów już pod koniec pierwszego stulecia. Doskonale wiedziałam, co robię, gdy wczorajszego wieczora przyszłam do twoich komnat.

– Myślałem… – zaczął Nielas. – Ja tylko myślałem…

– Że ty, spośród wszystkich członków Zakonu, będziesz tym, który oczaruje i poskromi wielką, nieokiełznaną Strażniczkę? – dokończyła za niego, uśmiechając się coraz szerzej. – Że tobie się uda to, co nie udało się nikomu innemu, i nagniesz mnie do swojej woli dzięki swojemu urokowi, dowcipowi i sztuczkom? Zaprzęgniesz moc *Tirisfalen* do własnego rydwanu? Proszę cię, Nielasie Aranie. I tak straciłeś większość swego potencjału, proszę, nie mów mi, że życie na królewskim dworze całkowicie cię zepsuło. Pozwól mi choć trochę cię szanować.

– Skoro nie byłaś pod wrażeniem – Nielas, próbował poukładać sobie to, co mówiła Egwina – jeśli mnie nie chciałaś, to dlaczego my…

Dała mu odpowiedź.

– Przybyłam do Wichrogrodu po jedyną rzecz, której nie mogłam dać sobie sama. Po odpowiedniego ojca dla mojego dziedzica. Tak, Nielasie Aranie, możesz powiedzieć innym magom Zakonu, że udało ci się spędzić noc z wielką i potężną Strażniczką. Ale będziesz ich musiał też poinformować, że umożliwiłeś mi przekazanie mocy w taki sposób, by Zakon nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia.

– Umożliwiłem? – Powoli zaczynał uświadamiać sobie skutki swych działań. – Pewnie tak. Ale Zakonowi nie spodoba się, że…

– Że nimi manipuluję? Sprzeciwiam się? Oszukuję? – podpowiadała Egwina. – Nie, nie spodoba się. Ale nic w tej kwestii nie zrobią, obawiając się, że mogę jednak żywić do ciebie uczucie. Pociesz się tym, że ze wszystkich magów, mistrzów przywołań, zaklinaczy ty masz największy potencjał. Twoje nasienie ochroni i wzmocni moje dziecko i uczyni je naczyniem dla mej mocy. A gdy syn już się narodzi i gdy już odstawię go od piersi, ty właśnie będziesz go wychowywał, tutaj, ponieważ ja wiem, że on pójdzie w moje ślady, a nawet Zakon nie chciałby przepuścić możliwości, by jakoś na niego wpłynąć.

Nielas Aran potrząsnął głową.

– Ale ja… – Przerwał. – Ale ty… – Znów zamilkł. A gdy się odezwał, w jego oczach wreszcie płonął ogień, a w głosie dźwięczała stal. – Żegnaj, Egwino.

– Żegnaj, Nielasie Aranie – odpowiedziała. – Było… przyjemnie – powiedziawszy to, obróciła się na pięcie i wyszła z komnaty.

Nielas Aran, mistrz przywołań na dworze króla Wichrogrodu, jeden ze spiskowców tworzących Radę, czy jak niektórzy woleli – Zakon Tirisfal, a teraz jeszcze przyszły ojciec strażnika Medivha, usiadł przy idealnie zastawionym stole. Podniósł złoty widelec i zaczął go obracać w palcach. W końcu z westchnieniem upuścił go na ziemię.

Wizja zblakła, nim widelec uderzył o podłogę, a Khadgar usłyszał inny dźwięk. Szurnięcie buta na zimnym kamieniu, gdzieś z tyłu. Szelest płaszcza. Khadgar nie był sam.

Odwrócił się, ale dojrzał tylko mignięcie czarnego płaszcza, co tylko pogłębiło frustrację młodzieńca. Emisariusz go szpiegował. Jakby mało było tego, że Khadgar zostawał odprawiany za każdym razem, gdy Medivh spotykał się z przybyszem. A teraz tajemniczy wysłannik chodził sobie swobodnie po wieży i szpiegował Khadgara!

Młody mag poderwał się i ruszył biegiem. Gdy dotarł do wyjścia, emisariusza nie było już widać, ale Khadgar usłyszał szelest tkaniny na stopniach poniżej, tam gdzie znajdowały się komnaty gościnne.

Khadgar rzucił się po schodach w dół. Spiralny układ stopni sprawi, że przybysz będzie trzymać się zewnętrznej krawędzi, gdzie były szersze. Ale Khadgar tyle razy zbiegał po tych schodach, że zręcznie przeskakiwał po dwa i trzy, trzymając się środka.

W połowie drogi na piętro, gdzie znajdowały się gościnne pokoje, Khadgar ujrzał na ścianie cień swojej ofiary. Gdy dotarł na dół, zamaskowana postać przechodziła pod łukiem, by zniknąć w korytarzu, gdzie mieściła się komnata gościnna. Gdy wysłannik zamknie za sobą drzwi, Khadgar straci okazję, miał tego świadomość. Zeskoczył z czterech ostatnich stopni i rzucił się do przodu, by chwycić postać za ramię. Jego dłoń zacisnęła się na materiale i twardych mięśniach. Obrócił swą zdobycz.

– Mistrz będzie chciał się dowiedzieć o twoim szpiegowaniu… – zaczął, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Płaszcz opadł, odsłaniając postać emisariusza.

Była odziana w skórzany strój podróżny, wysokie sznurowane buty, czarne

spodnie i czarną jedwabną koszulę. Sylwetkę miała umięśnioną i Khadgar nie wątpił, że całą drogę do wieży jechała konno. Ale jej skóra była zielona! A spod kaptura wyłoniła się orcza twarz o sterczących kłach. Z gęstwiny hebanowych loków wystawały zielone uszy.

– Ork! – krzyknął Khadgar i zareagował odruchowo. Uniósł dłoń i wymruczał słowo mocy.

Przyzywał moc, by przeszyć ciało intruza magicznym pociskiem. Nie zdołał dokończyć. Gdy tylko otworzył usta, zielonoskóra kopnęła wysoko. Kolanem odtrąciła na bok wymierzoną w siebie dłoń. Jej ciężko obuta stopa trafiła Khadgara w policzek. Młodzieniec stracił równowagę.

Khadgar zatoczył się do tyłu. W ustach czuł krew. Pewnie przygryzł od wewnątrz policzek, gdy orczyca go kopnęła. Uniósł dłoń, ponownie szykując się do posłania pocisku w przeciwniczkę, lecz orczyca była szybka, szybsza niż zielonoskórzy wojownicy, z którymi Khadgar walczył wcześniej. Błyskawicznie skróciła dystans i uderzyła Khadgara pięścią w brzuch, wyrywając mu tym samym powietrze z piersi. Młodzieniec nie był w stanie skoncentrować się na tyle, by cisnąć zaklęcie.

Khadgar odsłonił zęby w grymasie wściekłości i na moment zrezygnował z magii na rzecz bardziej bezpośredniego podejścia. Wciąż czując ból po ciosie, jaki otrzymał, obrócił się bokiem, pochwycił orczycę za ramię i szarpnął, wytrącając ją z równowagi. Na jadeitowej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, ale zaraz orczyca stanęła mocno i przyciągnęła Khadgara do siebie, zręcznie wyswobodziła się z uścisku i sama pochwyciła maga.

Młodzieniec poczuł korzenny aromat, gdy znalazł się blisko niej. Ale w tej samej chwili orczyca wykorzystała ciężar swego ciała i cisnęła Khadgarem o podłogę. Poszorował po kamiennej posadzce, odbił się od ściany i w końcu legł na czyichś stopach.

Podniósłszy wzrok, Khadgar ujrzał kasztelana, który przyglądał się uczniowi maga z cieniem niepokoju na twarzy.

– Morios! – krzyknął Khadgar. – Wracaj! Wołaj mistrza! W wieży jest ork!

Morios nie poruszył się, lecz tylko spojrzał na orczycę oczyma osłoniętymi klapkami.

– Wszystko dobrze, emisariuszu?

Kobieta uśmiechnęła się z wyższością, ściągnęła wargi, odsłaniając zęby, i ponownie okryła się płaszczem.

– Nigdy nie czułam się lepiej. Potrzebowałam poćwiczyć. A szczeniak był uprzejmy mi pomóc.

– Morios! – parsknął Khadgar. – Ta kobieta jest…

– Emisariuszem. Gościem pana – powiedział Morios i dodał swym zwyczajnym tonem bez wyrazu: – Przyszedłem po ciebie. Mag chce cię widzieć.

Khadgar podniósł się i spojrzał ostro na wysłannika.

– Kiedy zobaczysz się z mistrzem, czy powiesz mu, że myszkujesz po kątach?

– On nie chce jej widzieć – poprawił Morios. – Chce widzieć ciebie.

– Ona jest orkiem! – powiedział Khadgar głośniej i ostrzej, niż zamierzał.

– Tak naprawdę to półorkiem – poprawił Medivh. Pochylał się nad stołem pochłonięty złotym astrolabium. – Zakładam, że w jej ojczyźnie są ludzie, albo prawie ludzie, a przynajmniej byli jeszcze niedawno. Podaj mi cyrkiel, uczniu.

– Próbowali cię zabić! – wykrzyknął Khadgar.

– Orkowie? Niektórzy próbowali, to prawda – zgodził się Medivh ze spokojem. – Niektórzy z orków próbowali mnie zabić. I ciebie także. Ale Garona do niech nie należała. Jest tu jako przedstawiciel swojego ludu. A przynajmniej jego części.

Garona. Czyli ta wiedźma ma imię, pomyślał Khadgar.

– Zostaliśmy zaatakowani przez orków – powtórzył z uporem. – Miałem wizję atakujących orków. Czytałem wieści z każdego niemal zakątka Wichrogrodu o napadach i atakach orków. Wszystkie dotyczące ich doniesienia mówią o okrucieństwie i brutalności. Do tego ich liczebność wydaje się rosnąć z każdym dniem. To niebezpieczna i dzika rasa.

– Zgaduję, że pokonała cię bez trudu – Medivh podniósł wzrok znad stołu.

Khadgar mimowolnie dotknął kącika ust, gdzie krew już prawie zaschła.

– To nie ma najmniejszego związku.

– Najmniejszego – powtórzył Medivh. – A do czego zmierzasz?

– Jest orkiem. Jest niebezpieczna. A ty pozwoliłeś jej swobodnie włóczyć się

po wieży.

Medivh chrząknął, a w jego głosie dźwięczała stal.

– Jest półorkiem. Jest równie niebezpieczna co ty, biorąc pod uwagę okoliczności i skłonności. I jest moim gościem, więc powinna być traktowana z całym szacunkiem należnym gościom. Oczekuję, że tak właśnie będziesz się do niej odnosił, Powierniku.

Khadgar milczał przez chwilę, po czym spróbował nowego podejścia.

– Jest emisariuszem.

– Tak.

– Czyim?

– Jednego lub więcej klanów zamieszkujących obecnie Czarne Mokradła. Jeszcze nie jestem pewien, których dokładnie. Tak daleko jeszcze nie doszliśmy.

Khadgar zamrugał ze zdziwienia.

– Wpuszczasz ją do naszej wieży, a ona nie ma nawet oficjalnego statusu?

Medivh odłożył cyrkiel na stół i westchnął ze zmęczeniem.

– Przedstawiła mi się jako przedstawiciel części orczych klanów, które obecnie atakują lud Wichrogrodu. Jeśli mamy rozwiązać tę kwestię inaczej niż ogniem i mieczem, ktoś musi zacząć rozmowy. To tak samo dobre miejsce do rozpoczęcia rozmów, jak każde inne. A tak przy okazji, to moja wieża, nie nasza. Jesteś moim uczniem, moim podopiecznym, i to zależnym od moich kaprysów. I od ciebie, jako mojego ucznia, oczekuję otwartego umysłu.

Zapadła cisza, gdy Khadgar próbował jakoś przetrawić to, co usłyszał.

– Kogo więc reprezentuje? Wszystkich orków, niektórych czy żadnych?

– Jak na razie reprezentuje samą siebie – sapnął zirytowany Medivh. – Nie wszyscy ludzie wierzą w to samo. Nie ma powodu, by z orkami było inaczej. Moje pytanie brzmi: dlaczego, biorąc pod uwagę twoją wrodzoną ciekawość, nie próbujesz wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji, zamiast mówić mi, że nie powinienem tego robić? Chyba że wątpisz we mnie i moje zdolności do poradzenia sobie z jednym półorkiem.

Khadgar umilkł, podwójnie zawstydzony z powodu tego, co zrobił, ale też i z powodu tego, czego nie zrobił – nie spojrzał na tę sytuację pod innym kątem. Czy wątpił w Medivha? Czy istniała możliwość, że mag podejmie działania

wbrew założeniom swego Zakonu? Khadgar miał w głowie prawdziwą gonitwę myśli, napędzaną jeszcze słowami Lothara. Wizją demona i polityką Zakonu. Chciał ostrzec nauczyciela, ale słowa zdawały się zwracać przeciwko niemu.

– Czasami się o ciebie martwię – przyznał w końcu.

– A ja martwię się o ciebie – odpowiedział z roztargnieniem mag. – Ostatnio martwię się o bardzo wiele rzeczy.

Khadgar spróbował po raz ostatni.

– Panie, sądzę, że ta Garona jest szpiegiem – powiedział otwarcie. – Sądzę, że przybyła tutaj, by dowiedzieć się jak najwięcej, co potem zostanie wykorzystane przeciwko tobie.

Medivh odchylił się i posłał młodzieńcowi wredny uśmiech.

– Przyganiał kocioł garnkowi, moje ty magątko. A może już zapomniałeś o liście rzeczy, które twoi mistrzowie z Kirin Toru kazali ci ze mnie wyciągnąć, gdy wysłali cię do Karazhanu?

Gdy Khadgar opuszczał komnatę, uszy mu płonęły.

Rozdział 11

Garona

Powrócił do swojej (to znaczy Medivha) biblioteki i odkrył, że orczyca przegląda jego notatki. Natychmiast poczuł wściekłość eksplodującą mu w piersi, lecz wspomnienie zadanych przez nią ciosów i przemowy Medivha sprawiły, że się opanował.

– Co robisz? – spytał ostro.

Palce Garony poderwały się z papierów.

– Myszkuję, tak to chyba nazwałeś? Szpieguję? – Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi. – Tak naprawdę to próbuję zrozumieć, co ty tu robisz. To wszystko leżało na wierzchu. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Oczywiście, że mi przeszkadza, pomyślał Khadgar, ale zatrzymał tę uwagę dla siebie.

– Lord Medivh nakazał mi, bym traktował cię z szacunkiem. Może się poczuć zirytowany, jeśli przy okazji pozwolę ci wysadzić się w powietrze podczas rzucania nieprzemyślanego zaklęcia.

Twarz Garony pozostała bez wyrazu, ale Khadgar zauważył, że orczyca nie dotykała już pozostawionych przez niego papierów.

– Nie interesuje mnie magia.

– Słynne ostatnie słowa – prychnął z ironią. – Czy mogę ci w czymś pomóc, czy też po prostu sobie myszkujesz i patrzysz, co z tego wyjdzie?

– Powiedziano mi, że masz tu poczet królów Wichrogrodu. Chciałabym coś w nim sprawdzić.

– Umiesz czytać? – spytał Khadgar. Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał. – Przepraszam. Chciałem powiedzieć…

– Tak, zaskakujące, ale umiem – odpowiedziała Garona szybko i zbyt grzecznie. – Przez te wszystkie lata zdobyłam wiele umiejętności.

Khadgar zmarszczył gniewnie brwi.

– Drugi rząd, czwarta półka od góry. To oprawiona na czerwono księga ze złotymi okuciami.

Garona znikła między regałami, a Khadgar wykorzystał tę okazję, by zebrać notatki ze stołu. Skoro dziwaczna emisariuszka miała możliwość swobodnego poruszania się po wieży, będzie musiał znaleźć na nie inne miejsce. Całe szczęście nie była to korespondencja Zakonu – nawet Medivh dostałby palpitacji, gdyby Khadgar dał Garonie *Pieśń o Egwinie*.

Jego spojrzenie odruchowo powędrowało w stronę półki, gdzie trzymał zwój. Chyba nie został naruszony, przynajmniej z tego, co Khadgar widział, nikt nie dotykał eposu. Nie ma powodu robić teraz sceny, ale pewnie i zwój trzeba będzie przenieść w bezpieczniejsze miejsce.

Garona powróciła z opasłym tomiskiem w dłoniach i uniosła brew w milczącym pytaniu.

– Tak, to ten – odpowiedział uczeń.

– Ludzkie języki są… trochę za bardzo zasobne w słowa – stwierdziła, układając księgę na pustym miejscu, gdzie wcześniej znajdowały się notatki Khadgara.

– Tylko dlatego, że zawsze mamy coś do powiedzenia. – Spróbował się uśmiechnąć. Ciekawe, czy orkowie mają książki. Czy w ogóle czytają? Oczywiście, byli wśród nich i władający magią, ale czy to znaczy, że zgromadzili jakąś rzetelną wiedzę?

– Mam nadzieję, że tam, w korytarzu, nie potraktowałam cię zbyt ostro. – Mówiła gładko, ale Khadgar był przekonany, że Garona wolałaby raczej zobaczyć, jak młodzieniec wypluwa ząb. Pewnie wśród orków to uchodziło za przeprosiny.

– Nigdy nie czułem się lepiej – odpowiedział Khadgar. – Potrzebowałem poćwiczyć.

Garona usiadła i zaczęła przeglądać księgę. Młodzieniec zauważył, że półorczyca czytając, poruszała ustami. I że od razu przeszła do ostatniej sekcji

księgi, do najświeższych uwag na temat panowania króla Llane'a.

Teraz, już nie w gorączce walki, Khadgar dostrzegał, że Garony nie można było uznać za typowego orka. Była smukła i dobrze umięśniona, w przeciwieństwie do przysadzistych osiłków, z którymi walczył na mokradłach. Skórę Garona miała gładszą, niemal ludzką, i jaśniejszą niż u jej pobratymców. Jej kły były mniejsze, a oczy odrobinę większe i bardziej wyraziste niż bezlitosne, szkarłatne ślepia wojowników tej rasy.

Zastanawiał się, ile cech jej wyglądu należało przypisać ludzkiemu pochodzeniu, a ile temu, że nie była zielonoskórym osiłkiem, tylko kobietą. Nurtowało go, czy jakiś ork, z którym walczył wcześniej, był płci żeńskiej – na pierwszy rzut oka nie dawało się tego rozpoznać, a Khadgar nie miał czasu sprawdzać.

Gdyby nie ta zielona skóra, usta zniekształcone wystającymi kłami, zachowanie pełne wyższości i wrogości – byłaby całkiem atrakcyjna. Teraz siedziała w jego bibliotece i przeglądała jego księgi (no cóż, w bibliotece Medivha i przeglądała księgi Medivha, lecz mag powierzył je właśnie opiece Khadgara).

– Czyli jesteś emisariuszem – odezwał się w końcu. Starał się mówić spokojnym, obojętnym niemal tonem. – Uprzedzono mnie o twoim przybyciu.

Garona pokiwała głową, koncentrując się na leżącym przed nią tekście.

– Kogo właściwie reprezentujesz?

Garona podniosła wzrok, a Khadgar ujrzał w jej oczach irytację.

Był zadowolony, że i on ją denerwuje, ale jednocześnie zastanawiał się, gdzie leży granica jej cierpliwości. Nie chciał naciskać na nią zbyt mocno, za szybko, żeby nie narazić się na kolejne lanie lub następną reprymendę swego nauczyciela.

Tym razem miał zamiar wyciągnąć z Garony jakieś informacje, zanim dojdzie do starcia.

– Chodzi mi o to – stwierdził – że skoro jesteś emisariuszem, to znaczy, że ktoś cię wysłał, ktoś daje ci rozkazy, pociąga za sznurki, komuś musisz się meldować i zdawać relację ze swoich działań. Kogo reprezentujesz?

– Jestem pewna, że twój pan, Stary Człowiek, powiedziałby ci, gdybyś go

o to zapytał – odpowiedziała uprzejmie, lecz jej spojrzenie pozostało twarde.

– Z pewnością – skłamał. – Gdybym był na tyle bezczelny, by go o to spytać. Miast tego pytam ciebie. Kogo reprezentujesz? Jakie uprawnienia posiadasz? Jesteś tu, by negocjować, żądać, a może coś innego?

Garona zamknęła księgę (oderwanie jej od tego zadania Khadgar uznał za niewielkie zwycięstwo) i spytała:

– Czy wszyscy ludzie myślą tak samo?

– Gdyby myśleli tak samo byłoby bardzo nudno.

– Chodziło mi o to, czy się ze sobą zgadzają pod każdym względem? Czy ludzie zawsze zgadzają się na to, czego chcą ich władcy albo wodzowie? – spytała ponownie Garona. Jej oczy złagodniały odrobinę.

– Raczej nie – odpowiedział Khadgar. – Jest tu tak wiele ksiąg między innymi dlatego, że każdy ma własną opinię na dany temat. A to tylko ci, którzy umieją pisać.

– Zrozum więc, że orkowie też miewają różne zdania. Horda składa się z klanów, każdy klan ma swojego wodza i przywódców watah na polu walki. Wszyscy orkowie przynależą do klanów i większość jest lojalna wobec swojego klanu i swojego wodza.

– Jakie są te klany? – zainteresował się Khadgar. – Jak się nazywają?

– Klan Łupieżców Burzy to jeden z nich. Klan Czarnej Skały. Klan Młota Zmierzchu. Klan Krwawiącego Oczodołu. To te największe.

– Brzmi to jak bardzo wojownicza gromada – skomentował Khadgar.

– Ojczyzna orków to surowe miejsce – odpowiedziała Garona – i przeżywają tylko najsilniejsi i najlepiej zorganizowani. Są tacy, jakimi uczyniła ich ta ziemia.

Khadgar pomyślał o jałowej krainie pod krwawym niebem, którą widział w swojej wizji. Czyli to właśnie była ojczyzna orków. Jałowe ziemie w innym wymiarze.

Ale jak orkowie trafili tutaj?

Spytał jednak tylko:

– A ty do jakiego klanu należysz?

Garona prychnęła, co zabrzmiało jak kichnięcie buldoga.

– Nie mam klanu.

– Powiedziałaś, że wszyscy z twojego ludu należą do jakiegoś klanu – przypomniał jej.

– Powiedziałam „wszyscy orkowie” – poprawiła Garona, a widząc pusty wzrok i całkowity brak zrozumienia Khadgara, uniosła rękę. – Popatrz na to. Co widzisz?

– Twoją dłoń.

– Ludzką czy orczą?

– Orczą – odparł od razu. Dla niego było to oczywiste. Zielona skóra, ostre, żółtawe paznokcie, kostki trochę za duże jak na człowieka.

– A ork powiedziałby, że to ludzka ręka. Zbyt wiotka, żeby była użyteczna, za mało mięśni, by utrzymać topór czy zmiażdżyć czaszkę jak należy. Zbyt blada, zbyt słaba i brzydka. – Garona opuściła dłoń i podniosła wzrok na młodego maga. – Widzisz te części mnie, które są orcze. Władcy orków i wszyscy pozostali orkowie widzą te części mnie, które są ludzkie. Jestem zarówno człowiekiem, jak i orkiem, a jednocześnie nie jestem ani tym, ani tym, gdyż obie strony uznają mnie za gorszą istotę.

Khadgar otworzył usta, by zaprotestować, ale przemyślał jej słowa i nic nie powiedział. Jego pierwszą reakcją był atak na orka, którego spotkał w korytarzu, a nie powitanie człowieka będącego gościem Medivha. Pokiwał więc głową ze zrozumieniem.

– Musi być ci trudno. Bez przynależności do klanu.

– Obróciłam to na swoją korzyść. Łatwiej mi poruszać się między klanami. Ponieważ jestem istotą gorszego gatunku, inni zakładają, że nie zawsze szukam przewagi. Wszyscy mną gardzą i nikt nie darzy sympatią, dlatego też nie jestem uprzedzona względem jakiegoś konkretnego klanu. Dla niektórych wodzów to pokrzepiające. Dzięki temu jestem lepszym negocjatorem i, nim sam to powiesz, lepszym szpiegiem. Ale lepiej nie być lojalnym wobec nikogo, niż być i tkwić w konflikcie z powodu swojej lojalności.

Khadgar pomyślał o potępieniu przez Medivha związków młodego maga z Kirin Torem.

– A który klan reprezentujesz w tej chwili?

Garona uśmiechnęła się sucho.

– Gdybym powiedziała, że Gizblaha Potężnego, co byś na to powiedział? A może wysłał mnie z misją Morgax Szary albo Hikapik Toczący Krew. Czy to powie ci wystarczająco dużo?

– Mogłoby.

– Nie mogłoby, ponieważ właśnie wymyśliłam wszystkie te imiona. A nazwa klanu, który mnie tu przysłał, znaczyłaby dla ciebie równie niewiele, przynajmniej na razie. Podobnie jak przyjaźń z królem Llane'em, o której mówi Stary Człowiek, nic nie znaczy dla naszych wodzów. Imię Lothar jest zaledwie tylko przekleństwem wykrzykiwanym przez chłopów, których napotykamy. Nim jeszcze zawrzemy pokój, nim nawet zaczniemy negocjacje, musimy dowiedzieć się o was więcej.

– I dlatego właśnie jesteś tutaj.

Garona westchnęła głęboko.

– I dlatego modlę się, byś pozostawił mnie w spokoju wystarczająco długo, bym pojęła, o czym właściwie mówi Stary Człowiek, kiedy rozmawiamy.

Khadgar umilkł na chwilę. Garona ponownie otworzyła księgę, przerzuciła kilka kart, by znów dotrzeć do miejsca, w którym przerwała.

– Oczywiście to dotyczy obu stron – stwierdził Khadgar, a Garona zamknęła księgę z westchnieniem irytacji. – To znaczy musimy zdobyć szerszą wiedzę o orkach, jeśli mamy robić coś więcej, niż tylko z nimi walczyć. Jeżeli poważnie mówisz o pokoju.

Garona spojrzała na Khadgara ze złością i przez moment obawiał się, że półorczyca przeskoczy przez stół i rzuci mu się do gardła. Miast tego nastawiła uszu.

– Czekaj! Co to?

Khadgar wyczuł to, nim jeszcze cokolwiek usłyszał. Nagła zmiana w powietrzu, jakby gdzieś w wieży otworzono okno. Podmuch unoszący kurz na korytarzu. Fala ciepła przepływająca przez wieżę.

– Coś jest… – zaczął mag.

– Słyszałam… – zaczęła Garona.

A wtedy Khadgar również coś usłyszał – zgrzytnięcie żelaznych pazurów na

kamieniu. Powietrze rozgrzało się nagle, a włosy na karku młodego maga stanęły dęba.

I do biblioteki wtoczył się potwór.

Składał się z ognia i cienia, skórę miał ciemną, rozjarzoną tu i ówdzie płomieniem, który palił się pod nią. Po obu stronach wilczego pyska wyrastała para baranich rogów, lśniących niczym wypolerowany heban. Stwór sprawiał wrażenie istoty chodzącej na dwóch nogach, ale teraz poruszał się na czterech, a długie szpony przednich łap zgrzytały o kamienną posadzkę.

– Co to… – wysyczała Garona.

– Demon – odpowiedział Khadgar zduszonym głosem, wstając, i odsunął się od stołu.

– Wasz służący powiedział, że zdarzają się tu wizje. Duchy. Czy to wizja? – Garona także się podniosła.

Khadgar chciał jej wyjaśnić, że nie, że wizje zwykle zmieniają wszystko wokół, że obserwator trafia do zupełnie innego miejsca, ale tylko pokręcił głową.

Bestia stała w drzwiach, węsząc w powietrzu. W jej oczach płonął ogień. Czy oznaczało to, że stwór jest ślepy i odnajduje ofiary po zapachu? A może odkrył właśnie nową woń, aromat przyprawy, której dotąd nie znał?

Khadgar spróbował zgromadzić energię z otoczenia, lecz jego serce drżało, a umysł pozostawał pusty. Bestia nadal węszyła, obracając się w miejscu, aż stanęła naprzeciwko maga i półorczycy.

– Idź do wieży – szepnął Khadgar do Garony. – Musimy ostrzec Medivha. – Kątem oka zobaczył, że Garona kiwa głową, ale nie spuszcza wzroku z bestii. Po jej długiej szyi spływała strużka potu. Kobieta przechyliła się lekko, przenosząc ciężar ciała na jedną nogę.

Ten ruch wystarczył. Wszystko wydarzyło się naraz. Nagle bestia przypadła do ziemi i skoczyła przez komnatę. Umysł Khadgara odzyskał sprawność i młodzieniec szybko i skutecznie zebrał w sobie energię. Z jego uniesionej dłoni wystrzelił magiczny pocisk i trafił w pierś demona. Energia przebiła tors monstrum i rozerwała mu grzbiet, rozbryzgując kawałki płonącego ciała. Potwór nawet nie zwolnił.

Wylądował na stole, rwąc pazurami twarde drewno. Odbił się od blatu i ruszył, tym razem na Khadgara. Młodzieniec skamieniał na ułamek chwili i tyle czasu potrzebował demon, by zamknąć dystans między nimi.

Coś złapało maga i szarpnęło w bok. Poczuł woń piżma i cynamonu i usłyszał gardłowe przekleństwo. Khadgar zniknął z drogi szarżującego demona. Bestia przepłynęła przez miejsce, gdzie chwilę temu znajdował się młodzieniec, i wrzasnęła. Na jej lewym boku pojawiło się długie rozdarcie, spływające ognistą krwią.

Garona wypuściła Khadgara z uchwytu (słabego, ludzkiego uchwytu, który jednak wystarczył, aby wycisnąć młodzieńcowi powietrze z płuc). W drugiej ręce trzymała sztylet o długim ostrzu, szkarłatny od pierwszej krwi. Khadgar nie miał pojęcia, gdzie chowała tę broń podczas ich pierwszej kłótni.

Demon wylądował, obrócił się i ruszył natychmiast do kolejnego niezgrabnego ataku. Wyciągnął żelazne szpony, a jego paszcza i oczy płonęły żywym ogniem. Khadgar uchylił się i wyprostował z ciężkim woluminem *Królewskich dynastii Wichrogrodu* w dłoniach. Uderzył opasłą księgą w łeb stwora, po czym znów się uchylił. Demon przemknął obok niego i wylądował przy drzwiach. Wydał z siebie ohydny odgłos, jakby się krztusił, i potrząsnął łbem, by zrzucić z rogów ciężki grimuar. Khadgar zauważył czerwoną linię płonącej krwi na prawym boku istoty. Garona uderzyła po raz drugi.

– Biegnij po Medivha! – krzyknął Khadgar. – Ja odciągnę go od drzwi!

– A jeśli będzie chciał mnie dopaść? – Po raz pierwszy w głosie Garony zadźwięczało przerażenie.

– Na pewno nie – stwierdził ponuro Khadgar. – To zabija magów.

– Ale ty…

– Idź już!

Młody mag ruszył się w prawo, a demon podążył za nim, dokładnie tak, jak się tego Khadgar obawiał. Garona jednak, zamiast wypaść na korytarz, skoczyła w prawo i zaczęła wspinać się na ostatni regał.

– Sprowadź Medivha! – krzyknął znów Khadgar, biegnąc wzdłuż rzędów książek.

– Nie ma czasu – odpowiedziała Garona, nie przerywając wspinaczki. –

Spróbuj zatrzymać go w którymś rzędzie.

Khadgar zawrócił na końcu jednego z długich rzędów półek. Demon już przeskoczył nad stołem i teraz parł naprzód między regałami, pośród dzieł historycznych i geograficznych. W cieniu półek płonące oczy i pysk stwora odznaczały się wyraźnie, tworząc lśniący relief. Z poranionych boków bestii unosił się gryzący dym.

Khadgar oczyścił umysł, zdusił strach i cisnął w demona kolejną magiczną strzałę. Kula ognia lub błyskawica byłyby bardziej skuteczne, lecz bestię otaczały księgi.

Pocisk trafił demona w pysk i odrzucił o krok. Monstrum zaryczało gardłowo i znów ruszyło do przodu.

Khadgar powtórzył atak niczym rytuał – oczyścić umysł, zwalczyć strach, unieść dłoń i wypowiedzieć słowo. Kolejny pocisk odbił się od hebanowych rogów. Tym razem przeciwnik zatrzymał się jedynie na ułamek chwili. Khadgar miał wrażenie, że demon krzywi się w płomienistym uśmiechu.

Po raz trzeci przywołał magiczną strzałę. Teraz stwór był blisko i pocisk uderzył go prosto w pysk, ale jedynie rozświetlił ten straszliwy uśmiech i nie uczynił potworowi żadnej krzywdy. Khadgar poczuł kwaśny odór płonącego ciała i usłyszał jakby trzaski głęboko w gardle bestii… śmiech?

– Przygotuj się do biegu! – krzyknęła Garona gdzieś z góry.

– Co ty… – Khadgar już się cofał.

– Już! – ryknęła Garona i pchnęła regał nogami.

Wspięła się na szczyt regałów, a teraz przewróciła je niczym olbrzymie kostki domina. Każdy kolejny regał z hukiem walił się na sąsiedni, sypiąc księgami i miażdżąc wszystko na swej drodze.

Ostatni uderzył o ścianę i popękał, a siła uderzenia wbiła go w posadzkę. Garona zsunęła się ze swej chybotliwej grzędy. Bezskutecznie próbowała dojrzeć cokolwiek w unoszących się kłębach kurzu.

– Khadgarze?

– Tutaj – odpowiedział jej, przyciśnięty do ściany na końcu komnaty, śmiertelnie blady nawet jak na człowieka.

– Dostaliśmy go? – Garona wciąż stała na ugiętych nogach, spodziewając

się kolejnego ataku.

Khadgar wskazał na krawędź czegoś, co jeszcze kilka chwil wcześniej było końcem regału. Teraz cały niższy poziom biblioteki pokrywały połamane półki i zniszczone księgi. Z rumowiska wystawało umięśnione, poranione ramię z gasnącego płomienia i zniekształconych cieni. Żelazne szpony już zaczynała pokrywać rdza, a ciepła krew tworzyła kałużę na podłodze.

Zbrojna w szpony dłoń znajdowała się zaledwie o stopę od miejsca, gdzie Khadgar przywarł plecami do ściany.

– Dostaliśmy go – stwierdziła Garona i wsunęła nóż do pochwy ukrytej pod koszulą.

– Powinnaś była mnie posłuchać – skarcił ją Khadgar, krztusząc się od kurzu. – Powinnaś pobiec po Medivha.

– Wypatroszyłby cię, zanim wbiegłabym na schody – odpowiedziała twardo. – A wtedy kto wyjaśniłby to wszystko Staremu Człowiekowi?

Khadgar pokiwał głową, a potem z namysłem zmarszczył czoło.

– Mistrz. Usłyszał to?

Garona pokiwała głową.

– Powinien był zejść. Zrobiliśmy wystarczająco dużo hałasu, by obudzić umarłego.

– Nie – powiedział Khadgar, ruszając w stronę wejścia do biblioteki. – A jeśli to był więcej niż tylko jeden demon? Chodźmy!

Garona bez zastanowienia dobyła swego noża i podążyła za człowiekiem.

Odnaleźli Medivha w laboratorium, przy tym samym stole, przy którym zostawił go Khadgar jakąś godzinę wcześniej. Teraz złote astrolabium, nad którym pracował, składało się z powykręcanych kawałków, a obok leżał żelazny młotek.

Gdy Khadgar wpadł do komnaty z Garoną depczącą mu po piętach, Medivh drgnął gwałtownie. Khadgar wręcz byłby gotów założyć, że nauczyciel przespał całe zamieszanie.

– Mistrzu! W wieży jest demon! – wypalił bez wstępów młodzieniec.

– Znowu demon? – spytał zmęczonym tonem Medivh, pocierając oko

grzbietem dłoni. – Za pierwszym razem też był demon. Ostatnio natomiast ork.

– Twój uczeń się nie myli – poparła młodzieńca Garona. – Byłam z nim w bibliotece, gdy nas zaatakował. Duży stwór, zwierzęcy, ale sprytny. Składał się z ognia i ciemności, a jego rany płonęły i dymiły.

– Prawdopodobnie była to tylko kolejna wizja – zbył ją Medivh i wrócił do pracy. Podniósł pokrzywiony kawał urządzenia, jakby widział go po raz pierwszy. – Tutaj to się zdarza, to znaczy wizje. Myślałem, że Morios cię uprzedził.

– To nie była wizja, mistrzu – zaoponował Khadgar. – Tylko demon taki jak ten, z którym walczyłeś w Twierdzy Wichrogród. Coś przedostało się przez zaklęcia zabezpieczające i nas zaatakowało.

Medivh podejrzliwie uniósł brwi.

– Coś znowu przeszło przez moje zabezpieczenia? To śmieszne. – Zamknął oczy i wykreślił w powietrzu symbol. – Nie. Wszystko normalnie. Żadne z zaklęć nie zostało naruszone. Jesteście tutaj. Kucharka jest w kuchni, a Morios w korytarzu przy bibliotece.

Khadgar i Garona wymienili spojrzenia.

– W takim razie powinieneś natychmiast pójść z nami, mistrzu – oznajmił Khadgar.

– Muszę? Mam zupełnie inne zmartwienia, co do tego nie ma wątpliwości.

– Chodź i sam zobacz – upierał się Khadgar.

– Sądzimy, że bestia nie żyje – stwierdziła Garona. – Ale nie chcemy stawiać na to życia twoich sług.

Medivh popatrzył na zniszczone astrolabium, potrząsnął głową i odłożył je na stół. Wydawał się zirytowany.

– Jak sobie życzycie. Uczniowie nie powinni sprawiać tylu kłopotów.

Gdy jednak dotarli do biblioteki, Morios już tam był, z miotłą i szufelką w ręku, i przyglądał się zniszczeniom. Sprawiał wrażenie trochę zagubionego.

– Gratulacje – stwierdził Medivh, głębokie linie przecięły mu czoło, gdy zmarszczył brwi. – Sądzę, że teraz panuje tu większy bałagan niż przed twoim przybyciem. Wtedy przynajmniej miałem półki. A gdzie ten rzekomy demon?

Khadgar podszedł do miejsca, gdzie wcześniej wystawało ramię

zmiażdżonego demona, ale teraz pozostał tam tylko jeden z regałów przyciśnięty do podłogi. Nawet krew zniknęła.

– Był tutaj – odezwała się Garona, najwyraźniej równie zaskoczona co Khadgar. – Wszedł do środka i zaatakował nas. – Chwyciła krawędź regału, próbując go unieść, lecz masywny dębowy mebel był dla niej zbyt ciężki. Garona zrezygnowała po chwili – Oboje go widzieliśmy.

– To była wizja – stwierdził surowo Medivh. – Czy Morios was przed nimi nie ostrzegał?

– Tak – potwierdził Morios. – Zrobiłem to. – Dla podkreślenia popukał opuszkami palców w klapki na oczy.

– Mistrzu, to coś nas zaatakowało – powtórzył Khadgar. – Zraniliśmy go zaklęciami. Emisariuszka raniła go dwukrotnie.

– Hmf – chrząknął mag. – Raczej zareagowaliście przesadnie i sami dokonaliście większości zniszczeń. Na stole są świeże zadrapania. To demon?

– Miał żelazne szpony – wyjaśnił Khadgar.

– A może to od twoich pocisków, które latały tu we wszystkie strony jak koraliki na targu w Wichrogrodzie? – Medivh potrząsnął głową.

– Czułam, jak mój nóż tnie coś twardego i skórzastego – wsparła Khadgara Garona.

– Zapewne książki – uciął Medivh. – Nie, gdyby w istocie był tu demon, jego ciało nadal by tutaj leżało. Chyba że ktoś je sprzątnął. Moriosie, masz może przypadkiem demona w koszu na śmieci?

– Raczej nie – odpowiedział sługa. – Mogę sprawdzić.

– Nie kłopocz się, ale zostaw swoje narzędzia pracy dla tej dwójki – polecił Medivh kasztelanowi. – Oczekuję, że się dogadacie. I z tą myślą polecam wam posprzątać bibliotekę. Młody Powierniku, okazałeś się jednak niegodny swego imienia i teraz musisz to nadrobić.

– Ale ja widziałam… – nie ustępowała Garona.

– Widziałaś widmo – przerwał Medivh tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zmarszczył brwi. – Widziałaś fragment jakiegoś innego miejsca. Nie uczyniłby ci krzywdy. Nigdy nie czyni. Twój przyjaciel – wskazał na Khadgara – ma w zwyczaju widzieć demony tam, gdzie ich nie ma. To mnie odrobinę niepokoi.

Może postarajcie się nie widzieć żadnego podczas sprzątania. I nie przeszkadzajcie mi, póki nie skończycie!

Powiedziawszy to, znikł. Morios położył miotłę i szufelkę na ziemi, po czym podążył za swym panem.

Khadgar popatrzył na zrujnowaną bibliotekę. Będą potrzebowali czegoś więcej niż tylko miotły. Regały zostały poprzewracane, a w kilku miejscach całkiem popękały, zaś księgi leżały rozrzucone dookoła, niektóre z połamanymi grzbietami i porwanymi okładkami. Czy to nie mogłaby być zagubiona w czasie wizja?

– To nie iluzja nas zaatakowała – stwierdziła ponuro Garona.

– Wiem – odpowiedział Khadgar.

– Więc dlaczego on tego nie pojmuje?

– Tego nie wiem. I niepokoi mnie możliwa odpowiedź.

Rozdział 12

Życie w czasach wojny

Uporządkowanie biblioteki zajęło tylko kilka dni. Księgi powypadały z półek, ale się nie pomieszały, nie trzeba więc było ponownie ich segregować. Rzadkim, magicznym lub zaklętym woluminom umieszczonym na galeryjce całe zamieszanie nie zaszkodziło. Trochę czasu zajęło jednak odbudowanie regałów, więc Garona i Khadgar zmienili puste stajnie w prowizoryczny warsztat stolarski, gdzie próbowali naprawiać (a czasem zastępować) zniszczone meble.

Po demonie nie pozostał żaden ślad, jeśli nie liczyć szkód, jakich narobił. Na stole pozostały żłobienia od pazurów, a kartki *Królewskich dynastii Wichrogrodu* były bardzo zniszczone i podarte, jakby poszarpane zębami. Nie było jednak ciała czy krwi, żadnych szczątków, które można by rzucić do stóp Medivhowi.

– Może ktoś go uratował – zasugerowała Garona.

– Był całkiem martwy, kiedy go opuszczaliśmy – sprzeciwił się Khadgar, akurat próbował sobie przypomnieć, czy umieszczał eposy na półce nad czy też pod epiką romantyczną.

– Coś zabrało ciało. Ta sama osoba, która ściągnęła tu demona, potem go zabrała.

– I krew także – przypomniał jej Khadgar.

– I krew także – powtórzyła. – Może to był schludny demon.

– Magia tak nie działa – oświadczył.

– Może nie twoja magia, nie magia, której się nauczyłeś. Inne ludy mogą używać magii w inny sposób. Starzy szamani wśród orków używają magii na swój sposób, a czarnoksiężnicy, którzy rzucają zaklęcia, na inny. Może to

zaklęcie, o którym nigdy nie słyszałeś.

– Nie – zaprzeczył Khadgar, nie bawiąc się w omówienia. – Pozostałby po nim jakiś ślad. Ślad osoby, która rzuciła to zaklęcie. Pozostałyby resztki energii, które mógłbym wychwycić, nawet jeśli nie umiałbym powiedzieć, co to za energia i co to za czar. Jedyni aktywni magowie w wieży to ja i mistrz. Użyłem swoich zaklęć, by to sprawdzić. I sprawdziłem zabezpieczenia. Medivh miał rację, wszystkie działają. Nikt nie powinien być w stanie dostać się do wieży, magicznie czy w inny sposób.

Garona wzruszyła ramionami.

– Ale w tej wieży dzieją się też różne inne dziwne rzeczy, zgadza się? Być może stare zasady tu nie obowiązują?

Khadgar też wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Jeśli tak jest, mamy większe kłopoty, niż sądziłem.

W miarę jak Khadgar z półorczycą przywracali bibliotekę do porządku, ich stosunki stawały się coraz lepsze. Kiedy Garona odzywała się do młodego maga zza stosów ksiąg, które ją przesłaniały, albo gdy stał odwrócony do niej plecami, był gotów uznać, że jej głos brzmi całkiem ludzko. Nadal jednak Garona nie zaufała Khadgarowi na tyle, by ujawnić przed nim, kogo reprezentuje. Zresztą i on pozostawał ostrożny. Starannie zapamiętywał wszelkie czynione przez nią nawiązania i odniesienia, a także pytania, jakie zadawała.

Próbował również na bieżąco śledzić, z kim się kontaktowała, nawet otoczył pokoje gościnne siecią własnych zaklęć wykrywania, by informowały go, kiedy opuszczała komnaty lub wysyłała wiadomości. Jeśli to robiła, to takimi metodami, że była w stanie oszukać zaklęcia Khadgara, co nie tylko wcale go nie uspokoiło, ale jeszcze bardziej zdenerwowało. Nie wiedział też, czy przekazywała komuś wiedzę, którą gromadziła, albowiem nawet jeśli coś robiła, to zachowywała to dla siebie.

Dotrzymała jednak słowa i zaczęła uzupełniać wiadomości Khadgara na temat orków. Młody mag zaczął powoli tworzyć sobie obraz orczej społeczności: ustalił, w jaki sposób orkowie decydowali, kto będzie nimi rządził (w oparciu o siłę i umiejętności wojowników), oraz jak wyglądały poszczególne klany. Garona, gdy już zaczęła mówić, bez wahania dzieliła się swymi opiniami

na temat poszczególnych klanów i ich przywódców, których miała za tępych osiłków, wypatrujących jedynie kolejnej bitwy. Kiedy opisywała naród orków, Hordę złożoną z licznych klanów, Khadgar szybko pojął, że wewnętrzna dynamika społeczności była w najlepszym przypadku zmienna.

Dużą częścią hordy był konserwatywny klan Krwawiącego Oczodołu – potężny, mający na swym koncie liczne podboje, który tracił na znaczeniu, w miarę jak starzejący się wódz Kilrogg Martwooki coraz mniej chętnie skłonny był ryzykować życiem swych braci w bitwie. Garona wyjaśniła, że z wiekiem orkowie stawali się bardziej pragmatyczni, co młodzi często mylnie brali za tchórzostwo. Kilrogg już zabił trzech swoich synów i dwóch wnuków, którzy sądzili, że potrafią rządzić lepiej.

Klan Czarnej Skały był, jak wynikało ze słów Garony, kolejną sporą częścią Hordy. Wódz tego klanu, Czarnoręki, udowodnił, że najlepiej nadaje się na stanowisko przywódcy, robiąc mokrą plamę z każdego pretendenta do tytułu. Część orków oddzieliła się od klanu Czarnej Skały. Powybijali sobie po zębie i założyli nowy klan – Czarnoszczerb. Czarujące nazwy.

Były jeszcze: klan Młota Zmierzchu, który radował się zniszczeniem; Płonącego Ostrza, który najwyraźniej nie miał przywódcy – zapewne pośród chaosu, jakim była Horda, ci orkowie stanowili grupę anarchistów. Garona wymieniła też pomniejsze klany, jak Łupieżców Burzy, którym przewodzili czarnoksiężnicy. Khadgar podejrzewał, że Garona podlegała komuś właśnie z klanu Łupieżców Burzy, choćby dlatego, że na ten klan narzekała stosunkowo mniej niż na pozostałe.

Khadgar notował, ile tylko mógł, a potem zgromadzone informacje wysyłał w raportach Lotharowi. Z różnych części Wichrogrodu nadchodziły wiadomości i zdawało się, że Horda wylewa się z Czarnych Mokradeł we wszystkich kierunkach. Rok temu istnienie orków uważane było za pogłoski lub bajki, teraz ich obecność stała się powszechna, a Twierdza Wichrogród mobilizowała się, by odeprzeć zagrożenie. Khadgar nie przekazywał coraz gorszych wieści Garonie, ale wszystko co zdołał zebrać, zamieszczał w swych raportach do czempiona Wichrogrodu, łącznie z opisami międzyklanowej rywalizacji i ulubionymi barwami poszczególnych grup (Czarne Skały na przykład z jakiegoś powodu

najbardziej lubiły kolor czerwony).

Khadgar próbował również i Medivhowi przekazać to, czego się dowiedział, lecz mag zupełnie nie wykazywał zainteresowania. Nawet jego rozmowy z Garoną miały miejsce znacznie rzadziej, nadto Khadgar kilka razy odkrył, że mistrz opuścił wieżę, nie informując o tym swego ucznia. Zresztą nawet gdy Medivh przebywał w wieży, pozostawał nieobecny i zdystansowany. Nieraz Khadgar znajdował go zagłębionego w jednym z foteli w obserwatorium, zapatrzonego w noc nad Azeroth. Medivh stał się jeszcze bardziej humorzasty, szybko zaczynał się sprzeciwiać i znacznie mniej chętnie wysłuchiwał argumentów strony przeciwnej.

Nie tylko Khadgar zauważył rosnące niezadowolenie mistrza. Kiedy Morios wychodził z komnat swego pana, rzucał Khadgarowi bolesne spojrzenie człowieka udręczonego. Nawet Garona podniosła tę kwestię, gdy wraz z Khadgarem przeglądali mapy znanego świata (zrobione przez wichrogrodzkich kartografów i przez to mocno niekompletne, nawet gdy przychodziło do ziem Lordaeronu).

– Czy on zawsze tak się zachowuje? – spytała wysłanniczka.

– Miewa swoje nastroje – odpowiedział po stoicku Khadgar.

– Tak, ale na początku, kiedy go poznałam, wydawał się ożywiony, zainteresowany i pozytywnie nastawiony do wszystkiego. Teraz zdaje się bardziej…

– Roztargniony?

– Ogłupiały. – Garona skrzywiła się z niesmakiem.

Khadgar nie mógł zaprotestować. Jeszcze tego samego wieczora przekazał swemu nauczycielowi plik przetłumaczonych listów, wszystkie oryginały opatrzone były fioletową pieczęcią i we wszystkich powtarzały się prośby o pomoc w walce z orkami.

– Orkowie to nie demony – burknął Medivh. – Są istotami z krwi i kości, wobec czego stanowią zmartwienie wojowników, nie magów.

– Wieści są naprawdę ponure – ośmielił się zauważyć Khadgar. – Wygląda na to, że mieszkańcy ziem znajdujących się na obrzeżach Czarnych Mokradeł porzucili swoje domostwa, a do Wichrogrodu i innych miast królestwa wciąż

napływają uciekinierzy. Ledwie sobie radzą.

– I dlatego liczą, że Strażnik ruszy im na pomoc. Już i tak muszę trzymać straż na granicach Wypaczonej Otchłani, by wypatrywać demonów, polować na skutki pomyłek i niedociągnięć tych amatorów. Teraz mam jeszcze ich ratować przed innymi ludami? Teraz będą jeszcze mnie prosić, bym wsparł Wichrogród w przypadku konfliktów handlowych z Lordaeronem? To nas w ogóle nie powinno obchodzić.

– Bez twojej pomocy Wichrogród może przestać istnieć. Lothar jest…

– Lothar jest głupcem – mruknął Medivh. – Starą kwoką, która wszędzie widzi zagrożenie. A Llane jest niewiele lepszy od niego, nie dostrzega niczego, co mogłoby przebić się przez jego mury. Zakon, ci wszyscy potężni magowie, tak się kłócili, brali za łby, opluwali nawzajem, że teraz nie mają mocy, by odpędzić nowego napastnika. Nie, Powierniku, to wszystko to sprawy drobne i nieistotne. Nawet jeśli orkowie zwyciężą, będą potrzebować Strażnika, i ja tu będę.

– Mistrzu, to…

– Świętokradztwo? Bluźnierstwo? Zdrada? – Mag westchnął i ścisnął nasadę nosa dwoma palcami. – Być może. Ale ja jestem człowiekiem, który zestarzał się przed czasem, i zapłaciłem wielką cenę za niechcianą moc. Pozwól mi buntować się przeciwko zegarom, które rządzą moim życiem. Teraz odejdź. Rano powrócimy do twych opowieści o nieszczęściach.

Zamykając drzwi, Khadgar usłyszał, jak Medivh dodaje:

– Jestem zmęczony martwieniem się o wszystko. Kiedy będę miał czas martwić się o siebie?

– Orkowie zaatakowali Wichrogród – oznajmił Khadgar trzy tygodnie później. Położył wiadomość na stole przed Garoną.

Patrzyła na list z czerwoną pieczęcią jak na jadowitego węża.

– Przykro mi – powiedziała w końcu. – Z zasady nie biorą jeńców.

– Tym razem zostali odparci – poinformował ją. – Oddziały Llane’a odepchnęły siły orków, zanim jeszcze te dotarły do bram. Z opisów wynika, że był to klan Krwawiącego Oczodołu, Kilrogga, i Młota Zmierzchu. Najwyraźniej ich wspólny atak był słabo skoordynowany.

Garona ni to chrząknęła, ni to prychnęła z dezaprobatą.

– Młoty Zmierzchu nigdy nie powinny być częścią oblężenia. Kilrogg najpewniej chciał zdziesiątkować rywala i wykorzystał Wichrogród, by przycisnąć tamten klan do muru.

– Czyli nawet podczas bitwy nadal walczą między sobą i zdradzają się nawzajem – podsumował Khadgar. Zastanawiał się, czy raporty, jakie przesyłał Lotharowi, dały ludziom informacje, dzięki którym mogli odeprzeć atak.

Wzruszyła ramionami.

– Zupełnie jak ludzie. – Wskazała na księgi piętrzące się na stole. – Wasza historia pełna jest nieustających usprawiedliwień dla najpodlejszych czynów. Pod sztandarem szlachectwa, walki o dziedzictwo bądź honor ukrywacie wszelkiego rodzaju ludobójstwo, skrytobójstwo i masakry. Orkowie przynajmniej są szczerzy w swej żądzy władzy. – Milczała przez chwilę, po czym dodała: – Nie sądzę, bym była w stanie im pomóc.

– Orkom czy Wichrogrodowi? – spytał Khadgar.

– Żadnej ze stron. Nie wiedziałam o żadnym ataku na Wichrogród, jeśli to właśnie sugerujesz, choć każdy z odrobiną rozumu w głowie domyśliłby się, że Horda wkrótce zaatakuje największy cel. Wiesz to z naszych rozmów. Wiesz również, że orkowie wycofają się, przegrupują, zabiją kilku wodzów i powrócą w liczniejsi.

– Domyślam się, tak.

– I już posłałeś list do czempiona Wichrogrodu, ostrzegając go przed takim rozwojem sytuacji.

Khadgar sądził, że jego twarz jest bez wyrazu, lecz wysłanniczka orków uśmiechnęła się szeroko.

– Tak, tak właśnie zrobiłeś.

Khadgar poczuł, że się rumieni, ale to zignorował.

– Właściwie to chciałem cię zapytać, dlaczego ty nie wysyłałaś raportów do swoich zwierzchników?

Garona odchyliła się w swym fotelu.

– A kto mówi, że tego nie robiłam?

– Ja – odparł Khadgar. – Chyba że jesteś lepszym magiem ode mnie.

Drgnienie ust zdradziło Garonę.

– W ogóle nie składałaś raportów, prawda? – upewnił się Khadgar.

Milczała przez chwilę, pozwolił więc, by cisza wypełniła bibliotekę.

– Powiedzmy, że mam pewien konflikt lojalności – powiedziała w końcu.

– Sądziłem, że wobec nikogo nie jesteś lojalna – przypomniał jej Khadgar.

Zignorowała tę uwagę.

– Zostałam przysłana tutaj na rozkaz czarnoksiężnika imieniem Gul'dan. Wodza klanu Łupieżców Burzy. O ogromnych wpływach w Hordzie. Bardzo zainteresowanego magami z waszego świata.

– A orkowie zwykle szybko atakują największe cele. Medivh – zrozumiał Khadgar.

– Gul'dan powiedział, że Medivh jest wyjątkowy. Jakie tajemne przepowiednie czy medytacje po ziołach doprowadziły go do takiego wniosku, nie wiem. – Garona unikała spojrzenia Khadgara. – Kilka razy spotkałam się z Medivhem w polu, a potem zgodziłam się przybyć do wieży jako emisariusz. Miałam wymieniać podstawowe informacje i donieść Gul'danowi jak najwięcej o mocnych stronach Medivha. Miałeś więc rację od samego początku, przybyłam tu jako szpieg.

Khadgar usiadł naprzeciwko niej.

– Nie byłabyś pierwszym – stwierdził. – Dlaczego więc nie donosiłaś, jak ci kazano?

Garona milczała przez chwilę.

– Medivh… – zaczęła, po czym przerwała. – Stary Człowiek… – znów przerwa. – Przejrzał mnie od razu, oczywiście, ale i tak powiedział to, co chciałam wiedzieć. A przynajmniej większość z tego.

– Wiem. Tak samo zrobił ze mną.

Pokiwała głową.

– Z początku sądziłam, że był zadufany w sobie, pewny swej siły, jak niektórzy z wodzów Hordy. Ale to było coś innego. Zupełnie jakby czuł, że może podzielić się ze mną wiedzą, której pragnęłam, bo wiedział, że ona mnie zmieni i nie zdradzę jego zaufania.

– Zaufanie – powtórzył Khadgar. – To dla Medivha bardzo ważna rzecz. On

promieniuje zaufaniem. Kiedy stoisz obok niego, masz wrażenie, że wie, co robi.

– Właśnie. Moc i potęga od zawsze przyciągają orków. Postanowiłam powiedzieć Gul'danowi, że zostałam uwięziona i nie byłam w stanie odpowiadać, i tak dowiedziałam się więcej, aż w końcu…

– Nie chciałaś, by stała mu się krzywda – dokończył Khadgar.

– Jak powiedziałby Morios: i owszem – odpowiedziała Garona. – On mi ufa, ufa też tobie. Bardzo. Po tym, jak zobaczyłam to twoje coś, tę wizję, powiedziałam mu o tym. Pomyślałam, że to ty mogłeś sprowadzić na nas demona. Powiedział, że wie o tym i nie ma nic przeciwko. Że ciekawość leży w twojej naturze i to tylko dla ciebie dobrze. Stoi po stronie swoich.

– A kogoś takiego nie można skrzywdzić – dodał Khadgar.

– I owszem. Sprawił, że poczułam się człowiekiem. A człowiekiem nie czułam się od bardzo dawna. Stary Człowiek, mag Medivh, on chyba marzy o świecie, który jest czymś więcej niż tylko polem bitwy różnych sił walczących o dominację. Ze swoją mocą mógłby zniszczyć nas wszystkich, a jednak tego nie robi. Sądzę, że wierzy w coś lepszego. Ja również chcę wierzyć w jego marzenie.

Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu. Gdzieś daleko ktoś, Kucharka albo Morios, szedł korytarzem.

– A ostatnio… – przerwała milczenie Garona. – Czy kiedykolwiek tak się zachowywał? Brzmiała zupełnie jak Lothar, pytała, starając się jednocześnie ukryć swą troskę. Khadgar pokręcił głową.

– Zawsze był zmienny. Zmienny. Ale nigdy nie widziałem, by był tak… przygnębiony.

– Ponury – dodała Garona. – Obojętny. Do tej chwili zawsze zakładałam, że będzie po stronie królestwa Wichrogrodu. Ale jeśli Wichrogród został zaatakowany, a on nadal nic nie robi…

– Może powodem jest jego szkolenie – Khadgar starannie dobierał słowa. Nie chciał ujawnić Garonie istnienia Zakonu, niezależnie od jej obecnych uczuć. – Patrzy na wszystko z naprawdę szerokiej i odległej perspektywy. Mam wrażenie, że to właśnie tworzy przepaść między nim a wszystkimi innymi.

– I chyba dlatego przygarnia przybłędy, jak sądzę – wysunęła przypuszczenie Garona. I znów zamilkła na chwilę. – Nie żałuję, że Wichrogród odparł napastników – dodała po namyśle. – Czegoś takiego nie niszczy się od zewnątrz. Najpierw trzeba działać od wewnątrz, aby osłabić mury.

– Cieszę się, że nie jesteś jednym z generałów na polu bitwy – stwierdził Khadgar.

– Wodzów – poprawiła go. – Jakbym w ogóle miała na to szansę.

– Jest coś jeszcze – zaczął i urwał. Garona pochyliła ku niemu swą głowę o ciężkiej szczęce.

– Brzmisz jak ktoś, kto prosi o przysługę – stwierdziła.

– Nigdy nie pytałem cię o siły wojsk ani o ich rozmieszczenie…

– O typowe szpiegowskie kwestie.

– Ale ludzie byli zdumieni tym, jak wielu orczych wojowników stanęło na polu bitwy. Odparli atak, ale byli zdziwieni, że Czarne Mokradła mogą pomieścić takie siły. Nawet teraz wichrogrodzcy dowódcy zastanawiają się, ilu jeszcze wojowników może kryć się na bagnach, i bardzo ich ta kwestia niepokoi.

– Nie wiem nic o rozmieszczeniu orczych wojsk – odpowiedziała Garona. – Przecież byłam tu i szpiegowałam was, nie pamiętasz?

– Pamiętam – przyznał Khadgar. – Ale wspominałaś o swojej ojczyźnie. Jak dostaliście się stamtąd tutaj? Przy pomocy jakiegoś zaklęcia?

Garona przez chwilę siedziała w milczeniu, jakby podejmowała w duchu jakąś trudną decyzję albo rozwiązywała problem. Khadgar spodziewał się, że usłyszy lakoniczny komentarz, że Garona spróbuje skierować rozmowę na inne tory albo odpowie pytaniem na pytanie.

– Nazywamy nasz świat Draenorem – powiedziała ku jego zaskoczeniu. – To surowy świat, pełen jałowej ziemi, urwisk i szczątkowej roślinności. Niegościnny i burzliwy…

– I ma czerwone niebo…

Garona spojrzała na młodego maga uważnie.

– Rozmawiałeś z innymi orkami? Może z jeńcami? Nie wiedziałam, że wzięli orków do niewoli.

– Nie, miałem wizję – wyjaśnił. Odniósł wrażenie, że to wszystko działo się dawno temu. – Bardzo podobną do tej, którą widziałaś, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Wtedy też po raz pierwszy widziałem orków. Pamiętam, że było ich bardzo, bardzo wielu.

Garona prychnęła.

– W twoich wizjach na pewno jest coś więcej, niż mówisz, ale ten obraz jest zgodny z prawdą. Orkowie są bardzo płodni, a duże mioty zdarzają się często, ponieważ tak wielu młodych ginie, zanim osiągnie wiek wojownika. Wiedliśmy ciężkie życie i tylko najsilniejsi, najmocniejsi i najbystrzejsi przeżywali. Ja należałam do tej trzeciej grupy, ale i tak byłam niemal wyrzutkiem, żyłam na obrzeżach klanu i dawałam sobie radę najlepiej, jak umiałam. To był klan Łupieżców Burzy, przynajmniej wtedy, gdy wydano rozkaz.

– Rozkaz?

– Kazano nam wyruszyć z naszych siedzib, każdemu wojownikowi i wszystkim orkom zdatnym do pracy. Robotnicy, rzemieślnicy i wojownicy, wszyscy mieli spakować broń, narzędzia i własność i ruszyć w stronę Półwyspu Piekielnego Ognia. Tam Gul’dan i inni potężni czarnoksiężnicy wybudowali olbrzymi portal. Portal łączący dwa światy.

Garona wróciła myślami do tamtych dni, bezwiednie ssąc wargę.

– Wielkie głazy ustawiono tak, by stały się ramą dla pęknięcia w samej fakturze przestrzeni. W głębi szczeliny barwy mroku wirowały niczym olej na powierzchni brudnej kałuży. Odniosłam wrażenie, że ktoś o wiele potężniejszy utworzył tę szczelinę, a czarnoksiężnicy tylko ją okiełznali. Nawet najtwardsi wojownicy obawiali się tego, co znajdowało się między kamiennymi filarami, ale wodzowie i czarnoksiężnicy wygłaszali żarliwe mowy, z pasją opisując, co czeka na orków po drugiej stronie. Świat pełen zasobów. Świat obfitości. Świat delikatnych istot, które z łatwością będzie można pokonać. Wszystko to miało należeć do orków. Nie wszystkich to przekonało. Opornych pozabijano albo zmuszano do przejścia, przyciskając im do pleców ostrza toporów. Mnie schwytano wraz z dużą grupą robotników i wepchnięto w szczelinę między filarami.

Garona opuściła głowę i zamilkła.

– Nazywa się to Wypaczona Otchłań, przejście trwało całą wieczność i ułamek chwili jednocześnie. Spadałam. Przez nieskończoność. A wydostałam się wprost w dziwne światło, byłam w nowym, szalonym święcie.

– Po tym, jak obiecano wam prawdziwy raj, Czarne Mokradła musiały okazać się sporym rozczarowaniem – zauważył Khadgar.

Garona pokręciła głową.

– To był potworny wstrząs. Pamiętam, jak cała dygotałam na widok niebieskiego, wrogiego nieba. I ta ziemia, pokryta roślinami jak okiem sięgnąć. Niektórzy nie mogli tego znieść i postradali zmysły. Wielu tego dnia dołączyło do klanu Płonącego Ostrza, orków chaosu zebranych pod sztandarem barwy płomieni. – Garona potarła mocny podbródek. – Bałam się, lecz przetrwałam. I odkryłam, że moje mieszane pochodzenie pozwala mi inaczej patrzeć na ludzi. Byłam częścią oddziału, który zorganizował zasadzkę i zaatakował Medivha. Mag zabił wszystkich, ale mnie pozostawił przy życiu i odesłał z wiadomością do Gul'dana. A po jakimś czasie Gul'dan posłał mnie jako szpiega, lecz okazało się, że mam… trudności… ze zdradzeniem tajemnic Starego Człowieka.

– Konflikt lojalności – skomentował Khadgar.

– Ale odpowiadając na twoje pytanie: nie, nie wiem, ile klanów przeszło przez Mroczny Portal z Draenoru. I nie wiem, ile czasu minie, nim ci orkowie dojdą do siebie. I nie wiem, skąd się wziął portal. Ale ty, Khadgarze, ty możesz się tego dowiedzieć.

Khadgar zamrugał zaskoczony.

– Ja?

– Twoje wizje – uściśliła Garona. – Najwyraźniej możesz przywołać duchy z odległej nawet przeszłości. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, widziałam, jak przywołujesz wizję matki Medivha. Byliśmy wtedy w Wichrogrodzie?

– Tak – odparł Khadgar. – I dlatego wciąż uważam, że demon w bibliotece był prawdziwy. Wizja przeniosłaby nas w inne otoczenie.

Garona zbyła jego słowa zniecierpliwionym machnięciem.

– Ale ty umiesz przywołać wizje. Możesz przywołać wizję tej chwili, gdy powstała szczelina między światami? Możesz dowiedzieć się, kto sprowadził orków na Azeroth?

– Tak – zgodził się Khadgar. – I założę się, że to ten sam mag czy czarnoksiężnik, który wypuszczał demony na ludzi, w tym na nas. Jedno i drugie zapewne jest ze sobą związane, to by miało sens. – Spojrzał na Garonę. – Wiesz, sam bym nie pomyślał, żeby zadać takie pytanie.

– Będę ci zapewniać pytania – obiecała Garona, wyraźnie bardzo zadowolona z siebie – jeśli obiecasz zapewniać odpowiedzi.

Ponownie znaleźli się w pustej jadalni. Niestrudzony Morios oczywiście zamiótł poprzedni magiczny krąg, więc Khadgar musiał ponownie wysypać wzór za pomocą różowego kwarcu i ametystu. Garona umieściła zapalone pochodnie w uchwytach na ścianach, po czym stanęła pośrodku wzoru, obok Khadgara.

– Uprzedzam – zwrócił się do niej – może nie zadziałać.

– Dobrze sobie poradzisz – uspokoiła go w odpowiedzi. – Już widziałam, jak to robisz.

– Coś pewnie wychwycę – powiedział Khadgar. – Nie wiem tylko co. – Wykonał należyte gesty i odpowiednią inkantację. Chciał, by wszystko poszło idealnie, ponieważ wszystkiemu przyglądała się Garona. W końcu uwolnił magiczną energię z klatki umysłu i wykrzyknął: – Pokaż mi, jak powstała szczelina między Draenorem i Azeroth!

Zmieniło się ciśnienie, sam ciężar powietrza, które ich otaczało. Nadal trwała ciepła noc, ale niebo za oknem (teraz pomieszczenie zyskało okna) miało barwę ciemnej czerwieni, niczym stara, zaschnięta krew, i tylko kilka iskier gwiazd odcinało się na jego tle.

Wizja zabrała ich do czyjejś kwatery, najpewniej któregoś z orczych przywódców. Podłogę i podwyższenie, które było niewątpliwie łóżkiem, przykrywały skóry i futra. W palenisku pośrodku pomieszczenia płonął ogień. Na kamiennych ścianach wisiała broń, a pod ścianami poustawiano szafki. Drzwiczki jednej były otwarte i widać było zakonserwowane fragmenty ciał, które mogły kiedyś należeć do ludzi, albo istot ludziopodobnych.

Postać na posłaniu poruszyła się, przewróciła gwałtownie na drugi bok, a potem nagle usiadła, jakby obudził ją jakiś koszmar. Ork wpatrzył się w ciemność, a Garona i Khadgar mogli zobaczyć wyraźnie jego pomarszczoną,

dziką twarz. Nawet jak na orcze standardy był wyjątkowo brzydki. Garona gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Gul’dan.

– Nie powinien cię widzieć – uspokoił ją Khadgar, skinąwszy głową.

To był więc ten czarnoksiężnik, który posłał Garonę na przeszpiegi. Wyglądał na równie godnego zaufania, co pogięta sztuka złota. Owinął się ciaśniej futrzanym okryciem.

– Nadal cię widzę – oznajmił. – Choć sądzę, że się obudziłem. Być może śnię, że się obudziłem. Zbliż się, istoto ze snów.

Garona chwyciła Khadgara za ramię i młodzieniec poczuł, jak ostre paznokcie zagłębiają się w jego ciało. Ale Gul’dan nie mówił do nich, nagle zobaczyli bowiem nowe widmo.

Duch był wysoki i barczysty, wzrostem przewyższał nie tylko Gul’dana, ale też Khadgara i Garonę. Na wpół przezroczysty, wyglądał jakby i on nie należał ciałem do tego miejsca. Twarz skrywał pod głębokim kapturem, a głos widma był świszczący i zdawał się dochodzić z daleka. Choć jedynym źródłem światła w komnacie było palenisko, zjawa rzucała dwa cienie. Jeden pełznął za jej plecami, rzucała go sylwetka przybysza oświetlona płomieniami paleniska, drugi zaś z boku, jakby jeszcze jedno źródło światła padało na wysoką sylwetkę.

– Gul’danie – odezwała się zjawa. – Chcę twego ludu. Chcę twojej armii. Chcę, byś wspomógł mnie swoją mocą.

– Wezwałem me duchy opiekuńcze, istoto – oznajmił Gul’dan, a Khadgar słyszał, jak głos orka drży. – Wezwałem moich czarnoksiężników, a oni truchleli przed tobą. Wezwałem mojego mistycznego mistrza, a on cię nie powstrzymał. Nawiedzasz moje sny, a teraz przybywasz, istoto ze snów, do mojego świata. Kim i czym naprawdę jesteś?

– Boisz się mnie – odpowiedziała mu zjawa, a dźwięk jej głosu sprawił, że Khadgarowi zimny dreszcz popełzł po grzbiecie – gdyż mnie nie rozumiesz. Zobacz mój świat i zrozum, czego się obawiasz. I już się nie bój.

Powiedziawszy to, wysoka, zakapturzona postać utworzyła kulę z powietrza, lekką i przezroczystą niczym bańka mydlana. We wnętrzu unoszącej się bańki, o średnicy blisko jednej stopy średnicy, widniał obraz krainy z błękitnym

niebem i zielonymi polami.

Zakapturzona postać ukazywała Gul’danowi Azeroth.

Widmo przywołało kolejną bańkę, a potem jeszcze jedną i jeszcze. Pola zbóż złocące się w blasku letniego słońca. Czarne Mokradła. Lśniące wieże Twierdzy Wichrogród.

I bańkę, w której pojawił się wizerunek samotnej wieży w kręgu wzgórz, oświetlonej blaskiem księżyca. Karazhan.

W powietrzu zjawiła się jeszcze jedna bańka, na chwilę jedynie, a w niej mroczny obraz morskiej głębiny. Wydawała się jak zbłąkana myśl, szybko odrzucona. A jednak Khadgar pochwycił wrażenie ogromnej potęgi. Pod falami był grób, krypta, która pulsowała mocą niczym wielkie serce. A potem zniknęła.

– Zbierz swoje siły – powiedziała zakapturzona zjawa. – Zbierz armie, wojowników, robotników i sojuszników i przygotuj ich do podróży przez Wypaczoną Otchłań. Przygotuj ich dobrze, a to wszystko będzie twoje, jeśli się wam powiedzie.

Khadgar potrząsnął głową. Głos gryzł go niczym uparty komar. Nagle młodzieniec uświadomił sobie, do kogo należy, i serce zamarło mu w piersi.

Gul’dan upadł na kolana ze złożonymi dłońmi.

– Zrobię, co każesz, gdyż twa moc jest zaiste olbrzymia. Ale kim naprawdę jesteś i jak dotrzemy do tego świata?

Postać uniosła dłoń do kaptura, a Khadgar mimowolnie pokręcił głową. Nie chciał tego widzieć. Wiedział, ale nie chciał zobaczyć na własne oczy.

Twarz pokryta głębokimi zmarszczkami. Siwiejące brwi. Zielone oczy, które migotały ukrytą wiedzą i nieokreśloną groźbą. Stojąca obok Garona znów gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Jestem Strażnikiem – powiedział Medivh orczemu czarnoksiężnikowi. – Otworzę wam drogę. Zniszczę cykl i będę wolny.

Rozdział 13

Drugi cień

– Nie! – krzyknął Khadgar i wizja rozwiała się w jednej chwili. Znów stał z Garoną w pustej sali jadalnej, pośrodku skomplikowanego wzoru ze sproszkowanych kamieni.

W uszach mu dzwoniło i miał wrażenie, że jego pole widzenia kurczy się nieustannie. Osunął się na kolana, ale nie wiedział nawet, że wykonał jakikolwiek ruch. Dochodzący z góry głos Garony wydał mu się przytłumiony, niemal zdławiony.

– Medivh – szepnęła. – Stary Człowiek. To niemożliwe.

– Możliwe. – Khadgar miał wrażenie, jakby w żołądku kłębiły mu się węże. W głowie miał gonitwę myśli. I choć rozpaczliwie chciał zaprzeczyć, to wiedział już, do jakiej konkluzji zmierzają.

– Nie – zaprotestowała ponuro Garona. – To jakaś pomyłka. Błąd. Fałszywa wizja. Szukaliśmy jednego, a znaleźliśmy coś innego. Mówiłeś, że to już się zdarzało.

– Nie w taki sposób – powiedział zrezygnowany Khadgar. – Może nie pokazano nam tego, co chcieliśmy, ale wizje zawsze pokazują prawdę.

– Może to tylko ostrzeżenie – upierała się.

– Wszystko, co widzieliśmy, ma sens – zauważył Khadgar, a w jego głosie brzmiało zwątpienie i żal. – Pomyśl. To dlatego zabezpieczenia nie zostały naruszone, gdy demon nas zaatakował. Ten, który go wezwał, znajdował się już wewnątrz chronionej strefy.

– To do niego nie pasuje – obstawała przy swoim Garona. – Być może to była iluzja, jakaś magiczna sztuczka. To do niego niepodobne.

– To był on. – Khadgar podniósł się z podłogi. – Znam głos mistrza. Znam jego twarz. Każdy jej wyraz.

– Ale to było zupełnie, jakby tę twarz nosił ktoś inny – podpowiedziała Garona. – Jakieś oszustwo. Jak ubranie czy zbroja, które założył ktoś inny.

Khadgar spojrzał na półorczycę. Głos jej drżał, a w kącikach szeroko otwartych oczu wzbierały łzy. Chciała w to uwierzyć. Naprawdę chciała uwierzyć.

Khadgar również chciał uwierzyć. Wolno skinął głową.

– To mogła być sztuczka. To nadal mógł być on. Mógł oszukać tego orka, przekonując go, aby przybył tutaj. Może to wizja przyszłości?

Teraz to Garona pokręciła przecząco głową.

– Nie. To był Gul’dan. Już tu jest. Przeprowadził nas wszystkich przez portal. Ta scena wydarzyła się w przeszłości, to było ich pierwsze spotkanie. Ale dlaczego Medivh miałby chcieć sprowadzić orków na Azeroth?

– To by tłumaczyło, dlaczego nie próbował powstrzymać ich inwazji. – Khadgar naprawdę nie chciał słuchać podszeptu własnej intuicji i próbował pozbyć się z głowy dręczących go myśli. Jednak tyle kwestii nagle nabrało sensu. Dziwne zniknięcia. Niewielkie zainteresowanie wzrastającą liczbą orków. Nawet sprowadzenie jednego z nich, półorka, do zamku.

Popatrzył na Garonę i zastanowił się, jak głęboko była wtajemniczona w spisek. Sprawiała wrażenie całkowicie zaskoczonej ich odkryciem, a jednak Khadgar nie przestawał zadawać sobie pytania, czy była konspiratorem, czy też kolejnym pionkiem w grze cieni, którą najwyraźniej prowadził Medivh?

– Musimy się tego dowiedzieć – stwierdził bez ogródek. – Musimy dowiedzieć się, czemu tam był i co robił. Jest Strażnikiem, nie możemy uznać jego winy na podstawie jednej wizji.

Garona wolno skinęła głową.

– Zatem spytamy go. Ale jak?

Khadgar otwierał właśnie usta, by odpowiedzieć, kiedy w komnacie rozległ się inny głos.

– Co to za rwetes? – spytał Medivh, wychodząc zza rogu.

Khadgar poczuł, że nagle gardło ma wyschnięte i zaciśnięte boleśnie.

Medivh stał w drzwiach, a Khadgar spoglądał na niego, szukając jakiejś zmiany, nieprawidłowości w jego sposobie poruszania się, wyglądzie, głosie. Czegoś, co mogłoby być podstawą do przypuszczeń, że kto inny podszywa się pod wielkiego maga. Niczego nie dostrzegł. To był Medivh.

– Dzieci, czym wy się zajmujecie? – spytał, marszcząc siwe brwi.

Khadgar walczył, by wykrztusić choć słowo. Garona go ubiegła.

– Twój uczeń pokazywał mi czar, nad którym pracował – wyjaśniła niepewnym głosem.

Medivh parsknął.

– Kolejna z twoich wizji, młody Powierniku? Jest ich tu dość i bez twoich wysiłków i przywoływania przeszłości. Wyjdźcie stąd, mamy dużo pracy. Podobnie jak ty, wysłanniczko. – Ton jego słów był spokojny i pełen wyrozumiałości, ale stanowczy. Tak dokładnie przemawiałby mądry mistrz. Khadgar zrobił krok do przodu, lecz Garona złapała go za ramię.

– Cienie – syknęła.

Khadgar zamrugał i jeszcze raz spojrzał na nauczyciela. Na twarzy Medivha odmalowało się zniecierpliwienie i dezaprobata. Stał przed nimi, barczysty, wysoki, prosty jak trzcina mimo ciężaru, jaki spoczywał na jego ramionach, ubrany w szaty, w których Khadgar często go widywał.

A za nim po podłodze pełzły dwa cienie. Jeden wyraźnie powołało do życia światło pochodni, ale był i drugi, równie ciemny, padający pod dziwnym kątem.

Khadgar zawahał się, a niezadowolenie Medivha przybrało na sile, na podobieństwo burzowego frontu.

– O co chodzi, Powierniku?

– Powinniśmy posprzątać ten bałagan. – Khadgar starał się, by zabrzmiało to spokojnie i naturalnie. – Nie chcemy, aby Morios pracował za ciężko. Dogonimy cię.

– Negocjacje nie należą do obowiązków ucznia – warknął Medivh. – A teraz chodźcie tu. Natychmiast.

Nikt nawet nie drgnął.

– Dlaczego on tu nie wejdzie? – spytała Garona.

Właśnie, dlaczego?, pomyślał Khadgar. Spytał jednak o coś innego.

– Mogę zadać pytanie, mistrzu?

– Co tym razem? – burknął mag.

– Czemu nawiedzałeś sny orka Gul’dana? – zapytał Khadgar i znów poczuł, jak coś chwyta go za gardło i ściska nieprzyjemnie. – Dlaczego pokazałeś orkom drogę do tego świata?

Medivh przeniósł wzrok na Garonę.

– Nie wiedziałem, że Gul’dan powiedział ci o mnie. Nie zrobił na mnie wrażenia tak niemądrego ani tak gadatliwego.

Garona chciała zrobić krok w tył, ale tym razem to Khadgar ją powstrzymał.

– Nie wiedziałam. Aż do teraz – odpowiedziała.

Medivh prychnął.

– To nie ma wielkiego znaczenia. A teraz chodźcie tu. Oboje.

– Dlaczego wskazałeś orkom drogę? – nie ustępował Khadgar.

– Nie próbuj pertraktować z lepszymi od ciebie! – warknął mag.

– Czemu sprowadziłeś orków na Azeroth? – spytał Khadgar po raz trzeci, tym razem błagalnym tonem.

– To nie twoja sprawa, dziecko. Podejdź tu! Ale już! – Posiniałą twarz maga wykrzywił paskudny grymas.

– Z całym szacunkiem, panie – mówił Khadgar, a każde z jego słów było jak dźgnięcie sztyletem – nie, nie podejdę.

– Smarkaczu, każę cię… – huknął rozgniewany Medivh, robiąc krok przez próg.

Sypnęło iskrami i blask oblał rozzłoszczonego maga. Medivh cofnął się chwiejnie, uniósł ręce i zaklął.

– Co…? – zaczęła Garona.

– Krąg ochronny – warknął Khadgar. – Aby trzymać z dala przyzwane demony. On nie może go przekroczyć.

– Ale jeśli to działa tylko na demony, to dlaczego on nie może przejść? Chyba że… – Garona spojrzała na Khadgara. – Nie. Czy krąg może go powstrzymać?

Khadgar pomyślał o źdźble trawy przerywającej krąg w wieży w Wichrogrodzie i energii rozkwitającej w przejściu. Pokręcił głową.

– Czy to właśnie uczyniłeś Huglarowi i Hugarinowi?! – krzyknął do Medivha. – A Guzbahowi? A pozostałym? Domyślili się wszystkiego?

– Byli znacznie dalej od prawdy niż ty, dziecko – powiedział skąpany w blasku mistrz przez zaciśnięte zęby – ale musiałem być ostrożny. Wybaczałem ci młodzieńczą ciekawość i sądziłem, że lojalność… – stęknął, gdy zaklęcie ochronne skrępowało mu ruchy – że lojalność nadal jeszcze coś znaczy w tym świecie.

Czar jarzył się blaskiem, coraz mocniej z każdym krokiem, jaki Medivh robił w kierunku swego ucznia i wysłanniczki. Khadgar widział linie odkształceń wokół wyciągniętych dłoni maga. Wydawało się, że iskry wzniecają płomienie w brodzie Medivha, a dym unoszący się znad jego czoła przybrał kształt rogów.

I serce Khadgara zamarło, młodzieniec zrozumiał bowiem, że to wizerunek nakładający się na twarz ukochanego nauczyciela. To była twarz istoty, która rzucała drugi cień.

– Przedrze się – oceniła Garona niespokojnie.

Khadgar zacisnął zęby.

– W końcu tak. Bardzo dużo mocy wydaje na to, by przełamać krąg.

– I może to zrobić?

– Jest Strażnikiem Tirisfal – odparł Khadgar. – Może zrobić wszystko, co chce. To tylko kwestia czasu.

– Czy możemy się stąd wydostać? – W głosie Garony wyraźnie pobrzmiewała panika.

– Musielibyśmy najpierw przejść obok niego – powiedział Khadgar.

Garona rozejrzała się dookoła.

– Rozwal ścianę. Zrobisz nowe wyjście.

Spojrzał na kamienne ściany, lecz pokręcił głową.

– No, zrób coś! – zażądała.

– Spróbuję tego!

Przed sobą widzieli sylwetkę Medivha, teraz wyższą, spowitą błyskawicami, złowieszczą i groźną.

Młodzieniec zmusił się do zachowania spokoju i zgromadził w sobie

magiczną energię. Wykonał te same ruchy, co kilka minut wcześniej, i zaintonował słowa zapomniane przez śmiertelników; skupił energię w pojedynczą kulę światła, po czym ja uwolnił.

– Pokaż mi – rozkazał Khadgar – tę, która już wcześniej walczyła z tą bestią!

Nastąpiła chwila dezorientacji, przez moment Khadgar myślał, że zaklęcie zadziałało nie tak jak trzeba i po prostu przeniosło ich do obserwatorium na szczycie wieży. Lecz nie – wprawdzie znaleźli się w obserwatorium, ale otoczyła ich noc, a powietrze przecinał władczy i rozgniewany kobiecy głos.

– Ośmieliłeś się zaatakować własną matkę?! – wrzasnęła Egwina z twarzą wykrzywioną gniewem.

Stała na jednym skraju tarasu widokowego, a Medivh na drugim. I był to Medivh, jakiego znał Khadgar – wysoki, dumny i najwyraźniej zaniepokojony. Ani Egwina, ani Medivh z przeszłości nie zwracali uwagi na Khadgara czy Garonę. Młodzieniec drgnął gwałtownie, gdy dotarło doń, że obecne wcielenie maga również tu jest, stoi pod ścianą wciąż w rozbłyskach iskier. Para z przeszłości zignorowała także i tego obserwatora, a Medivh z teraźniejszości patrzył na spektakl rozgrywający się przed nim.

– Matko, uznałem, że wpadłaś w histerię – powiedział dawny Medivh.

– A magiczny pocisk miał mnie otrzeźwić?! – warknęła dawna Strażniczka.

Khadgar zauważył, że w tej wizji była znacznie starsza niż wtedy, gdy widział ją poprzednio. Jej jasne włosy posiwiały, usta i oczy otoczyła sieć zmarszczek, nadal jednak była władcza i imponująca.

– A teraz odpowiedz na moje pytanie – zażądała.

– Matko, nie dostrzegasz rzeczy we właściwy sposób – zbył ją Medivh.

– Odpowiedz – warknęła surowo Egwina. – Czemu sprowadziłeś orków na Azeroth?

– Nic dziwnego, że się tak zirytował, kiedy ty go o to spytałeś – mruknęła Garona.

Khadgar uciszył ją, nie spuszczając oka z teraźniejszego Medivha, który przestał napierać na barierę ochronnego zaklęcia i zastygł.

– Matko? – spytał obecny Medivh. Na jego twarzy malowało się

niedowierzanie.

– Nie potrafisz odpowiedzieć, prawda? – naciskała Egwina. – To jakaś twoja gierka. Wyzwanie dla Llane'a i Lothara, byście mogli się zabawić? Moc Strażników Tirisfal to nie zabawka, dziecko. Przez cały czas przybywa tu coraz więcej orków. Słyszałam, że zaczęli łupić karawany przejeżdżające w pobliżu Czarnych Mokradeł. Każdy nowicjusz zdołałby odnaleźć twój portal, ale tylko twoja matka była w stanie rozpoznać, czyja moc go uczyniła. Powiedz mi zatem, dziecko, co masz na swoje usprawiedliwienie?

Khadgar skulił się pod ciężarem oskarżycielskich słów tej kobiety i nie zdziwiłby się wcale, gdyby widmowy Medivh uciekł z komnaty. Ale ten zaskoczył młodzieńca, roześmiał się bowiem serdecznie.

– Czy dezaprobata twojej matki bawi cię, dziecko? – spytała surowo Egwina.

– Bynajmniej. – Medivh błysnął zębami w drapieżnym uśmiechu. – Ale jej głupota owszem.

Khadgar spojrzał na drugi koniec pokoju i dostrzegł, że Medivh z teraźniejszości krzywi się, słysząc swoje własne przeszłe słowa.

– Jak śmiesz?! – zagrzmiała Egwina, unosząc rękę. Z jej dłoni wystrzeliła kula oślepiająco białego światła. Medivh bez najmniejszego wysiłku zbił kulę na bok ruchem własnej dłoni.

– Jak widzisz, śmiem, matko – rzekł. – I mam moc, która mi na to pozwala. Obdarzyłaś mnie nią przy poczęciu, choć ani jej chciałem, ani o nią prosiłem.

Widmowy Medivh machnął ręką i najwyższe piętro wieży zajaśniało od świecącego pocisku. Egwina pochwyciła energię, ale Khadgar zauważył, że musiała unieść obie ręce i była zmuszona cofnąć się trochę.

– Dlaczego sprowadziłeś orków na Azeroth? – wysyczała kobieta. – Nie było takiej potrzeby. Naraziłeś wszystkich mieszkańców świata, i po co?

– Aby przełamać krąg, rzecz jasna – powiedział Medivh z przeszłości. – Zburzyć podobny zegarowi wszechświat, który dla mnie zbudowałaś. Wszystko na swoim miejscu, nawet twoje dziecko. Skoro nie mogłaś być dalej Strażnikiem, osobiście wybrałaś, zrodziłaś i wychowałaś następcę, i zamknęłaś go w ustalonych z góry ramach, jak pozostałe swoje pionki.

Teraźniejszy Medivh osunął się na kolana, a oczy miał utkwione w rozgrywającej się przed nim scenie. Bezgłośnie wypowiadał te same słowa, które padały z ust jego przeszłej wersji.

Garona pociągnęła Khadgara za rękaw, a on skinął głową w odpowiedzi. Ostrożnie wyszli z serca ochronnego czaru i zaczęli okrążać pokój, starając się przekraść za obecnym wcieleniem maga.

– Ale ryzyko, dziecko… – powiedziała Egwina.

– Ryzyko? – spytał Medivh. – Ryzyko dla kogo? Nie dla mnie, nie, jeśli mam na swoje zawołanie moc *Tirisfalen*. Dla reszty Zakonu? Oni wszyscy bardziej przejmują się polityką wewnętrzną niż demonami. Dla ludzkich nacji? Nażartych i szczęśliwych, chronionych przed niebezpieczeństwami, o których nie mają pojęcia? Czy zagrożony jest ktoś naprawdę ważny?

– Bawisz się mocami potężniejszymi od ciebie, synu – powiedziała Egwina. Khadgar i Garona już niemal dotarli do drzwi, ale obecny Medivh bez reszty pochłonięty był wizją z własnej przeszłości.

– Och, oczywiście – tamten mistrz odsłonił zęby w grymasie odrazy. – Myśląc, że mógłbym dać sobie radę z takimi mocami, zgrzeszyłbym pychą. Równie dobrze mógłbym pomyśleć, że można przechytrzyć pana i władcę demonów i wyjść z tego cało.

Byli teraz za plecami Medivha, Garona sięgnęła pod koszulę po nóż. Khadgar wstrzymał jej dłoń i przecząco pokręcił głową. Prześlizgnęli się obok maga. W oczach niemłodego już człowieka wezbrały łzy.

– A co się stanie, jeśli orkowie wygrają? – spytała Egwina. – Czczą mrocznych bogów i cienie. Czemu oddajesz im Azeroth?

– Kiedy wygrają – poprawił ją przeszły Medivh. – Uczynią mnie swym przywódcą. W przeciwieństwie do reszty tego żałosnego świata, matko, one szanują siłę. A dzięki tobie jestem najsilniejszą istotą na tym świecie. A gdy zerwę kajdany, którymi mnie spętałaś ty i inni, wtedy będę rządził.

Zjawy z wizji zamilkły na chwilę, zaś Khadgar i Garona zamarli, wstrzymując oddechy. Czy Medivh z teraźniejszości zauważy ich w ciszy?

Egwina z przeszłości przemówiła i przykuła uwagę teraźniejszego maga.

– Nie jesteś moim synem – oznajmiła.

Medivh z teraźniejszości ukrył twarz w dłoniach.

– Nie – zgodził się ten przeszły. – Nigdy nie byłem twoim synem. Nigdy tak naprawdę twoim, w żadnym wypadku.

I przeszły Medivh roześmiał się na całe gardło. Był to głęboki, grzmiący śmiech, który Khadgar słyszał już kiedyś na lodowych stepach, gdy ta dwójka walczyła po raz ostatni.

Egwina wyglądała na wstrząśniętą.

– Sargeras? – wycedziła, rozpoznając go wreszcie. – Przecież cię zabiłam.

– Zabiłaś tylko ciało, wiedźmo. Tylko moją fizyczną postać! – Medivh z przeszłości wykrzywił się z odrazą i Khadgar już mógł dostrzec zarys drugiej istoty, drugiego wcielenia, które pożerało maga. Stworzonego z cienia i ognia, o płomienistej brodzie i wielkich, czarnych jak heban rogach. – Zabiłaś i ukryłaś w grobie na dnie morza. Lecz ja byłem gotów poświęcić to ciało, by uzyskać o wiele cenniejszą nagrodę.

Egwina mimowolnie położyła dłoń na brzuchu.

– Tak, droga matko – Medivh z przeszłości potwierdził jej podejrzenia; płomienie lizały jego brodę, dym tworzył rogi nad nawisem brwi. Był Medivhem, ale także Sargerasem. – Ukryłem się w twoim łonie, wkradłem do drzemiących komórek twojego nieukształtowanego dziecka. Rak, skaza, wada wrodzona, której nawet nie podejrzewałaś. Zabicie ciebie było niemożliwe, uwiedzenie mało prawdopodobne. Zatem uczyniłem się twoim dziedzicem.

Egwina zaklęła, wyrzuciła obie ręce przed siebie, gniew pomagał jej formować słowa nieprzeznaczone dla ludzkich ust. Pocisk migoczącej tęczowej energii uderzył w pierś Medivha/Sargerasa.

Widmo z przeszłości cofnęło się chwiejnie o krok, dwa, po czym uniosło rękę i przechwyciło skierowaną ku niemu energię. W komnacie rozszedł się smród palonego mięsa, a Sargeras/Medivh warknął i splunął. Rzucił swoje zaklęcie i Egwina została ciśnięta przez całe pomieszczenie.

– Nie mogę cię zabić, matko – warknęła demoniczna postać. – Jakaś część nie pozwala mi tego uczynić. Ale cię złamię. Złamię i wygnam, a nim wyzdrowiejesz, nim wrócisz z miejsca, do którego cię poślę, te ziemie będą należały do mnie. Ten świat i moc Zakonu Tirisfal!

Teraźniejszy Medivh zaskowytał, zawył jak stracona dusza, błagając niebiosa o przebaczenie, które nigdy nie będzie mu dane.

– To znak dla nas. – Garona pociągnęła Khadgara za rękę. – Chodźmy stąd, póki wszystko idzie dobrze.

Khadgar zawahał się przez chwilę, po czym podążył za nią do schodów.

Runęli w dół na złamanie karku, przeskakując po trzy stopnie. Niemal wpadli na Moriosa.

– Podekscytowani – zauważył spokojnie kasztelan. – Problem?

Garona minęła go i popędziła dalej, ale Khadgar złapał starego sługę za ramię.

– Mistrz oszalał.

– Bardziej niż zwykle? – spytał Morios.

– To nie żart – zaoponował Khadgar i nagle w jego oku zapalił się błysk. – Czy masz gwizdek przywołujący gryfy?

Służący uniósł pokryty runami kawałek metalu.

– Chcesz, abym przyzwał…

– Ja to zrobię – powiedział Khadgar, zabierając mu gwizdek i biegnąc za Garoną. – Będzie nas ścigał, a ty też lepiej uciekaj. Zabierz Kucharkę i uciekajcie jak najdalej.

I z tymi słowami Khadgar zniknął w ślad za Garoną.

– Uciekać? – rzucił za nim Morios. – A dokąd miałbym uciec?

Rozdział 14

Ucieczka

Przelecieli kilka mil, gdy gryf począł się buntować. Tylko jeden zwierz odpowiedział na wezwania Khadgara, i stanął dęba, gdy tylko Garona się do niego zbliżyła. Chyba tylko czystą siłą woli mag zmusił gryfa do zaakceptowania obecności półorka. Jeszcze długo po tym, jak wylecieli poza krąg wzgórz, słyszeli krzyki i przekleństwa Medivha. Skierowali gryfa w stronę Wichrogrodu i Khadgar uderzył piętami w boki wierzchowca.

Wcześniej lecieli bardzo szybko, ale teraz gryf zaczął się buntować, szarpał wodze i próbował zawrócić w stronę gór. Khadgar robił, co mógł, by go okiełznać i utrzymać kierunek, lecz wierzchowiec coraz bardziej się denerwował.

– Co mu się stało? – spytała Garona zza ramienia Khadgara.

– Medivh go przywołuje. Gryf chce wracać do Karazhanu.

Khadgar szarpał wodze, próbował nawet użyć gwizdka, ale wreszcie musiał pogodzić się z porażką. Usadził gryfa na niskim, łysym pagórku i zsiadł zaraz po Garonie. Ledwie postawił stopę na ziemi, a gryf znowu wzbił się w ciemniejące niebo, uderzając mocno skrzydłami; zawrócił odpowiedzieć na wezwanie pana.

– Sądzisz, że za nami podąży? – spytała Garona.

– Nie wiem – odparł Khadgar – ale wolę, żeby nas tu nie było, jeśli do tego dojdzie. Musimy dotrzeć do Wichrogrodu.

Potykając się, szli przez większość wieczoru i nocy. Odnaleźli gruntową drogę prowadzącą mniej więcej w stronę Wichrogrodu. Nie było pościgu ani dziwnych świateł na niebie, a przed wschodem słońca para wędrowców

odpoczęła nieco, kuląc się pod wielkim cedrem.

Następnego dnia nie spotkali żywej duszy. Widzieli jedynie domy spalone do fundamentów i kopce ziemi, gdzie zagrzebano całe rodziny, poprzewracane wozy, wypalone wielkie kręgi szare od popiołu. Garona wyjaśniła, że w ten sposób orkowie postępowali z ciałami swoich zmarłych po tym, jak zabrali im wszystko, co warte było zabrania.

Wszystkie zwierzęta, jakie widzieli po drodze, były martwe – wypatroszone świnie obok zrujnowanych zabudowań; objedzony szkielet konia, z wyjątkiem powykręcanego pyska, na którym zastygło przerażenie. W milczeniu wędrowali od jednego zrujnowanego gospodarstwa do drugiego.

– Tędy przeszli twoi pobratymcy – powiedział wreszcie Khadgar.

– Szczycą się takimi rzeczami – odparła ponuro Garona.

– Szczycą? – Khadgar rozejrzał się z niedowierzaniem. – Szczycą się niszczeniem? Rabowaniem? Żadna ludzka armia, żadna ludzka nacja nie pali wszystkiego na swojej drodze ani nie zabija zwierząt bez celu.

Garona skinęła głową.

– Tak postępują orkowie: nie pozostawiaj nic, co twoi wrogowie mogliby wykorzystać przeciwko tobie. Jeśli czegoś nie da się zużyć natychmiast, jako żywność, kwaterę czy łup, należy to spalić. Granice terytoriów poszczególnych klanów to spustoszone ziemie, gdyż każda ze stron próbuje pozbawić drugą zapasów.

– To nie były zapasy – powiedział z pasją. – Tylko życie. Kiedyś ta ziemia była zielona i płodna, pokryta polami i lasami. Teraz to pustkowie. Spójrz! Czy między ludźmi i orkami może w ogóle zapanować pokój?

Garona nie odpowiedziała. Wędrowali dalej w milczeniu, a na nocleg zatrzymali się w ruinach karczmy. Spali w osobnych pomieszczeniach, on w resztkach głównej sali, ona w kuchni. Nie proponował, aby zostali razem, ona również nie.

Khadgara obudziło burczenie w żołądku. Uciekali z wieży tak, jak stali, więc poprzedniego dnia zjedli jedynie kilka jagód i orzechów, które wypatrzyli po drodze, i nic więcej.

Młody mag wstał z zawilgoconego od deszczu siennika, który służył mu za

łóżko. Minioną noc czuł we wszystkich kościach. Nie spał pod gołym niebem od czasu, kiedy przybył do Karazhanu, i stanowczo się od tego odzwyczaił. Strach, jaki Khadgar czuł poprzedniego dnia, zbladł mocno i młodzieniec zaczął zastanawiać się nad kolejnym posunięciem.

Zmierzali do Wichrogrodu, ale gdy już tam dotrą, to jak Khadgar wprowadzi do miasta kogoś takiego jak Garona? Może znajdą coś, co mogłoby posłużyć za przebranie. Ale czy ona w ogóle chce się tam udać? Teraz, kiedy umknęła z wieży, może powinna dołączyć do Łupieżców Burzy i Gul'dana?

Khadgar wyprostował się, otrząsnął ze snu i oparł o resztkę okna, by spytać, czy w kuchni coś może zostało do jedzenia.

I spojrzał wprost na ostrze wielkiego topora.

Po drugiej stronie broni zieleniła się orcza gęba. Prawdziwego orka. Khadgar dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo przyzwyczaił się do twarzy Garony, toteż zaszokował go widok wielkiej szczęki i ciężkiego nawisu brwi.

– Soto? – warknął ork.

Khadgar powoli uniósł ręce, jednocześnie całą mocą umysłu gromadząc magiczną energię. Potrzebował jedynie prostego czaru, by odrzucić tę istotę na bok i umożliwić ucieczkę Garonie.

Chyba że to Garona go tu ściągnęła, pomyślał nagle.

Zawahał się i to wystarczyło. Usłyszał za sobą jakiś szmer, ale nie zdążył się odwrócić. Coś dużego i ciężkiego uderzyło go w kark.

Odzyskał przytomność chyba chwilę później, ta chwila wystarczyła jednak, aby do pomieszczenia wpadło pół tuzina orków. Dźgali toporami sterty śmieci i rumowiska. Mieli zielone naramienniki. Klan Krwawiącego Oczodołu, podpowiedziała mu pamięć. Poruszył się, a wtedy jeden z orków, ten z podwójnym toporem, znowu obrócił się ku niemu.

– Dziesofojeeszy? – powiedział. – Dziejeofałesz?

– Co? – Khadgar nie był pewien, czy to uderzenie odbiło się tak na jego słuchu, czy to ork tak niewyraźnie mówił.

– Dzietfoje rzeszy – powtórzył wolniej ork. – Tfoje rzeszy. Nie ma nic. Dzie je chofałesz?

– Nie ma. Zgubiłem. Nie mam – odparł bez namysłu Khadgar.

Ork prychnął.

– To szmiercz – warknął i uniósł topór.

– Nie! – krzyknęła Garona od strony zrujnowanych drzwi. Wyglądała, jakby miała za sobą ciężką noc, ale na rzemieniu przy jej pasie wisiało kilka królików. Wyszła na polowanie. Khadgar nieco zawstydził się wcześniejszych podejrzeń.

– Poszła precz, mieszańcu – warknął ork. – Nie fojasprafa.

– Zabijasz moją własność, a to już moja sprawa – odparła Garona.

Własność?, oburzył się Khadgar w duchu, ale trzymał język za zębami.

– Flasnoszcz? – powtórzył pogardliwie ork. – Kim jestesz, że masz flasnoszcz?

– Jestem Garona Półork – odpowiedziała twardo, przywołując na twarz gniewny grymas. – Służę Gul'danowi, czarnoksiężnikowi klanu Łupieżców Burzy. Uszkodzisz moją własność, a będziesz miał z nim do czynienia!

Ork znowu prychnął.

– Łupieżcy? Też mi co! Oni słabi, dają szię pomiatacz czarnokszieżnikofi!

Garona spojrzała na niego ostro.

– A ja słyszałam, że klan Krwawiącego Oczodołu nie wsparł Młotów Zmierzchu w ataku na Wichrogród i przez to oba klany zostały odparte. Słyszałam, że ludzie pokonali was w uczciwej walce. To prawda?

– To bez znaczenia – odparł jeden z Krwawiących Oczodołów. – Mieli konie.

– Może mógłbym… – zaczął Khadgar, usiłując stanąć na nogi.

– Leżeć, niewolniku! – Garona wymierzyła mu policzek tak siarczysty, że młodzieniec ponownie się przewrócił. – Mówisz, kiedy ci każę, nie wcześniej!

Ork skorzystał z okazji, aby podejść bliżej, ale kiedy Garona ponownie się obróciła, sztylet o długim ostrzu trzymała wymierzony w brzuch wojownika. Pozostali orkowie cofnęli się natychmiast.

– Kwestionujesz moje prawo własności? – warknęła Garona z płonącymi oczami, mięśnie pod jej skórą napięły się w gotowości do ataku.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie ork popatrzył na Garonę, na rozciągniętego na ziemi Khadgara i znowu na Garonę. Prychnął pogardliwie.

– Najpierf znajdż cosz, o co farto falczycz, mieszańcu! – stwierdził, cofając

się. Jego towarzysze odprężyli się i nie trzeba było wiele czasu, aby wszyscy opuścili ruiny karczmy.

– Co ma za pożytka z człowieka niewolnika? – spytał jeden z orków, kiedy wychodzili z budynku. Dowódca odpowiedział coś, czego Khadgar nie mógł usłyszeć.

– To łohydne! – ryknął z odrazą ten, który pytał.

Khadgar usiłował wstać, ale Garona powstrzymała go ruchem dłoni. Mag skulił się odruchowo, wbrew sobie.

Garona podeszła do wybitego okna, rozglądała się przez chwilę, po czym wróciła do Khadgara.

– Sądzę, że już sobie poszli – oświadczyła. – Obawiałam się, że zawrócą, aby wyrównać rachunki. Ich dowódca pewnie zostanie dziś w nocy wyzwany przez swoich podwładnych.

Khadgar dotknął piekącego policzka.

– Czuję się nieźle, dzięki za troskę.

Garona pokręciła głową.

– Ty bladoskóry durniu! Gdybym cię nie powaliła, dowódca zabiłby cię od razu, a potem zwrócił się przeciwko mnie, gdyż nie zdołałam utrzymać cię w ryzach.

Khadgar westchnął ciężko.

– Przepraszam. Masz rację.

– Masz rację, że mam rację! Przeżyłeś do mojego powrotu tylko dlatego, że chcieli, byś im oddał to, co według nich schowałeś. Myśleli, że nie możesz być na tyle głupi, aby bez ekwipunku wędrować przez tereny ogarnięte wojną.

– Musiałaś bić tak mocno? – spytał Khadgar.

– Aby ich przekonać? Tak. Nie, żeby nie sprawiło mi to przyjemności. – Rzuciła mu króliki. – Masz, obedrzyj je ze skóry i zagotuj wodę. W kuchni pozostały jeszcze kociołki i jakieś bulwy.

– Mimo tego, co mówisz swoim przyjaciołom, nie jestem twoim niewolnikiem – obruszył się Khadgar.

Garona zachichotała.

– Oczywiście, że nie. Lecz to ja złapałam śniadanie. Ty masz je ugotować!

Na śniadanie był porządny gulasz z królika i ziemniaków, z dodatkiem ziół, które Khadgar znalazł w ruinach kuchennego ogrodu, i grzybów zebranych przez Garonę w lesie.

Młodzieniec sprawdził, czy aby któryś z nich nie jest przypadkiem trujący.

Żaden nie był.

– Orkowie wykorzystują młodych do próbowania jedzenia – powiedziała Garona. – Jeśli ci przeżyją, wiadomo, że jedzenie nadaje się dla reszty.

Po śniadaniu podjęli wędrówkę, kierując się w stronę Wichrogrodu. Znowu szli przez dziwnie cichy las, a po drodze napotykali jedynie ślady wojny.

Około południa znowu natknęli się na orków z klanu Krwawiącego Oczodołu. Ich ciała rozrzucone były na sporej polanie wokół strzaskanej wieży strażniczej, wszystkie spoczywały twarzami do ziemi. Coś dużego, ciężkiego i ostrego rozdarło im pancerze na plecach; do tego kilku straciło głowy.

Garona szybko przechodziła od ciała do ciała, zabierając wszystko, co mogło się przydać. Khadgar tylko się rozglądał.

– Może byś mi pomógł?! – krzyknęła.

– Za chwilkę – odpowiedział. – Chcę się upewnić, że to, co zabiło naszych przyjaciół, nie kręci się po okolicy.

Garona powiodła spojrzeniem po granicach polany, po czym spojrzała w niebo. Nad głowami powoli płynęły jedynie chmury, niskie i nakrapiane, jakby ktoś spryskał je atramentem.

– No i? – ponagliła maga. – Nic nie słyszę.

– Orkowie też nie słyszeli, póki nie było za późno – odparował, stając obok niej nad ciałem orczego dowódcy. – Coś trafiło ich w plecy, kiedy biegli. Napastnik przewyższał ich wzrostem. – Wskazał na odciśnięte w glebie ślady podków. Pozostawiły je opancerzone, ciężkie konie. – Kawaleria. Ludzka.

– Wreszcie się zbliżamy. Zabierz wszystko, co możesz. Możemy zjeść ich racje, są wstrętne, ale pożywne. Weź też broń, przynajmniej nóż.

Khadgar spojrzał na Garonę.

– Tak sobie myślałem.

Parsknęła śmiechem.

– Zastanawiam się, jak wiele ludzkich nieszczęść zaczęło się od tych słów.

– Jesteśmy w zasięgu patroli z Wichrogrodu – Khadgar zignorował jej uwagę. – Nie sądzę, aby Medivh za nami podążał, a przynajmniej nie osobiście. Może zatem powinniśmy się rozdzielić.

– Myślałam o tym – odpowiedziała, przeglądając jeden z orczych plecaków. Wyciągnęła z niego najpierw płaszcz, a potem niewielki, owinięty w tkaninę pakunek. Wewnątrz znajdowała się hubka, krzesiwo oraz fiolka oleistego płynu. – Zestaw do rozpalania ognisk – wyjaśniła. – Orkowie kochają ogień, a to umożliwia jego szybkie rozpalenie.

– Zatem myślisz, że powinniśmy się rozdzielić. – Khadgar trzymał się tematu.

– Nie – sprostowała Garona. – Mówiłam, że o tym myślałam. Kłopot polega na tym, że te ziemie nie znajdują się ani pod kontrolą orków, ani ludzi. Przejdziesz pięćdziesiąt kroków i natkniesz się na kolejny patrol Krwawiących Oczodołów, ja zaś mogę wpaść w zasadzkę twoich przyjaciół na koniach. Kiedy jesteśmy razem, mamy większe szanse przetrwania. Jedno będzie w razie czego niewolnikiem drugiego.

– Jeńcem – poprawił ją. – Ludzie nie mają niewolników.

– Na pewno mają. Tylko inaczej ich nazywają. W każdym razie powinniśmy trzymać się razem.

– To wszystko?

– Właściwie tak. No może jeszcze jedna drobna kwestia: już od jakiegoś czasu nie składałam meldunków Gul’danowi. Jeśli natkniemy się na niego, powiem mu, że byłam więźniem w Karazhanie i że powinien wykazać się większą mądrością, a nie wysyłać jednego ze swoich podwładnych w pułapkę.

– Myślisz, że w to uwierzy?

– Nie jestem pewna. Co stanowi kolejny dobry powód, abym została z tobą.

– Z tym, czego się dowiedziałaś, mogłabyś zyskać znaczne wpływy.

Garona skinęła głową.

– Tak, o ile ktoś nie rozłupie mi czaszki toporem, zanim zdążę komukolwiek cokolwiek powiedzieć. Nie, w tej chwili stawiam na bladoskórych. Zostało tylko jedno.

– Co takiego?

– Muszę zgromadzić ciała w jednym miejscu, obłożyć gałęziami i spalić. Możemy schować to, czego nie zabierzemy ze sobą, ale ciała musimy spalić. Przynajmniej to mogę dla nich zrobić.

Khadgar zmarszczył brwi.

– Jeśli konni nadal znajdują się w okolicy, dym może ściągnąć ich tu w jednej chwili.

– Wiem – odparła Garona, rozglądając się jakby w poszukiwaniu patrolu. – Ale tak należy postąpić. Jeśli znalazłbyś zabitego w zasadzce ludzkiego żołnierza, nie chciałbyś go pochować?

Khadgar zacisnął usta w ponurym grymasie, ale zmilczał. Ruszył do najdalej leżącego trupa i zaczął go ciągnąć ku ruinom wieżyczki. Godzinę później mogli już podpalić stos pogrzebowy.

– Teraz możemy ruszać – powiedział Khadgar, kiedy Garona przyglądała się, jak dym unosi się do góry.

– Czy to nie sprowadzi jazdy?

– Może być, że sprowadzi. Ale zarazem wyśle wiadomość… tutaj są orkowie. Orkowie, którzy czują się na tyle bezpiecznie, aby palić ciała swoich towarzyszy. Dziękuję, wolę mieć szansę tłumaczyć się z bliska, niż stawiać czoła rozpędzonemu koniowi.

Garona kiwnęła głową i pozostawili za sobą stos, powiewając połami zabranych orkom płaszczy.

Garona mówiła prawdę, orcza wersja racji wojskowej stanowiła dziwną mieszaninę utwardzonego syropu, orzechów i czegoś, co Khadgar uznał za mięso gotowanego szczura. Jedzenie zapewniło im niezbędne siły i mogli utrzymać niezłe tempo.

Mijały kolejne dni. Krajobraz się zmienił. Teraz szli rozległymi polami, na których falowało zboże. Okolica była jednak tak samo wyludniona jak wcześniej, stajnie stały puste, a domy już się zapadły pod własnym ciężarem. Znaleźli kilka innych śladów orczych pogrzebów i coraz więcej wzgórków poruszonej ziemi, znaczącej miejsca ludzkich pochówków.

Dwoje wędrowców w miarę możliwości trzymało się przydrożnych krzaków

i płotów. Coraz bardziej otwarty teren pozwalał im z daleka dostrzec oddziały obu stron, ale sami też widoczni byli z daleka. Kiedy na szczycie wzgórza dostrzegli liczną grupę orków, schowali się w domu, który był w dużej części nietknięty.

Khadgar przyglądał się przechodzącym oddziałom. Piechota, kawaleria na wielkich wilkach i katapulty zdobione w czaszki i smoki. Garona również patrzyła na pobratymców.

– Durnie – skwitowała sucho.

Khadgar spojrzał na nią pytająco.

– Nie mogli bardziej się odsłonić – wyjaśniła. – Widzimy ich, bladoskórzy żołnierze tym bardziej. Nie mają żadnego celu. Włóczą się, szukając okazji do bitwy. Pragną chwalebnej śmierci w walce.

– Nie masz zbyt dobrego mniemania o swoim ludzie – zauważył.

– W tej chwili nie mam zbyt dobrego mniemania o żadnym ludzie. Orkowie nie uznają mnie za jedną z nich, ludzie spróbują mnie zabić, gdy tylko mnie zobaczą. A jedyny człowiek, któremu naprawdę zaufałam, okazał się demonem.

– Cóż, jestem jeszcze ja – przypomniał jej, starając się, by w jego głosie nie było słychać urazy.

Garona się skrzywiła.

– Tak, jesteś jeszcze ty. Jesteś człowiekiem i ufam ci. Jednak sądziłam, naprawdę sądziłam, że Medivh coś zmieni. Potężny, ważny, chętny do rozmów. Bez uprzedzeń. A jednak oszukiwałam siebie. To tylko kolejny szaleniec. Może to moje przeznaczenie: służyć szaleńcowi. Może jestem tylko kolejnym pionkiem w grze. Jak to określił Medivh? Trybem w bezlitosnym zegarze wszechświata?

– Twoje przeznaczenie – rzekł Khadgar – jest takie, jakie sobie wybierzesz. Medivh również zawsze tego pragnął.

– Czy sądzisz, że kiedy to mówił, był przy zdrowych zmysłach? – spytała półorczyca.

Khadgar wzruszył ramionami.

– Na tyle, na ile zwykle był. Wierzę, że był. Wygląda na to, że ty też chcesz w to uwierzyć.

– I owszem – mruknęła Garona. – Kiedy służyłam Gul’danowi, wszystko było takie proste. Jego małe oczy i uszy. Teraz nie wiem, kto ma rację, a kto nie. Który lud jest moim ludem? Oba? Żaden? Przynajmniej ty nie musisz się martwić, po czyjej stronie się opowiedzieć.

Khadgar nic nie powiedział, tylko wyjrzał na zewnątrz, obserwując nadciągający zmierzch. Orcza armia musiała napotkać jakiegoś wroga, bo nad horyzontem zajaśniał blask fałszywego świtu znaczony nagłymi rozbłyskami od niskich chmur, a echa bębnów i śmierci brzmiały niczym odległy grzmot.

Mijały kolejne dni. Teraz dwoje wędrowców przemierzało bezludne miasta. Budynki były w lepszym stanie, chociaż puste. Widać było, że zatrzymywali się w nich i ludzie, i orkowie, ale teraz mieszkały tu tylko duchy i wspomnienia. Khadgar włamał się do sklepiku, który wyglądał dość obiecująco, i choć półki były ograbione do czysta, w palenisku nadal leżało drewno, a w małym wiadrze w piwnicy znalazł ziemniaki i cebulę. Po orczych racjach wszystko było lepsze.

Rozpalił ogień, a Garona wzięła kociołek i udała się do pobliskiej studni. Khadgar zastanawiał się, co dalej. Medivh był zagrożeniem, może nawet większym niż orki. Czy można z nim rozmawiać? Przekonać, aby zamknął portal? A może jest na to za późno? Sam fakt, że istnieje portal, był dobrą nowiną. Gdyby ludzie mogli odnaleźć go i zamknąć, orkowie zostaliby uwięzieni w tym świecie. Odcięci od posiłków z Draenoru. Jakiś ruch na zewnątrz przerwał mu rozmyślania. Szczęk metalu o metal. Ludzkie głosy i jęki.

– Garona – mruknął Khadgar i ruszył do drzwi.

Znalazł ich przy studni. Patrol około dziesięciu pieszych odzianych w błękit Wichrogrodu, z wyciągniętymi mieczami. Jeden trzymał się za zranione ramię, ale dwóch innych chwyciło Garonę za ręce, każdy za jedną. Jej długi sztylet leżał na ziemi. Kiedy Khadgar wypadł zza rogu, sierżant uderzył ją w twarz pancerną rękawicą.

– Gdzie inni?! – warknął. Z ust półorczycy pociekła ciemnopurpurowa krew.

– Zostawcie ją! – krzyknął Khadgar. Bez namysłu przywołał energię i rzucił szybki czar.

Wokół głowy Garony rozkwitło jaskrawe światło, miniaturowe słońce, które zaskoczyło ludzi. Żołnierze puścili półorczycę, a ona osunęła się na ziemię.

Sierżant uniósł dłoń, aby chronić oczy, a Khadgar w jednej chwili znalazł się przy Garonie.

– Saschoszylimie – wymamrotała Garona przez rozbite wargi. – Daj mi chile.

– Leż – powiedział cicho Khadgar i warknął do mrugającego sierżanta: – Ty dowodzisz tą hałastrą?

Większość żołnierzy odzyskała już wzrok. Zbrojni trzymali w rękach wyciągnięte miecze. Dwójka koło Garony cofnęła się nieco, obserwując uważnie ją, nie Khadgara.

– A kim ty jesteś, że wtrącasz się w sprawy wojska?! Zabierzcie go z drogi!

– Stać! – krzyknął Khadgar, a żołnierze, którzy już raz poczuli siłę jego zaklęć, zrobili tylko jeden krok. – Jestem Khadgar, uczeń maga Medivha, przyjaciel i sojusznik waszego króla Llane'a. Mam dla niego ważne wieści. Zabierzcie nas natychmiast do Wichrogrodu.

Sierżant parsknął śmiechem.

– Pewnie, a ja jestem lord Lothar. Medivh nie ma uczniów. Nawet ja o tym wiem. Zatem kim jest ta ślicznotka?

– To… – mag zawahał się na moment. – To mój więzień. Zabieram ją do Wichrogrodu na przesłuchanie.

– Aha – mruknął sierżant. – Cóż, chłopcze, znaleźliśmy twojego więźnia uzbrojonego, a ciebie nigdzie nie widziałem. Śmiem twierdzić, że twój więzień uciekł. Szkoda, że orki wolą raczej umrzeć, niż się poddać.

– Nie dotykaj jej! – ostrzegł Khadgar, unosząc dłoń. Na jego zakrzywionych palcach zatańczyły płomienie.

– Prosisz się o śmierć – warknął sierżant. Khadgar usłyszał tętent opancerzonych koni. Posiłki. Czy chętniej posłuchają półorka i maga niż ci tutaj?

– Popełniasz ogromny błąd, panie – powiedział spokojnie Khadgar.

– Trzymaj się od tego z dala, chłopcze – rozkazał sierżant. – Bierzcie orczycę. Zabijcie ją, jeśli będzie stawiała opór!

Żołnierze przysunęli się bliżej, ten stojący najbliżej Garony pochylił się, aby złapać ją ponownie. Próbowała się odsunąć i inny wojak kopnął ją podkutym

butem. Khadgar przełknął łzy i rzucił w sierżanta zaklęciem. Kula ognia trafiła go w kolano.

Sierżant zawył i padł na ziemię.

– Odwołaj ich – syknął Khadgar.

– Zabić ich! – wrzasnął sierżant, oczy pociemniały mu z bólu. – Zabić oboje!

– Stać! – rozległ się inny głos, mroczniejszy i głębszy, a przy tym stłumiony przyłbicą. Na rynek wjechali jeźdźcy. Było ich około dwudziestu. Ten widok odebrał Khadgarowi resztki otuchy. Takiej liczby Garona nie zdołałaby pokonać. Ich dowódca nosił pełną zbroję i przyłbicę z opuszczoną zasłoną. Khadgar nie mógł dostrzec jego twarzy, ale rzucił się w kierunku rycerza.

– Panie! Odwołaj tych ludzi. Jestem uczniem maga Medivha.

– Wiem, kim jesteś – rzekł dowódca. – Spocznij! – rozkazał. – Miejcie oko na orczycę, ale ją puśćcie!

Khadgar przełknął ślinę i ciągnął dalej.

– Mam więźnia i ważne informacje dla króla Llane’a. Muszę natychmiast zobaczyć się z lordem Lotharem!

Dowódca uniósł przyłbicę.

– No to się zobaczysz, chłopcze – powiedział Lothar. – To się zobaczysz.

Rozdział 15

Pod Karazhanem

Rozmowy w Wichrogrodzie nie poszły najlepiej i teraz Garona i Khadgar okrążali wieżę Medivha na grzbiecie gryfa. Pod nimi, w gęstniejącym zmierzchu, Karazhan wydawał się ogromny i całkowicie opuszczony. W żadnym oknie nie płonęło światło, obserwatorium na szczycie też było ciemne. Pod bezksiężycowym ciemnym niebem nawet blade kamienie wieży były mroczne i złowrogie.

Poprzedniego wieczoru w prywatnych komnatach króla toczyła się zaciekła dysputa. Khadgar i Garona byli tam, choć Lothar odebrał półorczycy nóż, gdy miała stanąć przed obliczem jego wysokości. W spotkaniu brała udział cała gromada doradców i dworaków krążących wokół króla. Khadgar nie mógł wywęszyć choć jednego maga i założył, że wszyscy, którzy przeżyli polowanie Medivha, znajdowali się albo na polu bitwy, albo siedzieli bezpieczni w ukryciu.

Co się tyczy króla, przestał być młodzikiem z wizji Khadgara. Miał szerokie ramiona i ostre rysy jak we wczesnej młodości, które powoli zaczynały poddawać się wpływom czasu. Wyróżniały go spośród zebranych lśniące błękitne szaty. Obok królewskiego fotela leżał duży, otwarty hełm ozdobiony białymi skrzydłami, jakby jego wysokość spodziewał się, że w każdej chwili zostanie wezwany na pole bitwy.

Przypomniawszy sobie zapalczywego młodzieńca z wizji z trollami, Khadgar pomyślał, że być może takich wezwań Llane pragnie najbardziej. Bezpośredniego starcia, w otwartym polu, zakończonego niechybnym zwycięstwem jego sił. Młody mag był ciekaw, w jakiej mierze ta pewność wynikała z wiary w to, że Medivh zawsze wesprze króla. Tak naprawdę zdawało

się, że jedno w naturalny sposób prowadzi do drugiego – Medivh zawsze będzie wspierał Wichrogród, a Wichrogród będzie trwał dzięki niezmiennemu wsparciu Strażnika.

Uzdrowiciele zajęli się rozbitymi ustami Garony, ale nic nie mogli zaradzić na jej wybuchowy charakter. Khadgar kilkakrotnie nie zdołał powstrzymać skrzywienia, słuchając, jak relacjonowała dosadne opinie orków na temat poczytalności mistrza magii czy też bladoskórych w ogóle, ze szczególnym uwzględnieniem wojsk Llane'a.

– Orkowie są nieugięci – mówiła – i się nie poddadzą. Powrócą.

– Nie zbliżyli się do murów na strzał z łuku – podkreślił Llane. Khadgarowi wydawało się, że jego wysokość jest bardziej rozbawiony niż zaniepokojony bezpośrednim zachowaniem Garony i jej wypowiadanymi prosto z mostu ostrzeżeniami.

– Nie podeszli do murów bliżej niż na strzał z łuku – powtórzyła Garona. – Tym razem. Następnym podejdą. A za trzecim sforsują mury. Nie sądzę, abyś traktował zagrożenie ze strony orków wystarczająco poważnie, panie.

– Zapewniam cię, że traktuję je bardzo poważnie – rzekł Llane. – Jestem również świadom mocnych punktów Wichrogrodu. Jego murów, armii, sojuszników i ducha. Być może gdybyś je dostrzegła, nie byłabyś tak pewna niezłomnej potęgi twych pobratymców.

Również w sprawie maga Llane żywił podobną pewność. Khadgar wyłożył wszystko przed osobistymi doradcami króla, wspierany potakiwaniami i uzupełnieniami Garony. Wizje przeszłości, zmienne zachowanie, wizje, które nie były wizjami, lecz raczej prawdziwymi demonstracjami obecności Sargerasa w Karazhanie. Odpowiedzialność Medivha za obecny najazd na Azeroth.

– Gdybym dostawał srebrne ziarnko kaszy za każdego człowieka, który mówił, że Medivh jest szalony, byłbym bogatszy, niż jestem – powiedział Llane. – On ma plan, młodzieńcze. To proste. Wpadał w taki czy inny szał częściej, niż zdołałbym zliczyć, a nasz Lothar rwał sobie brodę. Za każdym razem okazywało się, że to Med miał rację. Czy ostatnim razem, kiedy tu był, nie popędził, by upolować demona, i nie dopadł go w ciągu kilku godzin? Raczej trudno podejrzewać, że ktoś, kto jest opętany, pozbawił głowy jednego

ze swoich.

– Chyba że ten ktoś usiłował dowieść własnej niewinności – zauważyła Garona. – Nikt nie widział, jak zabił demona. Czy nie mógł go wezwać, zabić i udowodnić, że to on był za wszystko odpowiedzialny?

– To tylko zgadywanki – mruknął król. – Nie. Z całym szacunkiem dla was obojga, nie zaprzeczam, że widzieliście to, co widzieliście. Nawet te „wizje" przeszłości. Sądzę, że mag jest szczwanym lisem i to wszystko stanowi fragment jakiegoś większego planu. Zawsze mówił o większych planach i większych cyklach.

– Z całym szacunkiem, najjaśniejszy panie – rzekł Khadgar. – Mag może i ma większy plan, ale czy Wichrogród i Azeroth mają w nim jakieś miejsce?

W taki sposób spędzili większość wieczoru. Król Llane pozostał nieugięty. Twierdził, że Wichrogród może, dzięki swoim sojusznikom, zniszczyć albo zapędzić orcze hordy z powrotem do ich świata, że Medivh ma jakiś plan, którego nikt inny nie może zrozumieć, i że Wichrogród będzie odpierać ataki tak długo, „jak długo ludzie o mężnych sercach będą stać na murach i zasiadać na tronie".

Przez większość czasu Lothar milczał, czasami tylko zadawał jakieś istotne pytanie, a potem kręcił głową, usłyszawszy odpowiedź Garony czy Khadgara. Wreszcie zdecydował się coś powiedzieć.

– Llane, nie pozwól sobie ślepo wierzyć w własne bezpieczeństwo! – powiedział. – Jeżeli nie będziemy mogli liczyć na Medivha, zostaniemy bardzo osłabieni. Jeśli zlekceważymy orków, czeka nas zguba. Posłuchaj, co oni mówią!

– Ależ słucham – zapewnił go Lllane. – Lecz słucham nie tylko rozumem, ale i sercem. Za młodu spędziliśmy wiele lat z Medivhem, zarówno przed, jak i podczas jego długiego snu. Pamięta o swych przyjaciołach. A kiedy odsłoni swój zamysł, jestem pewien, że nawet wy docenicie, jakiego przyjaciela mamy w wielkim magu.

Wreszcie król wstał i odprawił wszystkich, obiecując, że odpowiednio rozważy wszelkie przedstawione mu kwestie. Garona mruczała coś pod nosem, a Lothar dał im pokoje bez okien oraz ze strażą u drzwi, tak na wszelki

wypadek.

Khadgar usiłował spać, ale frustracja sprawiała, że przez większość nocy chodził w kółko. Wreszcie, kiedy zmęczenie zaczynało brać górę, rozległo się pukanie do drzwi.

Był to Lothar, w pełnej zbroi, z szatą przerzuconą przez ramię.

– Spałeś jak zabity, prawda? – powiedział, z uśmiechem wręczając mu ubranie. – Załóż to i dołącz do nas na szczycie wieży za piętnaście minut. Pośpiesz się, chłopcze.

Khadgar szybko ubrał się w strój, który składał się ze spodni, ciężkich butów i błękitnego tabardu z wyszytym lwem, symbolem Wichrogrodu.

Do ubrań Lothar dołożył też ciężki miecz. Khadgar po chwili zastanowienia przytroczył oręż do pleców. Mógł się jeszcze przydać.

Na wieży tłoczyło się przynajmniej sześć gryfów, szeleszcząc niecierpliwie skrzydłami. Byli tam też Lothar i Garona, ubrana, podobnie jak Khadgar, w tabard z lwem. I ona otrzymała od czempiona ciężki miecz.

– Nie! – warknęła na widok miny Khadgara. – Ani słowa.

– Dobrze w tym wyglądasz – powiedział. – Pasuje do koloru twoich oczu.

Garona prychnęła.

– Lothar powiedział to samo. Przekonywał mnie, że ty też będziesz tak ubrany. I że chce być pewny, że nikt nie weźmie mnie za kogoś innego i nie zastrzeli.

– Niby kto? – zdziwił się Khadgar i rozejrzał.

W świetle poranka dostrzegł, że na innych wieżach również szykowano się do odlotu. Każdy oddział liczył sobie po sześć gryfów. Khadgar nie wiedział, że na świecie, a co dopiero w Wichrogrodzie, jest tyle wyszkolonych gryfów. Lothar musiał porozmawiać z krasnoludami. Powietrze było zimne i ostre jak pchnięcie sztyletem. Lothar podszedł do nich i poprawił Khadgarowi miecz tak, aby młodzieniec mógł dosiąść gryfa.

– Jego wysokość – mruknął Lothar – pokłada głęboką wiarę w lud Wichrogrodu i grubość murów jego stolicy. Ponadto ma dobrych ludzi, którzy podejmują odpowiednie działania, gdy się myli.

– Jak my – rzekł ponuro Khadgar.

– Jak my – potwierdził Lothar. Spojrzał twardo na Khadgara i dodał: – Wiesz, pytałem cię, co z nim.

– Tak – powiedział Khadgar – a ja powiedziałem prawdę, a przynajmniej to, co wówczas za prawdę uważałem. Czułem się lojalny wobec niego.

– Rozumiem – powiedział Lothar. – I również czuję się wobec niego lojalny. Chcę się upewnić, że to, co mówiliście, jest prawdą. Ale chcę również, abyście byli w stanie zrobić to, co powinno zostać zrobione, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Khadgar skinął głową.

– Wierzysz mi, prawda?

– Dawno temu, kiedy byłem w waszym wieku, opiekowałem się Medivhem. Był wówczas w śpiączce, która zabrała mu tak wiele młodości. Sądziłem, że to był sen, ale przysięgam, że oprócz mnie był tam jeszcze jeden mężczyzna, również pilnujący maga. Wyglądał jak zbudowany z wypolerowanej miedzi, miał wielkie rogi i brodę z płomieni.

– Sargeras – odgadł Khadgar.

Lothar westchnął ciężko.

– Sądziłem, że zasnąłem, że to był sen. Widzisz, ja również byłem wobec niego lojalny. Lecz nigdy nie zapomniałem, co zobaczyłem. Z biegiem lat zacząłem jednak rozumieć, że widziałem fragment prawdy i że kiedyś może dojść do czegoś takiego. Wciąż jesteśmy w stanie ocalić Medivha, ale trzeba sprawdzić, czy ciemność nie zapuściła w nim korzeni zbyt głęboko. Potem musimy zrobić coś niespodziewanego, okropnego i całkowicie koniecznego. Pytanie brzmi: czy zdołasz tego dokonać?

Khadgar zastanowił się przez chwilę, po czym skinął głową. Serce ścisnął mu lód. Lothar uniósł dłoń. Na jego rozkaz pozostałe gryfy wzbiły się w powietrze, pierwsze promienie świtu padły na ich skrzydła i pomalowały je na złoto.

Podczas długiego lotu do Karazhanu chłód, jaki Khadgar czuł w piersi, nie ustąpił ani na chwilę. Garona leciała za nim, nie odzywała się ani słowem, tymczasem ziemia umykała pod gryfimi skrzydłami. Tym razem tereny poniżej wyglądały inaczej. Wielkie pola były tylko poczerniałymi ścierniskami, upstrzonymi ruinami zawalonych budynków. Lasy zostały wykarczowane, by

stać się pokarmem machin wojennych, pozostały po nich jedynie ohydne blizny. Wszędzie ziały wielkie dziury, potworne rany w ziemi, poszarpanej i rozdartej, odsłaniającej ukryte złoża metali. Na horyzoncie wznosiły się słupy dymu, ale Khadgar nie umiał powiedzieć, czy wzlatują nad kuźniami orków, czy nad polami bitew. Lecieli przez cały dzień i słońce rozpoczęło już swoją drogę w stronę horyzontu.

Karazhan wznosił się niczym hebanowy cień w środku krateru, nie odbijał tych ostatnich promieni, lecz je pochłaniał. Trwał pogrążony w całkowitej ciemności. Magiczne pochodnie o zamrożonych nieruchomych płomieniach też zostały zgaszone. Khadgar podejrzewał nawet, że Strażnik mógł zdecydować się na ucieczkę.

Lothar skierował swojego gryfa w dół, a młody mag poszedł w jego ślady, szybko wylądował i zeskoczył z grzbietu skrzydlatej bestii. Kiedy tylko znalazł się na dachu wieży, gryf znowu wzbił się w powietrze, krzyknął przenikliwie i odleciał na północ. Czempion Wichrogrodu był już na schodach, czujny, napięty, z mieczem w gotowości. Mimo potężnych rozmiarów poruszał się z cichą, zręczną gracją kota. Garona również ruszyła do przodu, zdążyła dobyć spod tabardu swój długi sztylet. Ciężki miecz z Wichrogrodu uderzał Khadgara o biodro. Młodzieniec w porównaniu z tamtą dwójką czuł się dziwnie niezręcznie.

Za jego plecami lądowały kolejne gryfy, z których sprawnie zeskakiwali jeźdźcy.

Obserwatorium było puste, a górny poziom pracowni mistrza opuszczony, ale nie pusty. Rozrzucono tu narzędzia, a szczątki rozbitego złotego urządzenia, astrolabium, spoczywały na półce. Zatem jeśli mag opuścił wieżę, uczynił to w pośpiechu.

Albo wcale.

Zapalono pochodnie i drużyna zaczęła schodzić w głąb wieży. Lothar, Garona i Khadgar kroczyli na czele. Kiedyś te ściany były znajome, tworzyły dom, a niezliczone stopnie stanowiły codzienne wyzwanie. Teraz magiczne pochodnie i ich zimny, zamarły płomień zgasły, zaś te niesione przez grupę nieproszonych gości rzucały na ścianę mnóstwo uzbrojonych cieni, sprawiając,

że wszystko wokół wyglądało jak wyjęte z koszmarnego snu. Wydawało się, że za każdą ścianą kryje się niebezpieczeństwo. Za każdym tonącym w mroku przejściem Khadgar spodziewał się zasadzki.

Nie znaleźli niczego. Korytarze świeciły pustkami, sale biesiadne spowijał bezruch, a sale spotkań pozbawione były życia i mebli jak zawsze. W pokojach gościnnych, choć umeblowanych, panowała taka sama cisza. Khadgar zajrzał do własnej kwatery. I tu nic się nie zmieniło.

Światło płonących pochodni rzucało dziwne cienie na ściany biblioteki, zamieniając regały z księgami i żelazne części galeryjki w najeżone blankami umocnienia. Księgi były nienaruszone, ostatnie notatki Khadgara wciąż leżały na stole. Czyżby Medivh nie cenił sobie swych zbiorów nawet na tyle, by zabrać choćby wybrane księgi?

Wzrok Khadgara przyciągnęły sterczące strzępy pergaminu; podszedł do półek z eposami. To było coś nowego. Kawałki zwoju zostały pogniecione i podarte. Khadgar podniósł większy fragment, przeczytał kilka słów i pokiwał głową.

– O co chodzi? – spytał Lothar, miał taką minę, jakby spodziewał się, że księgi mogą w każdej chwili ożyć i ich zaatakować.

– *Pieśń o Egwinie* – powiedział Khadgar. – Epicki poemat o jego matce.

Lothar burknął coś, ale Khadgar zaczął się zastanawiać. Medivh zajrzał tu już po ich ucieczce. Czy tylko po to, aby zniszczyć zwój? Nie chciał pamiętać o konflikcie z własną matką? Z zemsty za ostateczną przegraną Sargerasa z Egwiną? A może chodziło o zniszczenie szyfru używanego przez Zakon Tirisfal, co miało symbolizować rezygnację i zdradę Medivha?

Khadgar zaryzykował rzucenie prostego zaklęcia – miało ujawnić skrywane magią obecności – ale nie znalazł w bibliotece niczego szczególnego poza zaklętymi księgami, które stały tu od zawsze. Jeśli Medivh się tutaj ukrył, to uczynił to tak doskonale, że żadne zaklęcie Khadgara nie mogło go znaleźć.

– Lepiej zachowaj siły na chwilę, kiedy go spotkamy – rzucił Lothar, zauważywszy, że młodzieniec kreśli w powietrzu magiczne symbole.

Khadgar nie był pewien, czy w ogóle uda im się odnaleźć Strażnika.

Najpierw na najniższym poziomie, między wejściem do kuchni i spiżarnią,

znaleźli Moriosa. Udręczone ciało leżało rozciągnięte na środku korytarza, a krwawa tęcza rozpinała swój łuk po jednej jego stronie. Morios oczy miał szeroko otwarte, a jego twarz była zadziwiająco spokojna. Wydawało się, że nawet śmierć nie mogła zaskoczyć kasztelana.

Garona zajrzała do kuchni i wróciła chwilę później, pobladła, trzymając w dłoni jakiś przedmiot. Pokazała go Khadgarowi.

Para rozbitych różowych okularów. Kucharka.

Znalezienie zwłok wzmogło czujność i napięcie żołnierzy. Przeszli do wielkiego, sklepionego przedsionka, a stamtąd na podwórze. Nigdzie nie było nawet śladu Medivha.

– Czy może mieć jeszcze jedną kryjówkę? – spytał Lothar. – Inne miejsce, gdzie mógłby się schować?

– Często znikał – odparł Khadgar. – Czasem na całe dni, a potem pojawiał się tak samo nieoczekiwanie.

Coś poruszyło się na balkonie nad głównym wejściem, powietrze zafalowało nieznacznie. Khadgar popatrzył w tamtą stronę, ale wszystko wyglądało normalnie.

– Może udał się do orków, aby je poprowadzić – zasugerował czempion. Garona pokręciła głową.

– Nigdy nie zaakceptowaliby ludzkiego przywódcy.

– Nie mógł rozpłynąć się w powietrzu! – zagrzmiał Lothar i krzyknął do żołnierzy: –Formować szyk! Wracamy!

– Nie zniknął. Wracamy do wieży – oświadczyła Garona, ignorując słowa Lothara.

Przeszła między żołnierzami niczym łódka tnąca dziobem błękit fal.

Zniknęła w otwartej paszczy wejścia. Lothar spojrzał na Khadgara, ten odpowiedział mu wzruszeniem ramion i poszedł za Garoną.

Morios leżał tam, gdzie go zostawili, krew płynąca z jego ran wyrysowała na podłodze ćwierć okręgu, poczynając od ściany. Garona dotknęła ściany, jakby badała ją dotykiem. Zmarszczyła czoło, zaklęła i uderzyła w nią, odgłos był płaski i wytłumiony, jak zawsze gdy uderza się w coś solidnego.

– Powinny być tutaj – oznajmiła.

– Co? – spytał Khadgar.

– Drzwi.

– Tutaj nigdy nie było drzwi.

– Powiedziałabym raczej, że były tu zawsze. Tylko nigdy ich nie widziałeś. Spójrz. Morios skonał tutaj. – Postawiła nogę obok ściany – A potem jego ciało zostało przesunięte, stąd ta smuga krwi.

Lothar mruknął z aprobatą i również zaczął badać ścianę dłońmi.

Khadgar spojrzał na mur, wydawałoby się nieprzenikniony. Przychodził tutaj pięć czy sześć razy dziennie. Po drugiej stronie powinna być tylko ziemia i kamień. A jednak…

– Cofnijcie się – polecił towarzyszom. – Pozwólcie, że coś sprawdzę.

Odsunęli się posłusznie, zaś Khadgar zaczerpnął z otoczenia energię niezbędnej do czaru. Używał tego zaklęcia już wcześniej na prawdziwych drzwiach i zamkniętych księgach, ale po raz pierwszy próbował użyć go na drzwiach, których nie widział. Usiłował wyobrazić sobie zamknięte skrzydło, ocenić, jak byłoby duże, skoro ciało Moriosa musiało zostać przemieszczone, gdzie wypadłyby zawiasy i futryna, gdzie umieściłby zamki, gdyby pragnął utrzymać ich istnienie w tajemnicy.

Wyobraził sobie drzwi i cisnął w nie odrobiną magii, aby poruszyć niewidzialną zapadkę. Ku jego zaskoczeniu mur przesunął się, tworząc szczelinę po jednej stronie. Niewielką, lecz na tyle wyraźną, że można było dostrzec drzwi, których wcześniej nie było.

– Użyjcie mieczy i otwórzcie je! – warknął Lothar i żołnierze ruszyli naprzód.

Kamienne drzwi opierały się przez jakiś czas ich wysiłkom, po czym jakiś ukryty wewnątrz mechanizm trzasnął głośno i otworzyły się szeroko, przesuwając ciało Moriosa. Za nimi widniały schody prowadzące w dół.

– Nie rozwiał się w powietrzu – stwierdziła ponuro Garona. – Został tutaj, ale udał się do miejsca, o którym nikt nie wiedział.

Khadgar spojrzał na skulone ciało Moriosa.

– Prawie nikt. Zastanawiam się, co jeszcze ukrywa.

Zaczęli schodzić powoli i z każdym stopniem Khadgar miał coraz gorsze

przeczucia. Podczas gdy górne piętra ziały pustką, w podziemiach panowała niemal wyczuwalna złowieszcza aura zagrożenia. Szorstkie ściany i podłoga były wilgotne, a światło pochodni wydawało się wić niczym żywe stworzenie.

Minęła chwila, nim Khadgar uświadomił sobie, że prowadzące w dół schody zakręcają w kierunku przeciwnym niż te w wieży, jakby stanowiły lustrzane odbicie tamtych nad powierzchnią ziemi.

I rzeczywiście, tam, gdzie w wieży znajdował się salon, tutaj był loch pełen żelaznych łańcuchów. Tam, gdzie na górze była sala bankietowa, tu był pokój zasłany jakimiś odłamkami i poznaczony mistycznymi kręgami. Powietrze było ciężkie, przytłaczające, zupełnie jak w wieży w Wichrogrodzie, gdzie zginęli Huglar i Hugarin. To tutaj został przyzwany demon, który ich zaatakował.

Kiedy dotarli do poziomu odzwierciedlającego bibliotekę, znaleźli okute żelazem drzwi. Schody prowadziły jeszcze niżej, ale grupa nieproszonych gości zatrzymała się tutaj. Poczęli oglądać mistyczne symbole wyrzeźbione głęboko w drzewie i wypełnione brązowiejącą krwią.

Wyglądało to tak, jakby krwawiło same drewno. W zranionych drzwiach zamocowano dwa wielkie żelazne pierścienie.

– To chyba biblioteka – odezwał się Khadgar.

Lothar pokiwał głową. Również dostrzegł podobieństwa między wieżą a wydrążoną w ziemi kryjówką maga.

– Zobaczmy, co tu trzyma, skoro wszystkie książki są na górze.

– Jego pracownia znajduje się na szczycie wieży, podobnie jak obserwatorium – podsunęła Garona – tutaj pewnie siedzi na samym dole. Powinniśmy się pospieszyć.

Lecz było już za późno. Kiedy Khadgar dotknął okutych żelazem drzwi, z jego palca na drewno przeskoczyła iskra, znak magicznej pułapki. Khadgar zdążył jeszcze zakląć, kiedy drzwi otworzyły się, uwalniając mrok biblioteki.

Psiarni. Sargeras nie potrzebował wiedzy, zatem oddał komnatę swoim ulubieńcom. Stwory żyły tu w ciemności, jaką same tworzyły. Na korytarz buchnął gryzący dym.

Khadgar zobaczył oczy. Oczy, płonące paszcze, ciała z ognia i cienia. Wolno zbliżały się, powarkując.

Nakreślił w powietrzu runy, gromadząc energię, aby zamknąć te drzwi, podczas gdy żołnierze szarpali się z wielkimi pierścieniami. Jednak ani siła mięśni, ani zaklęcie nie poruszyły wielkich skrzydeł.

Bestie zarechotały radośnie ochrypłym, wstrętnym śmiechem i przyczaiły się do ataku.

Khadgar uniósł dłonie, aby rzucić następny czar, ale Lothar ściągnął mu je w dół.

– To strata czasu i energii – powiedział. – Mają opóźnić nasz marsz. Idź na dół i znajdź Medivha.

– Ale one… – zaczął Khadgar, ale wtedy ogromny demon-zwierz rzucił się do ataku.

Lothar zrobił dwa kroki do przodu i uniósł miecz, aby stawić czoła bestii. Kiedy podnosił ostrze, wyryte na nim runy rozbłysły jasnożółtym światłem. Przez ułamek chwili Khadgar widział strach w ślepiach demona.

Miecz Lothara wykreślił łuk i zatrzymał potwora w pół skoku. Ostrze wgryzło się głęboko w ciało stwora, wychynęło na grzbiecie, niemalże przerąbawszy demona na pół. Zdążył zaskamleć, ale miecz Lothara nie zatrzymał się ani na chwilę i uderzenie serca później dotarł już do czaszki monstrum. Dymiące truchło, kapiące ogniem i krwawiące cieniem, upadło u stóp czempiona.

– Idź! – zagrzmiał wojownik. – Zajmiemy się nimi i dołączymy później.

Garona chwyciła za ramię Khadgara i pociągnęła go w dół schodów. Za nimi żołnierze dobyli broni, a runy zalśniły wśród płomieni i poczęły rozpraszać mrok.

Khadgar i Garona schodzili w dół, a za ich plecami rozbrzmiewały krzyki konających ludzi i demonów.

Garona w jednej dłoni ściskała swój sztylet, w drugiej pochwę. Teraz Khadgar dostrzegł, że ściany słabo lśniły czerwonawym blaskiem, jakby porastał je jakiś fosforyzujący nocą grzyb, rosnący gdzieś głęboko w lesie. Robiło się coraz cieplej. Czoło młodego maga, podobnie jak półorczycy, mokre było od potu.

Kiedy weszli do jednej z sal jadalnych, Khadgar poczuł, że żołądek skręca

mu się boleśnie i nagle oboje znaleźli się zupełnie gdzie indziej. Coś ogarnęło ich jak wiatr gnany letnią burzą.

Znajdowali się na szczycie jednej z większych wież Wichrogrodu, a wokół nich płonęło miasto. W niebo biły słupy czarnego dymu, tworząc nad ich głowami gruby, nieprzenikniony całun, który całkowicie przesłonił słońce. Podobnie nieprzenikniony pierścień ciemności otaczał mury miasta, a tworzyły go ciała orków. Gigantyczne czarne żuki orczych oddziałów pełzały po niedawno żywotnym jeszcze ciele, jakim były pola wokół miasta. Teraz jak okiem sięgnąć widać było jedynie machiny oblężnicze i atakującą piechotę. Barwy sztandarów układały się w obrzydliwą tęczę.

Lasy również zniknęły. Drzewa przerobiono na katapulty, z których na miasto padał deszcz ognia.

Większość dolnego grodu stała w płomieniach. Na oczach Khadgara część zewnętrznego muru zwaliła się z hukiem. Małe laleczki w barwach zieleni i błękitu walczyły na rumowisku.

– Jak się dosta…? – zaczęła Garona.

– Wizja – powiedział krótko Khadgar, choć zastanowił się, czy ta była spowodowana naturą wieży, nawet jej podziemnej części, czy też wywołał ją Medivh, chcąc opóźnić intruzów.

– Mówiłam królowi. Mówiłam, ale nie słuchał – wymamrotała. – To jest wizja przyszłości? Jak możemy się z niej wydostać?

Młody mag pokręcił głową.

– Nie możemy, przynajmniej w tej chwili. Dotychczas same pojawiały się i odchodziły. Czasem może je przerwać solidny wstrząs.

Płonąca bryła czegoś – ognisty pocisk katapulty – przeleciała obok i roztrzaskała się na kawałki. Kiedy spadła na kamienie, Khadgar poczuł bijące od niej ciepło.

Garona rozejrzała się po bitewnym krajobrazie.

– Dobrze, że to wyłącznie orkowie – rzekła ponuro.

– Dobrze?! – wykrztusił Khadgar, smuga gryzącego dymu z płonącego miasta owionęła go na moment i zasnuła mu oczy łzami.

– W orczych armiach nie ma demonów – zwróciła mu uwagę Garona. –

Gdyby był z nimi Medivh, moglibyśmy zobaczyć coś znacznie gorszego. Może udało się nam nakłonić go do pomocy.

– Wśród naszych oddziałów również nie widzę Medivha – powiedział Khadgar, zapominając, do kogo mówi. – Nie żyje? Uciekł?

– Jak daleko w przyszłości się znajdujemy?

Za nimi coraz głośniej rozbrzmiewała kłótnia. Odwrócili się. Stali na progu jednej z komnat zamienionych w centrum dowodzenia. Pośrodku ustawiono wielki stół z makietą miasta, rozrzucone pionki symbolizowały oddziały ludzi i orków. Llane stał pochylony nad tą realistyczną mapą, wysłuchując kolejnych raportów z miasta.

– Wyłom wzdłuż Muru Kupców!

– Coraz więcej pożarów w dolnym mieście!

– Siły orków znów gromadzą się przy głównej bramie. Tym razem to chyba ich magowie!

Khadgar dostrzegł, że w sali nie było nikogo z doradców, których spotkał w trakcie własnej audiencji. Zastąpili ich ponurzy mężczyźni w prostych żołnierskich strojach. Lothara nie było wśród nich. Khadgar mógł mieć tylko nadzieję, że czempion znajduje się na polu bitwy.

Llane przesuwał dłoń nad mapą zręcznie i szybko, jakby miasto było atakowane regularnie.

– Sprowadźcie Czwartą i Piątą Kompanię, aby wzmocnić wyłom. Niech milicja zorganizuje brygady z wiadrami. Wodę brać z publicznych łaźni. Dwa oddziały kopijników do głównej bramy. Kiedy orkowie zaczną napierać, niech zrobią wycieczkę. To powinno zatrzymać atak. Sprowadźcie dwóch magów z ulicy Złotników; czy już tam skończyli?

– Atak został odparty – nadszedł meldunek. – Magowie są wyczerpani.

Llane kiwnął głową.

– Niech zatem odpoczną, sprowadźcie ich za godzinę. Zamiast nich weźcie młodszych magów z akademii. Niech będzie ich dwa razy więcej, ale niech zachowają ostrożność. Bortonie, niech twoi ludzie znajdą się przy wschodnim murze. Osobiście tam bym właśnie uderzył.

Llane rozdawał zadania wszystkim dowódcom po kolei. Nie było kłótni,

dyskusji, sugestii. Każdy wojownik kiwał głową i odchodził. W końcu pozostał tylko król i makieta miasta, którego prawdziwa wersja płonęła za oknami.

Król pochylił się, opierając zwinięte w pięści dłonie o blat stołu. Postarzał się, zmęczenie wyryło na jego twarzy głębokie bruzdy.

– Teraz wy możecie złożyć mi meldunek – powiedział w przestrzeń, podniósłszy głowę.

Kotara naprzeciwko zafalowała i wyszła zza niej Garona. Wersja stojąca u boku Khadgara gwałtownie wciągnęła powietrze.

Garona z przyszłości nosiła swoje zwykłe czarne spodnie i czarną jedwabną koszulę, ale na ramionach miała płaszcz z lwią głową Wichrogrodu. Jej spojrzenie było dzikie. Garona z teraźniejszości złapała Khadgara za ramię, aż młodzieniec poczuł wbijające mu się w ciało paznokcie.

– Złe wieści, panie – rzekła Garona, podchodząc do króla. – Różne klany przystąpiły razem do ataku na miasto, zjednoczone pod wodzą Czarnorękiego Niszczyciela. Żaden z nich nie zdradzi pozostałych, dopóki Wichrogród nie padnie. Przed zmierzchem Gul'dan przyprowadzi swoich czarnoksiężników. Do tego czasu klan Czarnej Skały będzie próbował zdobyć wschodni mur.

Khadgar słyszał, jak drży głos przyszłej Garony.

Llane westchnął ciężko.

– Atak odeprzemy tak, jak inne. Wytrwamy, dopóki nie przybędą posiłki. Tak długo jak ludzie o mężnych sercach stoją na murach i zasiadają na tronie, Wichrogród nie upadnie.

Garona z przyszłości kiwnęła głową i teraz Khadgar widział duże łzy spływające po zielonych policzkach.

– Orczy wodzowie zgadzają się z twoim zdaniem – powiedziała, a jej dłoń zanurkowała pod czarną koszulę.

Zarówno Khadgar, jak i prawdziwa Garona krzyknęli równocześnie, gdy półorczyca z przyszłości wyciągnęła długi sztylet i wbiła go w pierś króla. Poruszała się z taką szybkością i gracją, że na twarzy króla Llane'a zdążył się tylko pojawić wyraz zaskoczenia. Zawisł na moment na długim ostrzu, patrząc na Garonę szeroko otwartymi, pustymi oczami.

– Orczy wodzowie zgadzają się z twoim zdaniem – powtórzyła, wciąż

płacząc – i wynajęli zabójcę, aby cię usunął. Kogoś, kto mógł podejść do ciebie blisko. Kogoś, z kim nie obawiałabyś się zostać sam na sam.

Llane, król Wichrogrodu, sojusznik maga i wojownika, osunął się na posadzkę.

– Wybacz mi – szepnęła przyszła Garona.

– Nie! – krzyknęła Garona z teraźniejszości, sama osuwając się na posadzkę.

Niespodziewanie znowu znaleźli się w fałszywej jadalni. Konające miasto zniknęło, a wraz z nim ciało zamordowanego króla. Pozostały łzy Garony, lśniące teraz w oczach tej prawdziwej.

– Mam go zabić – powiedziała cicho. – Mam go zabić. Traktował mnie dobrze i słuchał, kiedy mówiłam, a ja mam go zabić. Nie.

Khadgar uklęknął obok niej.

– Już dobrze. To może nie być prawda. To może się nie zdarzyć. To wizja.

– To prawda – upierała się. – Widziałam ją i wiem, że to prawda.

Khadgar milczał przez chwilę, rozważając swoją wizję przyszłości rozgrywającą się pod czerwonym niebem, gdzie walczył z ludem Garony. Wiedział, że to także prawda.

– Musimy iść – nalegał, ale Garona pokręciła głową.

– Sądziłam, że znalazłam dla siebie miejsce z dala od orków. Teraz jednak wiem, że mam wszystko zniszczyć.

Khadgar spojrzał w górę i w dół schodów. Nie miał pojęcia, jak szło ludziom Lothara z demonami, nie wiedział też, co znajduje się na dnie podziemnej wieży. Odetchnął głęboko z ponurą miną.

I mocno uderzył Garonę w twarz.

Rozciął sobie dłoń o jej kieł, ale reakcja Garony była natychmiastowa. Szeroko otworzyła pełne łez oczy i wykrzywiła się z wściekłości.

– Dureń! – krzyknęła i skoczyła na Khadgara, przewracając go na ziemię. – Nigdy tego nie rób! Słyszałeś?! Zrób tak jeszcze raz, to cię zabiję!

Khadgar leżał na plecach, przygnieciony kolanem towarzyszki. Nie widział, kiedy wyciągnęła sztylet, ale teraz ostrze dotykało jego szyi.

– Nie możesz – wydusił z surowym uśmiechem. – Miałem wizję własnej przyszłości. Sądzę, że jest równie prawdziwa. Jeśli tak, nie możesz mnie teraz

zabić. To samo dotyczy ciebie.

Garona zamrugała i przysiadła na piętach, nagle znów opanowana.

– Zatem, jeśli zamierzam zabić króla…

– Wyjdziesz stąd żywa – powiedział Khadgar. – Ja też.

– A jeśli się mylimy… jeśli wizja jest fałszywa?

Khadgar wstał.

– Wtedy umrzesz, wiedząc, że nigdy nie zabijesz króla Wichrogrodu.

Garona siedziała przez chwilę, rozważając wszystkie możliwości.

– Pomóż mi wstać. Musimy iść – zadecydowała wreszcie.

Ruszyli dalej, w dół, po lustrzanych schodach. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie nad ziemią znajdowało się obserwatorium i pracownia Medivha. Schody skończyły się przejściem na czerwonawą płaszczyznę. Wydawała się wyrzeźbiona ze stygnącego obsydianu, którego ciemne, błyszczące kawałki unosiły się na powierzchni ognia pod ich stopami. Khadgar odruchowo się cofnął, ale podłoże było twarde, a żar, choć uciążliwy, był do zniesienia.

W centrum wielkiej jaskini znajdowała się niewielka kolekcja żelaznych mebli. Stół do pracy i stołek, fotele i kilka szafek. Khadgarowi widok wydał się niepokojąco znajomy. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że meble były ustawione dokładnie tak, jak w komnacie Medivha.

Między żelaznymi meblami górowała barczysta sylwetka maga. Khadgar usiłował dostrzec w zachowaniu mistrza, w jego wyglądzie, obejściu coś, co świadczyłoby, że to nie Medivh, którego znał i któremu dowierzał. Że to nie nauczyciel, który mu zaufał i zachęcał go do pracy. Jakieś potwierdzenie, że oto stanęli przed kimś innym, kimś obcym.

Nie dostrzegł. Khadgar patrzył na jedynego Medivha, jakiego znał.

– Witaj, Młody Powierniku – powiedział Medivh, a gdy się uśmiechał, na jego brodzie zajaśniały płomienie. – Witaj, wysłanniczko. Oczekiwałem na was.

Rozdział 16

Koniec maga

– Muszę przyznać, że to było natchnione – powiedział Medivh, który był, a zarazem nie był Medivhem. – Natchnione. Przywołać cień mojej przeszłości, jej okruch, który powstrzymał mnie przed ściganiem waszej dwójki. Oczywiście kiedy wy zbieraliście siły, ja robiłem to samo.

Khadgar spojrzał na Garonę i skinął głową. Półorczyca zrobiła pół kroku w prawo.

Jeśli będzie taka potrzeba, okrążą Strażnika.

– Mistrzu, co się z tobą stało? – powiedział Khadgar, robiąc krok do przodu i usiłując skupić na sobie uwagę maga. Medivh roześmiał się na to pytanie.

– Co mi się stało? Nic mi się nie stało. Taki właśnie jestem. Byłem spaczony od dnia narodzin, skażony jeszcze przed poczęciem. Zepsutym ziarnem, które wydało gorzki owoc. Nigdy nie widziałeś prawdziwego Medivha.

– Mistrzu, cokolwiek się stało, jestem pewien, że można to naprawić. – Khadgar powoli ruszył w stronę nauczyciela. Garona zachodziła go z prawej, sztylet o długim ostrzu gdzieś zniknął, dłonie miała puste.

– Czemu miałbym to naprawiać? – zdziwił się Medivh ze złym uśmiechem. – Wszystko idzie tak, jak zaplanowałem. Orkowie wybiją ludzi, a ja będę kontrolował ich dzięki czarnoksiężnikom takim jak Gul’dan. Poprowadzę te nieszczęsne, zniekształcone stwory do zaginionego grobowca, w którym spoczywa ciało Sargerasa, niedostępne dla ludzi i demonów, lecz w żaden sposób niechronione przed orkami, i moja forma zostanie uwolniona. Wówczas zrzucę to nędzne, kluchowate ciało oraz osłabionego ducha i spalę ten świat, jak sobie na to po tysiąckroć zasłużył.

– To ty jesteś Sargerasem. – Khadgar zrobił krok w lewo.

– Tak i nie – powiedział mag. – Jestem, albowiem gdy Egwina zabiła moje fizyczne ciało, ukryłem się wewnątrz jej łona i nasyciłem moją mroczną esencją jej komórki. Kiedy Egwina wreszcie postanowiła połączyć się z ludzkim magiem, już tam byłem. Mroczny bliźniak Medivha, całkowicie zanurzony wewnątrz jego postaci.

– Potworne – ocenił Khadgar.

Medivh uśmiechnął się.

– Niezbyt różni się to od tego, co planowała Egwina, gdyż ona również umieściła moc Rady Tirisfal wewnątrz dziecka. Nic dziwnego, że tak niewiele miejsca pozostało dla samego Medivha, gdy demon i Światłość walczyły o jego duszę. Zatem kiedy moc naprawdę się w nim objawiła, musiałem wyciszyć go na chwilę, dopóki nie zdołałem wcielić w życie moich własnych planów.

Khadgar wciąż przesuwał się na lewo, usiłując nie patrzeć na Garonę skradającą się za Strażnikiem. – Czy jest w tobie choć trochę prawdziwego Medivha?

– Odrobina – odparł demon. – Dość, aby rozmawiać z wami, pomniejszymi istotami. Dość, aby ogłupić królów i magów, jak chciałem. Medivh to maska. Pozostawiłem go na powierzchni, na użytek innych. Zatem, kiedy moje działania zdają się dziwne czy nawet szalone, przypisuje się je mojej pozycji i odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży, oraz mocy przekazanej mi przez moją drogą matkę. – Mag uśmiechnął się drapieżnie. – Najpierw zostałem stworzony przez plany Egwiny, aby być jej narzędziem, potem ukształtowały mnie ręce demona. Nawet Zakon nie uważał mnie za coś więcej niż skuteczną broń przeciw demonom. Nic więc dziwnego, że jestem tylko sumą swych części.

Garona znajdowała się już za magiem i z wyciągniętym sztyletem przesuwała się bezszelestnie po obsydianowej podłodze. W jej oczach nie było już łez, raczej żelazna determinacja. Khadgar pozostał skupiony na swym rozmówcy Medivhie, nie chcąc zdradzić Garony nawet przypadkowym spojrzeniem.

– Widzisz – ciągnął tymczasem mistrz – nie jestem niczym więcej niż jeszcze jednym składnikiem wielkiej machiny, która działa od czasu, kiedy

Studnia Wieczności została zniszczona. Jedyną kwestią, w której kawałki prawdziwego Medivha i ja się zgadzamy, jest to, że ten cykl musi zostać przerwany. Zapewniam cię, że co do tego jesteśmy całkiem zgodni.

Garona znajdowała się o krok od niego z uniesionym sztyletem. Zrobiła ostatni ruch.

– Przepraszam – rzekł Medivh i zamachnął się, zaciskając dłoń w pięść. Wokół kostek jego palców zatańczyła tajemna energia i trafiła półorczycę prosto w twarz. Garona zatoczyła się w tył.

Khadgar zaklął i uniósł dłonie, by rzucić zaklęcie. Coś, co wytrąci maga z równowagi. Coś prostego. Coś szybkiego.

Medivh był szybszy, obrócił się ku niemu i uniósł dłoń z palcami zakrzywionymi na kształt szponów. Khadgar poczuł, jak powietrze wokół niego tężeje, zestala się, zmienia w płaszcz pętający mu ręce i nogi. Nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Krzyczał, ale jego głos był stłumiony i dochodził jakby z ogromnej odległości.

Medivh uniósł drugą dłoń i ciało Khadgara przeszył ból. Młodzieniec miał wrażenie, jak gdyby ktoś wraził mu rozpalone do białości gwoździe we wszystkie stawy. Pierś ścisnęła mu się w agonii, czuł, jakby ciało mu wyschło i ześlizgiwało się z kości. Jakby wypływały zeń wszystkie płyny, pozostawiając wysuszone zwłoki. I czuł, jak uchodzi z niego magia, wszelka zdolność do rzucania czarów i przyzywania koniecznych mocy. Zupełnie jakby przemienił się w dziurawe naczynie, które właśnie stawało się puste.

Atak zakończył się równie nagle, jak się rozpoczął, a Khadgar bez sił opadł na podłogę. Każdy oddech przeszywał mu pierś bólem.

Garona zdążyła już dojść do siebie po ciosie i ponownie skoczyła na maga. Z bojowym okrzykiem uniosła sztylet, szykując się przebić pierś i serce Medivha. Strażnik zamiast cofnąć się, zrobić unik, skrócił nagle dystans. Pochwycił Garonę w pół kroku, łapiąc za czoło. Znieruchomiała jak zmieniona w kamień.

Jego dłoń rozjarzyła się chorobliwie żółtą energią i Garona trwała tak, bezradna, a jej ciałem targały drgawki.

– Biedna, biedna Garona – szydził Medivh. – Sądziłem, że przy twoim

mieszanym pochodzeniu ty jedna zrozumiesz, co przechodzę. Że zrozumiesz, jak ważne jest, by iść własną drogą. Lecz ty jesteś taka jak inni, nieprawdaż?

Garona wlepiała weń szeroko otwarte, wypełnione cierpieniem oczy. Zdołała jedynie zacharczeć w odpowiedzi.

– Pozwól, że pokażę ci mój świat, Garono – zaproponował Medivh. – Pozwól, że przeleję moje wątpliwości w ciebie. Nigdy nie będziesz wiedziała, komu służysz i dlaczego. Nigdy nie zaznasz spokoju.

Garona próbowała krzyczeć, ale dźwięk zamarł jej w gardle. Światło płynące z dłoni Medivha oblewało jej twarz.

Medivh roześmiał się i Garona upadła z łkaniem na ziemię. Usiłowała wstać, ale bezskutecznie. Oczy miała wielkie i dzikie, oddychała spazmatycznie, krztusząc się łzami.

Khadgar zdołał złapać wreszcie powietrze, ale był to oddech krótki i płytki. Stawy go paliły, a mięśnie bolały. W obsydianowej posadzce zobaczył swoje odbicie…

Spoglądał na niego starzec z wizji. Zmęczone oczy otoczone zmarszczkami, twarz w ramie siwych włosów i biała długa broda.

Serce w nim zamarło. Pozbawiono go młodości, magii i czuł, że nie zdoła przeżyć nadchodzącej bitwy.

– To było pouczające – oświadczył Medivh, odwracając się do swego ucznia. – Jednym z minusów ludzkich komórek, wewnątrz których jestem uwięziony, jest to, że ludzka część wciąż się do kogoś wyrywa. Zaprzyjaźnić się. Pomagać. Przez to tak trudno ich później zniszczyć. Wiesz, że kiedy zabijałem Moriosa i Kucharkę, niemal płakałem? Dlatego musiałem zejść na dół. Lecz z zabijaniem bliskich jest jak z każdą inną czynnością. Kiedy już się do tego przyzwyczaisz, możesz zabijać przyjaciół na kopy.

Stał teraz o kilka kroków od Khadgara, wyprostowany, o oczach pełnych życia. Wyglądał jak Medivh bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wyglądał na pewnego siebie. Rozluźnionego. Wyglądał przerażająco wręcz normalnie.

– A teraz czas, byś umarł, Powierniku – oznajmił. – Wygląda na to, że jednak pokładałeś wiarę i zaufanie w niewłaściwej osobie.

Medivh uniósł dłoń pełną magicznej energii.

– Medivhie! – ryknął Lothar, czempion Wichrogrodu.

Medivh podniósł głowę. Na chwilę jego rysy zmiękły, dłoń wciąż jarzyła się magicznym płomieniem.

– Anduin? Stary przyjacielu, czemu tu przybyłeś?

– Przestań, Med – poprosił Lothar, a Khadgar słyszał ból w głosie czempiona. – Przestań, nim będzie za późno. Nie chcę z tobą walczyć.

– Ja też nie, stary przyjacielu – zapewnił go Medivh, unosząc dłoń. – Nie masz pojęcia, jak to jest robić rzeczy, które zrobiłem. Okrutne rzeczy. Rzeczy konieczne. Nie chcę z tobą walczyć. Odłóż broń, przyjacielu, i niech się stanie.

Medivh otworzył dłoń i kawałki magii popłynęły w stronę czempiona i skąpały go w gwiazdach.

– Chcesz mi pomóc, prawda, stary przyjacielu? – spytał Medivh, uśmiechając się okrutnie. – Chcesz być moim sługą. Pomóż mi pozbyć się tego dziecka. Wtedy znów będziemy przyjaciółmi.

Migoczące gwiazdy wokół Lothara przygasły, a czempion powoli zrobił krok, potem następny, wreszcie trzeci, a w końcu pobiegł. W biegu uniósł pokryty runami miecz. Atakował Medivha, nie Khadgara. W jego krzyku narastało przekleństwo, stłumione przez smutek i łzy.

Medivh był zaskoczony, ale tylko przez chwilę. Cofnął się i pierwszy cios Lothara ze świstem przeciął powietrze w miejscu, gdzie mag stał jeszcze uderzenie serca wcześniej. Czempion wyhamował ruch ostrza i cofnął je, zmuszając maga do kolejnego kroku w tył. A potem wyprowadził cios znad głowy i Medivh znów się cofnął.

Mag jednak otrząsnął się szybko i następny cios wylądował wprost na tarczy błękitnej energii, krzesząc nieszkodliwe żółte iskry. Lothar próbował ciąć z góry, pchać, potem znowu ciąć. Jednak za każdym razem trafiał w tarczę.

Medivh ściągnął wargi, ukazał zęby w grymasie wściekłości i uniósł dłoń z zakrzywionymi palcami. W jej wnętrzu tańczyła magia. Lothar krzyknął w agonii, kiedy jego ubranie nagle stanęło w ogniu. Medivh uśmiechnął się, zadowolony ze swego dzieła, po czym machnął dłonią, ciskając płonącym Lotharem jak lalką.

– Możesz. Zabijać. Przyjaciół. – Wyskandował i odwrócił się w stronę

miejsca, gdzie przed chwilą klęczał Khadgar.

Tylko że Khadgara tam nie było. Medivh rozejrzał się i znalazł niemłodego już maga za sobą, ściskającego w dłoni miecz otrzymany od Lothara. Ostrze było wycelowane prosto w pierś Medivha. Runy migotały jak miniaturowe słońca.

– Nawet nie drgnij – ostrzegł go Khadgar.

Minęła chwila, a po policzku Medivha spłynęła kropla potu.

– Zatem do tego doszło – rzekł. – Nie sądzę, abyś miał dość umiejętności oraz siły woli, aby tego właściwie użyć, Powierniku.

– A ja sądzę – odpowiedział mu Khadgar, choć w jego głosie słychać było gwizdy i bulgotanie – że ludzka część ciebie, Medivhie, zatrzymywała ludzi wokół ciebie wbrew twym własnym planom. Jako wsparcie. Jako plan na okoliczność, kiedy wreszcie do końca pogrążysz się w szaleństwie. A wszystko po to, żeby twoi przyjaciele zdołali cię powstrzymać. Abyśmy przerwali cykl, kiedy ty nie będziesz do tego zdolny.

Medivh westchnął cicho, a rysy jego twarzy złagodniały.

– Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić – zapewnił. – Chciałem tylko mieć własne życie.

Kiedy tak mówił, wyciągnął lśniącą od magicznej energii rękę, usiłując pochwycić Khadgara i pomieszać mu zmysły, jak uczynił z Garoną.

Nie miał szans. Gdy tylko drgnął, Khadgar naparł na rękojeść i wbił ostrze runicznego miecza prosto w serce Strażnika.

Medivh wyglądał na zaskoczonego, nawet wstrząśniętego, ale jego usta nadal się poruszały. Usiłował coś powiedzieć.

Khadgar pchnął mocniej i sztych wychynął Medivhowi na plecach. Mag osunął się na kolana, a Khadgar przyklęknął wraz z nim, nie wypuszczając miecza z rąk. Medivh westchnął i znów poruszył wargami.

– Dziękuję… – wykrztusił wreszcie. – Walczyłem tak długo, jak mogłem…

Potem twarz Medivha zaczęła się zmieniać, broda zapłonęła ogniem, nad brwią wyrosły rogi. W chwili gdy skonał Medivh, Sargeras uwidocznił się w pełni. Khadgar czuł, jak rękojeść runicznego miecza robi się coraz cieplejsza. Płomienie zatańczyły na ciele Medivha, zamieniając go w istotę z cienia i ognia.

Khadgar zobaczył, jak za plecami klęczącego Strażnika Lothar dźwiga się z podłogi. Czempion chwiejnie ruszył do przodu, choć wciąż tlił się i dymił. Raz jeszcze uniósł swą klingę i ciął płasko.

Kiedy ostrze trafiło w szyję Medivha, zajaśniało jak słońce. Głowa maga spadła z ramion.

Zupełnie jakby czempion otworzył tym sposobem zalakowaną butlę. Wszystko, co kryło się wewnątrz Medivha, wyrwało się na zewnątrz przez resztki szyi. Wielki strumień energii i światła, cienia i ognia, dymu i gniewu wystrzelił niczym gejzer, uderzył o sufit podziemnej komnaty i tam się rozwiał bez śladu. Khadgarowi wydawało się, że wewnątrz tego kotła energii dostrzega rogatą twarz, wykrzywioną w niemym krzyku rozpaczy i gniewu.

A kiedy to wszystko się skończyło, z maga pozostały tylko skóra i szaty. Wszystko, co się w nim znajdowało, zostało wchłonięte, pożarte, a kiedy jego ludzka postać została rozerwana, już nic nie mogło utrzymać tego, co się w niej kryło.

Lothar czubkiem miecza trącił szczątki przyjaciela.

– Musimy iść – oznajmił.

Khadgar rozejrzał się. Nigdzie nie widział Garony. Głowa Medivha była teraz tylko lśniącą, czerwono-białą czaszką.

– Muszę tu zostać i zająć się kilkoma rzeczami – odpowiedział.

– Największe niebezpieczeństwo już minęło – warknął gardłowo Lothar – ale najważniejsze nadal trzeba zrobić. Musimy odeprzeć orków i zamknąć portal.

Khadgar pomyślał o wizji, o płonącym Wichrogrodzie i śmierci Llane'a. Pomyślał o wizji samego siebie, o swojej postarzałej wersji stającej do ostatecznej bitwy z orkami. Zachował to jednak dla siebie.

– Muszę pochować szczątki Medivha – powiedział tylko. – Powinienem odnaleźć Garonę. Nie mogła odejść daleko.

Lothar mruknął coś i powlókł się w stronę wejścia. W progu odwrócił się i spojrzał na Khadgara.

– Wiesz, że nie mogliśmy tego powstrzymać. Próbowaliśmy to zmienić, ale to wszystko było częścią większego planu.

Khadgar wolno skinął głową.

– Wiem. Wszystko jest częścią większego cyklu. Cyklu, który może wreszcie został przerwany.

Lothar pozostawił byłego ucznia pod wieżą, zaś Khadgar pozbierał szczątki swego nauczyciela. W stajni znalazł łopatę i drewnianą skrzynkę. Złożył w niej czaszkę i kawałki skóry wraz z podartymi resztkami *Pieśni o Egwinie* i zakopał wszystko głęboko na podwórzu pod wieżą. Być może później wzniesie jakiś nagrobek, ale teraz najlepiej byłoby, aby nikt nie wiedział, gdzie spoczął dawny mistrz magii. Potem wykopał jeszcze dwa większe groby i złożył w nich Moriosa oraz Kucharkę – na wieczny spoczynek obok ich pana.

Westchnął ciężko i spojrzał na wieżę. Nad nim wznosił się Karazhan o murach z białego kamienia, dom najpotężniejszego maga na Azeroth, ostatniego Strażnika Zakonu Tirisfal. A niebo powyżej pojaśniało, słońce już niemal wspięło się na szczyt wieży.

Coś na balkonie nad głównym wejściem zwróciło uwagę Khadgara. Drobny ruch, fragment snu. Khadgar westchnął głębiej i kiwnął głową widmowemu intruzowi, który obserwował każdy jego ruch.

– Wiesz, że teraz cię widzę – powiedział głośno.

Epilog

Pełne koło

Intruz z przyszłości spoglądał z blanek na nie-młodego już mężczyznę z przeszłości.

– Od jak dawna możesz mnie widzieć? – spytał.

– Kiedy tam byłem, wyczuwałem fragmenty ciebie – odparł Khadgar. – Od pierwszego dnia. Jak długo tu jesteś?

– Przez większość nocy – odparł intruz w zniszczonych czerwonych szatach. – Tam już zbliża się świt.

– Tutaj również – zauważył były uczeń. – Być może dlatego możemy porozmawiać. Jesteś wizją, ale inną od wszystkich, które widziałem wcześniej. Widzimy się nawzajem i rozmawiamy. Jesteś przyszłością czy przeszłością?

– Przyszłością – odparł intruz. – Wiesz, kim jestem?

– Wyglądasz inaczej niż ten, którego widziałem ostatnio, jesteś młodszy i spokojniejszy, ale tak, poznaję cię. – Khadgar wskazał na trzy kopczyki ziemi, dwa duże i jeden mały. – Sądziłem, że właśnie cię pochowałem.

– Pochowałeś – zgodził się intruz. – A przynajmniej pogrzebałeś to, co było we mnie najgorsze.

– A teraz wróciłeś. Albo wrócisz. Różny, ale taki sam.

Intruz kiwnął głową.

– W pewnym sensie za pierwszym razem właściwie wcale mnie tu nie było.

– Tym bardziej żałuję – stwierdził Khadgar. – Kim zatem jesteś w przyszłości? Magiem? Strażnikiem? Demonem?

– Bądź spokojny. Jestem kimś lepszym, niż byłem. Dzięki temu, co uczyniłeś tego dnia, uwolniłem się od skazy Sargerasa. Teraz mogę uporać się

z samym panem Płonącego Legionu. Dziękuję ci. Nie ma sukcesu bez ofiar.

– Ofiary – powtórzył Khadgar z ogromną goryczą. – Powiedz mi o tym duchu przyszłości. Czy wszystko, co widzieliśmy, to prawda? Czy Wichrogród upadnie? Czy Garona zabije króla Llane'a? Czy muszę umrzeć w tym ciele starca, w jakiejś krainie spłodzonej z otchłani?

Istota na balkonie milczała przez długą chwilę i Khadgar zaczął obawiać się, że zjawa zniknie. Widmo jednak wciąż tkwiło w miejscu.

– Dopóki istnieją Strażnicy, istnieje Zakon. Jak długo istnieje Zakon, pewne role muszą być odegrane. Decyzje podjęte milenia temu określiły zarówno twoje, jak i moje ścieżki. To część większego cyklu, który trzyma nas w swoim uścisku.

Khadgar zadarł głowę. Słońce dotykało górnej połowy wieży.

– Skoro cena jest tak wielka, zatem może nie powinno być Strażników.

– Zgadzam się. – Zaczął rozwiewać się powoli w coraz silniejszym świetle. – Ale na tę chwilę musimy odegrać swoje role. Musimy zapłacić cenę. A wtedy, jeśli będziemy mieli szansę, zaczniemy wszystko od nowa.

Po tych słowach intruz zniknął. Ostatni okruch jego istoty został porwany w przyszłość przez kapryśne wiatry magii.

Khadgar potrząsnął głową i popatrzył na trzy świeżo wykopane groby. Ludzie Lothara, którzy ocaleli, zabrali swoich zabitych i rannych do Wichrogrodu. Nie było śladu po Garonie, a choć Khadgar miał zamiar przeszukać wieżę po raz kolejny, wątpił, aby znalazł ją wewnątrz. Zabierze te książki, które uważa za cenne, i wyposażenie, które zdoła unieść, a na resztę rzuci zaklęcia ochronne. Potem również odejdzie i podąży za Lotharem, by przyłączyć się do walki.

Kiedy intruz mówił, zerwał się lekki wietrzyk, ledwo co poruszał liśćmi, lecz to wystarczyło, aby zakłócić wizję. Obraz już-nie-młodego mężczyzny rozpadł się i rozwiał jak mgła, a już-nie-stary mężczyzna przyglądał się, jak znika.

Po twarzy Medivha spłynęła łza. Tyle poświęcenia, tyle bólu. Najpierw po to, by plan Strażników pozostał niezmieniony, a potem, aby go zniszczyć, aby uwolnić świat z jego okowów. Aby zaprowadzić prawdziwy pokój.

A w tej chwili również to było zagrożone. Teraz należało dokonać jeszcze jednej ofiary. Musiał zebrać tutejszą moc, jeśli miał wyjść zwycięsko z tego, co nadchodziło. Moc, której będzie potrzebował podczas ostatecznego starcia z Płonącym Legionem.

Słońce wzniosło się wyżej, sięgało niemal balkonu. Będzie musiał pracować naprawdę szybko.

Uniósł dłoń, a chmury nad szczytem wieży zaczęły wirować. Z początku powoli, potem coraz szybciej, aż blanki ogarnął huragan.

Teraz sięgnął w głąb siebie i uwolnił słowa, słowa stworzone z żalu i gniewu, uwięzione w nim od chwili, kiedy jego życie zakończyło się po raz pierwszy. Słowa, które na dobre i złe zawłaszczyły całym jego wcześniejszym życiem. Przyjął ich moc, a w ten sposób przyjął też odpowiedzialność za to, co dokonało się ostatnim razem, kiedy miał ciało.

Huragan wokół wieży zawył, ale sama wieża oparła się jego zewowi. Wypowiedział te słowa ponownie, a potem po raz trzeci, przekrzykując wiatr, który sam przywołał. Powoli, niemal z żalem, wieża odsłaniała swoje tajemnice.

Moc zawarta w kamieniach i zaprawie wypłynęła na zewnątrz, kierowana siłą wiatru w stronę podstawy, w stronę Medivha. Wszystkie wizje zakipiały, wyrwały się ze swej osnowy i spłynęły w dół. Runął nań upadek Sargerasa i tysięcy jego wrzeszczących demonów, podobnie jak ostateczny konflikt z Egwiną i walka Khadgara pod zamglonym, czerwonym słońcem; pojawienie się Medivha przed Gul’danem, chłopięce bitwy trójki młodych szlachciców; Morios tłukący ulubiony kryształ Kucharki – wszystkie te wizje zostały przez niego wchłonięte. A wraz z nimi wspomnienia, a ze wspomnieniami odpowiedzialność. Nie można do tego dopuścić. To nie może się nigdy powtórzyć. Należy to naprawić.

Spływały doń również obrazy i moc z ukrytej podziemnej wieży. Zapłonął ku niemu upadek Wichrogrodu, śmierć Llane’a, tysiące demonów przyzwanych w środku nocy i poszczutych na tych członków Zakonu, którzy zbytnio zbliżyli się do prawdy. Wizje wystrzeliły w górę niczym fontanna i zostały pochłonięte przez postać maga stojącego na balkonie.

Wszystkie te okruchy i fragmenty historii, znane i nieznane, wirowały w dół

wieży albo wznosiły się z jej podziemi i wpływały w tego, który był ostatnim Strażnikiem Tirisfal. Ból był ogromny, ale Medivh skrzywił się tylko i przyjął go, akceptując zarówno moc, jak i słodko-gorzkie wspomnienia, które ze sobą niosły.

Ostatnim obrazem, który rozwiał się przed oczyma maga, był wizerunek młodego mężczyzny z plecakiem u stóp i listem opatrzonym szkarłatną pieczęcią Kirin Toru, z nadzieją w sercu i żołądkiem ściśniętym z nerwów. Ten młodzieniec zniknął jako ostatni, kiedy szedł powoli w stronę wejścia. Magia otaczająca tę wizję, jego okruch przeszłości, zawirowała, rozplotła ów ostatni wizerunek i zaniosła energię byłemu magowi. I kiedy spadł nań ten ostatni okruch Khadgara, w oku Medivha zalśniła łza.

Medivh przycisnął mocno obie ręce do piersi, zatrzymując to, co odzyskał. Wieża Karazhan stała się teraz zwykłą budowlą, stertą kamieni posklejanych zaprawą w odległym zakątku świata. Moc tego miejsca znajdowała się teraz w Medivhie. A wraz z nią odpowiedzialność, aby tym razem lepiej ją spożytkować.

– I tak zaczynamy od nowa – oznajmił Medivh.

Po czym zmienił się w kruka i odleciał.

O autorze

Jeff Grubb jest autorem powieści *Starcraft: Liberty's Crusade*, a także autorem lub współautorem książek z uniwersów i serii *Zamknięte krainy*, *Dragonlance* oraz *Magic: The Gathering Lines*. Zajmuje się tworzeniem światów, a jego hobby to objaśnianie ich innym. Mieszka w Seattle z żoną Kate Novak, która często współpisze wraz z nim.

Polecamy...

...najnowsze tytuły serii World of Warcraft...

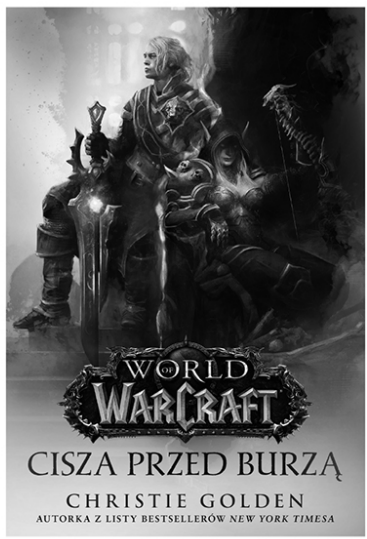

...WYDANIA FILMOWE...

...najlepsze powieści w serii
Blizzard Legends...

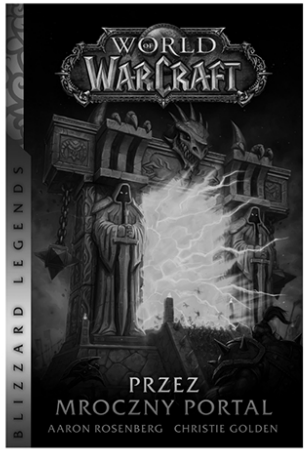

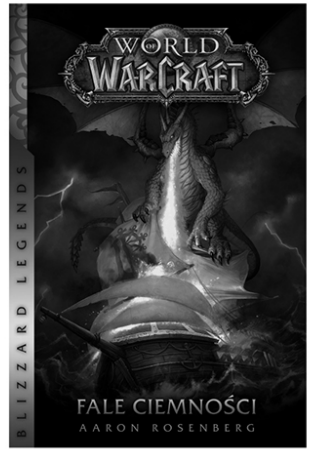

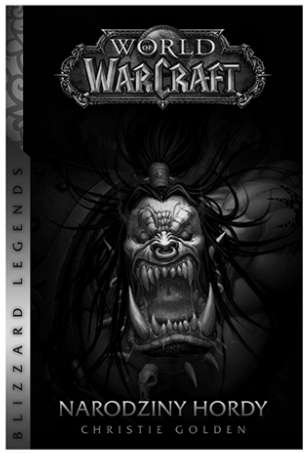

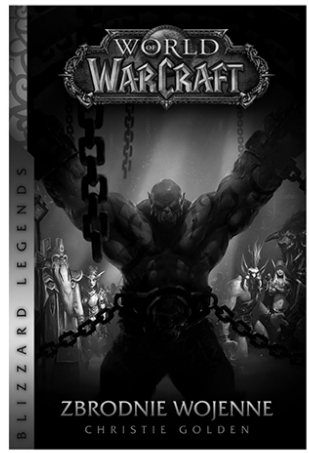

...oraz książki dla młodszych (i nie tylko!) adeptów Warcrafta!